

TUSKU, NIE MUSISZ
Zemsta na PiS
jest bez sensu

CHAOS W WATYKANIE
Kiedy Franciszek
stracił autorytet

SĄD NAD ROSJĄ
Czy Putin może
trafić za kraty

WŁADCA SNÓW
Poznaj światy
Neila Gaimana

ŻEGNAJ, SERENO
Bieńczyk o ikonie
tenisa i Ameryki

Kraków 11 września 2022 nr 37 (3818)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

Jak żyć wśród złych wiadomości

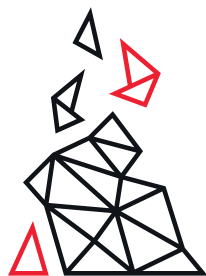


ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Spotkaj Autorki
i Autorów „Tygodnika”.
Zapraszamy!



**festiwal ŻAR
LITERATURY**
9-11 IX 2022

**siła
bezsilnej**

literatura
w świecie zmiany

piątek 9 IX 2022

17.50 | Sala Konferencyjna
**Uroczyste otwarcie Festiwalu
Literackiego „Żar Literatury”**

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna
**Literatura i lęk przed wpływem.
Czy książki zmieniają świat?**
dyskusja z udziałem
Anny Dziewit-Meller, Wita Szostaka
i prof. Przemysława Czaplińskiego
prowadzenie: Paulina Małochleb

20.00 | Sala Konferencyjna
**Kucając na prowincji,
czyli opór wobec zmiany**
rozmowa z Andrzejem Stasiukiem
prowadzenie: Artur Madaliński

9 IX - wydarzenia towarzyszące

11.00-12.30 | Letnia Czytelnia
Oswajanie literatury
Marta Podgórnik, „Paradiso”
– warsztaty dla młodzieży
prowadzenie: Monika Głosowicz

14.00-16.00 | Sala Konferencyjna
Czy naprawdę trzeba się uczyć?
seminarium dla nauczycieli
przedmiotów humanistycznych
prowadzenie: prof. Tadeusz Sławek

16.00-19.00 | Strefa Dzieci
Z literaturką przez podwórko
gry i zabawy wokół książki
dla najmłodszych

8.00-22.00 | Galeria na Piętrze
**„Materia” – wystawa
prac Sandry Majeckiej**

8.00-22.00 | przestrzeń Biblioteki
**Wystawa exlibrisów
Krzysztofa M. Bąka**

sobota 10 IX 2022

14.00-15.30 | Sala Konferencyjna
Końce świata, jakie znamy
dyskusja z udziałem
Macieja Jakubowiaka i Patryka Szaja
prowadzenie: Artur Madaliński

16.00-17.30 | Sala Konferencyjna
**Rewolucja geopolityczna?
Ukraina – Polska – Europa**
rozmowa z Oksaną Zabuzko
prowadzenie: Małgorzata Nocur

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna
**Golem, zwierzę, manekin.
Nie-ludzkie oblicza zmian**
dyskusja z udziałem Małgorzaty Lebdy,
Macieja Płazy i Tomasza Stawiszyńskiego
prowadzenie: Anna Marchewka

20.00 | Sala Konferencyjna
**Nieoczekiwane zmiany miejsc
– literatura w uścisku (nowych) mediów**
rozmowa z Dorotą Masłowską
prowadzenie: Maciej Jakubowiak

10 IX - wydarzenia towarzyszące

11.00-12.30 | Letnia Czytelnia
Oswajanie literatury
Henryk Sienkiewicz, „Sachem”
– warsztaty dla młodzieży
prowadzenie: Wojciech Rusinek

14.00-19.00 | Strefa Dzieci
Z literaturką przez podwórko
gry i zabawy wokół książki
dla najmłodszych

19.00 | Letnia Czytelnia
**Mariola Konieczna
– koncert poezji śpiewanej**

8.00-22.00 | Galeria na Piętrze
**„Materia” – wystawa
prac Sandry Majeckiej**

8.00-22.00 | przestrzeń Biblioteki
**Wystawa exlibrisów
Krzysztofa M. Bąka**

niedziela 11 IX 2022

14.00-15.30 | Sala Konferencyjna
Literackie czarne skrzynki
spotkanie z Dominiką Słowik
prowadzenie: Monika Ochędowska

16.00-17.30 | Sala Konferencyjna
**Jak być kochaną, gdy jest się
na liście (lektur)? Czytanie
Konopnickiej dzisiaj**
rozmowa z prof. Ryszardem Koziołkiem
prowadzenie: Marek Mikołajec

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna
Raport o zmianie świata
dyskusja z udziałem Wojciecha Jagielskiego,
Dariusza Rosiaka i Marcina Żyły
prowadzenie: Marek Sygacz

20.00 | Sala Konferencyjna
Pamięć i tożsamość
spotkanie z Małgorzatą Rejmer
prowadzenie: Aleksandra Wojtaszek

11 IX - wydarzenia towarzyszące

14.00-19.00 | Strefa Dzieci
Z literaturką przez podwórko
gry i zabawy wokół książki
dla najmłodszych

18.00 | Letnia Czytelnia
Żar dla rodzin
Mateusz Świsłak: „Przygoda, każdej
chwili szkoda” – spotkanie o tym,
jak opowiadać bajki na dobranoc

14.00-22.00 | Galeria na Piętrze
**„Materia” – wystawa
prac Sandry Majeckiej**
14.00-22.00 | przestrzeń Biblioteki
**Wystawa exlibrisów
Krzysztofa M. Bąka**

www.zarliteratury.pl
wstęp wolny



organizator: MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŻORACH
IM. OTTONA STERNA | ul. Rybnicka 6-8, 44-240 Żory

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

bella cialo!



**WYDANIE SPECJALNE
JUŻ W SPRZEDAŻY**

**SZUKAJ W PUNKTACH Z DOBRĄ PRASĄ
LUB W E-WYDANIU NA POWSZECZ.NET/CIAŁO**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK



22 Wyjść z butów Kaczyńskiego

STEFAN SĘKOWSKI

Część opozycji zapowiada, że po przejęciu władzy wysła na zieloną trawkę nawet prezydenta Dudę. Byłaby to realizacja doktryny... Prawa i Sprawiedliwości.

34 Czy papież wie, co mówi

ROZMOWA
Z GIANEM FRANCO
SVIDERCOSCHIM,
WATYKANISTĄ:

Takiego upadku papieskiego autorytetu nie widziałem od kilkudziesięciu lat. A Franciszek ma przecież jeszcze trochę rzeczy do zrobienia.



44 Nie odpuścimy

ROZMOWA Z CHRISTIAN LEVESQUE I ELIM ROSENBAUMEM,
PRAWNIKAMI:

Putin ma powód, żeby się bać. Byli już wcześniej tacy przywódcy, którzy nie spodziewali się postawienia zarzutów. A jednak do tego doszło.

60 Ptasia

inteligencja

JUSTYNA KIERAT

Rodzinę krukowatych tworzą nietuzinkowe gatunki. Potrafią wytwarzać narzędzia i uczyć się przez obserwację. A o budowane przez nie gniazda rywalizują inne ptaki.



78 Ostatnia serenada

MAREK BIEŃCZYK

Zawsze ją rozsadało, przepełniało, chciała wyskoczyć poza siebie. Tak to wyglądało na korcie, tak wyglądało w jej ciele i w wizerunku. Serena Williams na zawsze zostanie ikoną tenisa i nowej Ameryki.



64 Władca snów

MARCIN
NAPIÓRKOWSKI

Fantastyka to opowieść o rzeczach nieprawdziwych, które pozwalają lepiej zrozumieć te jak najbardziej prawdziwe. Neil Gaiman jest jej współczesnym wirtuozem.

6 **Reparacje na poważnie**
ŁUKASZ GRAJEWSKI

7-11 **Obraz tygodnia**

19 **Tygodnik Czytelników**

20-21 **Czytania / Widzenia**

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGÓRZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 **Wyjść z butów Kaczyńskiego**
STEFAN SĘKOWSKI

26 **Zbudowane na krzywdzie**
SZYMON ŻYŚKO:
Przygotowując CPK rząd zagwarantował sobie ustawową przewagę nad mieszkańcami

29 **Różowe walizki**
BARTOSZ RUMIŃCZYK:
Basma boi się psów, ale gdy ją obwąchiwały, zawzięła się, by nie pokazać żołnierzom, że przepełnia ją strach

■ ■ WIARA

34 **Czy papież wie, co mówi**
ROZMOWA
Z GIANEM FRANCO
SVIDERCOSCHIM, WATYKANISTĄ

38 **Kościelna bezkarność**
TOMASZ P. TERLIKOWSKI:
Jak stworzyć reguły kontroli w przypadku poważnych zarzutów wobec biskupów?

41 **Rozum zachwycony pięknem**
MAREK KITA: *Kallistos Ware dyskutował o święceniach kobiet i związkach homoseksualnych*

■ ■ ŚWIAT

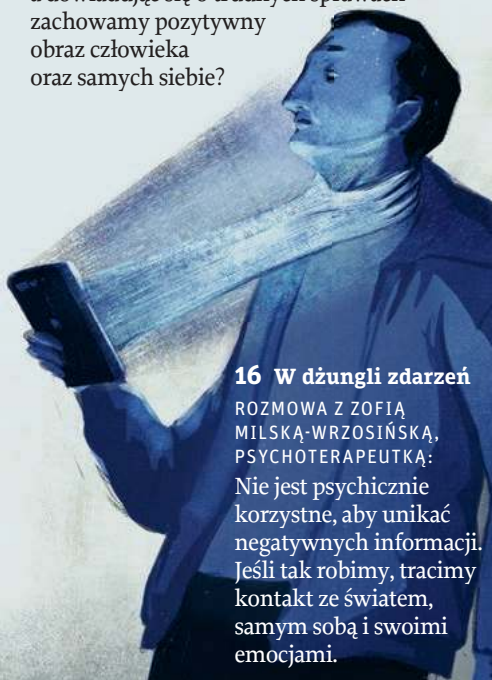
44 **Nie odpuszczamy**
ROZMOWA Z CHRISTIAN
LEVESQUE I ELIM ROSENBAUMEM,
PRAWNIKAMI

TEMAT TYGODNIKA

12 Życie bez informacji

WOJCIECH BONOWICZ

Coraz więcej z nas aktywnie unika wiadomości. Czy można sprawić, że będziemy się interesować światem, a dowiadując się o trudnych sprawach zachowamy pozytywny obraz człowieka oraz samych siebie?



16 W dżungli zdarzeń

ROZMOWA Z ZOFIĄ
MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ,
PSYCHOTERAPEUTKĄ:

Nie jest psychicznie korzystne, aby unikać negatywnych informacji. Jeśli tak robimy, tracimy kontakt ze światem, samym sobą i swoimi emocjami.

■ FELIETONY ■

32 JACEK PODSIADŁO

43 WOJCIECH BONOWICZ

76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
JOANNA RUSINEK DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 **Łotysze stawiają na sprawdzone marki**
TOMASZ OTOCKI
o populistach, którym pokrzyżowała szyki wojna w Ukrainie

51 **Pogoda dla bogaczy**
ALEXIO RASHIRAI Z HARARE
I WOJCIECH JAGIELSKI
o bogatej, choć biednej Angoli

■ ■ HISTORIA

54 **Ciepły dotyk kamienia**
JACEK TARAN
o rocznicy akcji „Reinhardt”

■ ■ NAUKA

60 **Ptasia inteligencja**
JUSTYNA KIERAT

■ ■ KULTURA

64 **Władca snów**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

68 **Pokolenie wrażliwych**
PIOTR KOSIEWSKI:
Oto pierwszy od dawna tak obszerny pokaz młodej twórczości. Trudno się dziwić, że budzi wielkie zainteresowanie i wielkie kontrowersje

72 **Taki mamy klimat**
JAN BŁASZCZAK:
Opera „NeoArctic” opowiada o globalnym ociepleniu, odrzucając moralizatorstwo i dydaktyzm. Daje publiczności przestrzeń do kontemplacji swojego lęku i poczucia winy

74 **Jak zostać Polakiem**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Orlęta. Grodno ‘39”*

■ ■ ZMYŚŁY

78 **Ostatnia serenada**
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Solidarność z rzeką [Własny pokój]

O miejscu, w którym nad Odrą odsunięto wały nad rzeką, by stworzyć naturalny polder, chroniący i ludzi, i zwierzęta – opowiada **CECYLIA MALIK**, artystka i aktywistka, w rozmowie z **KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ** | tygodnikpowszechny.pl/podcast

➔ Zakładnik Austin Tice [Strona świata]

Jeśli żyje – a władze USA twierdzą, że są tego pewne – pozostaje najdłużej przetrzymywanym w niewoli amerykańskim zakładnikiem. Od jego porwania minęło właśnie dziesięć lat – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | www.tygodnikpowszechny.pl

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

REPARACJE NA POWAŻNIE

Jeśli w kwestii zadośćuczynienia za II wojnę światową
Polska miałaby cokolwiek wskórać,
trzeba przekonać Niemców, że to dla nas i dla nich kwestia racji stanu.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

JAROSŁAW KACZYŃSKI NA PSYCHOLOGII TŁUMU zna się nie gorzej niż Axl Rose. Lider Guns N' Roses opóźniał wyjście zespołu na scenę nawet o kilka godzin, żeby podgrzać nastroje do czerwoności. Prezes PiS temat niemieckich reparacji przez lata trzymał w sferze domysłów. Dokument opublikowano dopiero teraz, w obliczu rozkręcającego się kryzysu i zbliżających się wyborów.

Polityczne przesłanki nie zmieniają faktu, że raport przygotowany przez zespół naukowców, jeśli chodzi o kalkulację strat, jest solidny (i w tym sensie osłabić go może fakt, że uznano w nim pogromy w Jedwabnem i podobnych miejscach za zbrodnie tylko niemieckie). Pod postacią konkretnych wyliczeń i przy zastosowaniu czytelnej metodologii pokazuje bezmiar zniszczeń, których Niemcy dokonali na terenie okupowanej Polski. Stra-

ty materialne i osobowe wyliczono na ponad 6 bilionów złotych. Ta ogromna suma w trakcie lektury kolejnych stron raportu staje się w pełni zrozumiała.

Już sama publikacja nowych wyliczeń wystarczyłaby do ożywienia dyskusji po obu stronach Odry. Poszerzenie wiedzy to jednak nie wszystko. Deklarowanym celem jest uzyskanie reparacji. A tu analizy prawników nie pozostawiają wątpliwości. W wyniku konferencji poczdamskiej Polska miała uzyskać 15 proc. reparacji wypłaconych przez Niemcy Związkowi Sowieckiemu, a fakt, że nie mogła tego wyegzekwować, bo była podległa Moskwie, nie jest problemem Berlina.

Ekspertsi zatrudnieni przez polski rząd starają się znaleźć kruczki prawne mogące być podstawą do wystąpienia o reparacje. To zdecydowanie najsłabsze punkty raportu. Praw-

*Uroczystości
pod pomnikiem
Obrońców
Wybrzeża
w 83. rocznicę
wybuchu
II wojny światowej.
Westerplatte,
1 września 2022 r.*

ny konsens można sprowadzić do cytatu z reakcji niemieckiego MSZ na jego publikację: „Kwestia reparacji jest zamknięta”. Nie oznacza to, że sprawa po Niemcach spływa. Wyliczenia raportu trafiły na pierwsze strony gazet. Komentatorzy, choć wykluczają wypłatę reparacji, to podkreślają, że potrzebna jest reakcja Berlina.

Powrót do historii jest potrzebny choćby dlatego, że Polska dopiero dziś może na temat rozliczeń rozmawiać z pozycji podmiotowej. Po 1945 r. została sowieckim satelitą, a po upadku komunizmu była bankrutem, który w relacjach z Berlinem przede wszystkim martwił się o zabezpieczenie granicy na Odrze. Tak, Warszawa wielokrotnie zrzekała się roszczeń. Czyniła tak dlatego, że zmuszali ją do tego silniejsi.

Ale moralna słuszność to za mało, by przekonać Niemców do wyjścia z kontrpropozycją wobec perspektywy żądań reparacyjnych. W 2019 r. grecki rząd wystosował do niemieckiego MSZ notę w sprawie rozpoczęcia rozmów o reparacjach. Berlin odparł, że rzecz uważa za rozstrzygniętą, i na tym się skończyło. Jeśli Polska miałaby wskórać więcej, trzeba przekonać Niemców, że jest to dla nas kwestia racji stanu. A czy takie wrażenie buduje fakt, że wśród autorów raportu zabrakło przynajmniej kilku znakomitych znawców tematu (zapewne dlatego, że nie po drodze im z PiS-em)? Albo że na prezentacji raportu nie było żadnego przedstawiciela opozycji? W ten sposób po niemieckiej stronie utwierdza się przekonanie, że chodzi wyłącznie o wewnętrzne rozgrywki.

Nie ma też co oczekiwać szybkich rezultatów, nawet jeśli sprawa będzie od teraz prowadzona merytorycznie i profesjonalnie. 5 września minęła 50. rocznica zamachu na izraelskich sportowców, którego podczas olimpiady w Monachium dokonali palestyńscy terroryści. Kilka dni wcześniej doszło do ugody między rodzinami zabitych a rządem Niemiec: rodziny otrzymały 28 mln euro. Pół wieku trwała walka o to zadośćuczynienie za śmierć 11 osób. Sprawa, w której Niemcy także przez dekady starali się uniknąć odpowiedzialności, zakończyła się wygraną.

Jeszcze nie jest za późno, aby z wyborczej sztuczki prezesa PiS temat zadośćuczynienia za straty wojenne przerodził się w kwestię ponadpartyjnej racji stanu. ©

Szesnaście i jeden powodów do niepokoju

MAREK RABIJ



PO WAKACJACH INFLACJA MIAŁA PRZYHAMOWAĆ. Tak uważało wielu ekonomistów, liczących na to, że galopadę cen ograniczy taniejące paliwo. Uważał tak też prezes NBP Adam Glapiński, który zapowiadał, że bank centralny zbliża się do końca cyklu podwyżek stóp procentowych. W czerwcu i lipcu ceny nie spadły, ale faktycznie przestały szybko rosnąć. Jednak w sierpniu inflacja niespodziewanie przyspieszyła, aż do 16,1 proc. „Zbieramy szczęki z podłogi” – skomentowali to analitycy jednego z banków.

Z wstępnych danych GUS wynika, że napędzającymi ją czynnikami są dziś przede wszystkim ceny nośników energii. Licząc rok do roku, gaz i prąd podrożały w sierpniu aż o 40,3 proc. W stosunku do lipca br. ten sam wzrost wyniósł 3,7 proc. Żywność i napoje bezalkoholowe poszły w tym czasie w górę o 1,6 proc., co może wyglądać niewinnie na tle miesięcznej dynamiki cen gazu i prądu, ale przestaje być blachostką, jeśli uświadomić sobie, że w sierpniu w całej polskiej gospodarce ceny wzrosły z miesiąca na miesiąc o 0,8 proc.

Najszybciej drożeją zatem produkty, których nie można po prostu odstawić lub znacząco ograniczyć zużycia – a to źle wróży kolejnym odczytom inflacji, zwłaszcza że skoko-

we podwyżki cen energii dopiero przed nami. Rząd chce je wprowadzić administracyjne ograniczyć, zapowiada np. 40-procentowy limit podwyżek ogrzewania, ale na pewno nie zdoła ściąć cen energii do poziomu, który nie wystrzeli wskaźników inflacyjnych niczym z katapulty. Podwyżki stóp procentowych w tej sytuacji również niewiele zmienia; trudno oczekiwać, że ktokolwiek zrezygnuje z ogrzewania domu skuszony nieco wyższym oprocentowaniem lokat bankowych.

Na ciężką zimę szykuje się cała Europa. Niemcy właśnie ogłosili wart 65 mld euro pakiet, który ma obniżyć koszty przejazdów komunikacją miejską, ustabilizować ceny energii i zapewnić ulgi podatkowe szczególnie energochłonnym branżom. Pomysł polskiego rządu na przetrwanie najbliższej zimy wciąż bazuje przede wszystkim na kolejnych transferach gotówki, które oczywiście poprawią sytuację budżetową wielu rodzin, ale na pewno nie pozostaną bez zgubnego wpływu na dynamikę cen w gospodarce. Sam dodatek węglowy pochłonie w tym roku 11,5 mld zł.

Coraz więcej przemawia więc za tym, że rok 2022 pożegnamy inflacją oscylującą wokół 20 proc. Ale tej zimy to nie ona może być naszym największym zmartwieniem. ©

Ta linia obrony będzie słono kosztować

PREMIER TWIERDZI, że na Odrze mieliśmy do czynienia ze „zdarzeniem o charakterze naturalnym”, a rzeka „szybko się regeneruje”. I nie ma co temu drażnić. Z odtrąbieniem szczęśliwego zakończenia jest jednak problem – mogą nas pozwać.

Na mocy unijnych przepisów państwa członkowskie mają obowiązek dbania o środowisko i monitorowania go, jednak Polska się z tego nie wywiązuje. Dostaliśmy już dwa napomnienia, a w lutym Bruksela zapowiedziała skierowanie na nas skargi do TSUE za niewprowadzenie w życie dyrektywy nakazującej oczyszczanie ścieków komunalnych (z dokumentacji wynika, że ostrzegano nas także przed algami). W grę wchodzi 6 mld euro kary, ale rząd odpowiedział, że za gospodarkę zanieczyszczeniami odpowiadają samorządy. A że niektórym z nich – wedle NIK – rozbudowa kanaliza-

cji i oczyszczalni z własnych funduszy zajęłoby od 164 do 338 lat? Odpowiedzialność się rozmywa, finalnie z nawiązką zapłacimy wszyscy.

Pozwać Polskę za katastrofę na Odrze na mocy prawa krajowego i międzynarodowego ma również możliwość zwykły Kowalski albo Schmidt, którzy mogą się domagać prawa do czystości rzeki, tak samo jak przed sądami domagali się prawa do czystego powietrza. A linii obrony naszego kraju raczej nie pomoże opieszałość, z jaką urzędnicy przystąpili choćby do informowania o tym, co się dzieje na rzece.

W sprawie innej ekologicznej katastrofy przedstawiciele naszego rządu też długo powtarzali, że to zjawisko naturalne. W efekcie za kopalnię Turów Polska musiała wypłacić Czechom 45 mln euro, a za niespłacanie kar Unia obciążyła nam z dwóch programów ponad 30 mln euro. Tym razem kary byłyby wyższe i znów zaklinanie rzeczywistości „zdarzeniem naturalnym” może nie pomóc.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Węgiel do poprawki

KRZYSZTOF STORY



NIE MINĄŁ MIESIĄC OD MOMENTU, GDY ANDRZEJ DUDA podpisał ustawę o dodatku węglowym, a już trzeba ją nowelizować. Przepisy okazały się dziurawe jak sito: dodatek miał być przyznawany na jedno gospodarstwo domowe z kotłem węglowym zgłoszonym jako główne źródło ogrzewania w Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków. Obywatelska postawa nie jest chyba naszą mocną stroną, bo od sierpnia mamy w Polsce tysiące „nowych” kotłów i jednoosobowych gospodarstw domowych (czteroosobowa rodzina może wtedy złożyć cztery wnioski). W niektórych gminach wniosków o dodatek było nawet pięć razy więcej niż pieców.

Rząd w pośpiechu uszczelnia system dopłat, 2 września projekt zaakceptował Sejm, teraz sprawą zajmie się Senat. Dodatek ma być przyznawany „na jeden adres” i tylko na kotły zarejestrowane przed końcem czerwca – jeśli kilka wniosków dotyczy tego samego kotła, rozpatrywany będzie tylko pierwszy. Weryfikacją zajmą się samorządy. Nowe przepisy zakładają także, że na wypłatę 3 tys. zł dodatku poczekamy dłużej – nawet do 60 dni.

Jednocześnie posłowie przegłosowali dopłaty dla ogrzewających swoje domy gazem, pelletem i olejem, a także szereg innych zmian, z których dwie budzą duży niepokój. Nowe przepisy pozwalają na dwa lata zawiesić normy jakości paliw stałych, jeśli „na rynku wystąpią nadzwyczajne zdarzenia”, a na 120 dni zwolnić ciepłownię z przestrzegania ograniczeń emisji spalin, gdy np. zabraknie węgla o niskiej zawartości siarki. ©P

Między infekcyjnymi falami

SZÓSTA FALA ZAKAŻEŃ COVIDOWYCH opada. Co prawda przyniosła sporo infekcji, ale najczęściej z łagodnym przebiegiem: część pacjentów kładziono do szpitali „na wszelki wypadek”. Powroty uczniów do szkół, a wkrótce studentów na uczelnie mogą jednak sprzyjać koronawirusowi, dlatego część ekspertów wieszczy kolejne odbicie w górę.

Nasza wiedza o stanie epidemii wciąż jest pełna luk, ponieważ liczba przeprowadzanych w Polsce testów (i niełatwo do nich dostęp) nie pozwala na miarodajne oceny. Według informacji spływających z aptek w sierpniu wykupiliśmy milion testów antygenowych. Sporo osób się testuje, obserwując u siebie podejrzaną objawy albo przed spotkaniami rodzinnymi. Wyniki tych testów nie trafiają oczywiście do państwowych baz danych.

Za prywatyzacją testowania idzie prywatyzacja profilaktyki: przypomnienia o obowiązku noszenia masek w placówkach zdrowotnych są dyskretne, podobnie jak informacje o trwającej akcji szczepień. W środkach komunikacji i sklepach maski noszą tylko pojedyncze osoby.

©P MaM

KRAJ W SKRÓCIE

REGULAMIN

„Instrukcją obsługi życia w Polsce pod tą władzą” nazwał Donald Tusk piętnastopunktowy regulamin użytkowania ławki w konturze Polski (nawiasem mówiąc: nieprzystosowanej dla niepełnosprawnych), która ma przypominać o polskich inwestycjach.



GRZEGORZ BUKAŁA / REPORTER

ZACHĘTA

Polskie inwestycje to także powoływany właśnie przez rząd Instytut Rozwoju Języka Polskiego im. świętego Maksymiliana Marii Kolbego, mający zachęcać obcokrajowców do poznania naszej mowy. Średnia płaca w placówce ma wynosić 11 tys. zł, roczny budżet – ponad 100 mln zł.

KARA

Nie znamy budżetu „armii, która będzie strzegła wyborów w każdym okręgu”, ale objeżdżający Polskę Jarosław Kaczyński zapowiedział również jej powołanie, wraz z „pewnymi zmianami prawnymi”, które pozwolą te wybory „lepiej kontrolować”. Spekulacje, co może kryć się za tymi słowami, budzą ciarki na plecach, podobnie jak słowa lidera PiS, że „my karzemy naszych ludzi. Karzemy tak ostro, że nawet w jednym wypadku to kosztowało tego człowieka życie”.

OFIARA

W chwili zamknięcia tego numeru „TP” dowiedzieliśmy się o odwołaniu prezesa TVP, ale znając wcześniejsze perypetie Jacka Kurskiego z tą funkcją, nie wykluczamy, że gdy numer trafi do Czytelników, znów ją będzie piastował.

Gazowa wojna Rosji przeciwko Europie

CENY SUROWCA na rynkach unijnych osiągnęły poziom nienotowany w historii, co jest efektem trwających od miesięcy manipulacji ze strony Gazpromu. Rosja, której udział w imporcie gazu do UE zwykle wynosił ok. 40 proc., stopniowo obniża dostawy, co doprowadziło do ponad pięciokrotnego wzrostu cen gazu i jego deficytu.

Najnowszym tego przejawem jest wstrzymanie do odwołania dostaw przez gazociąg Nord Stream 1, co Gazprom tłumaczy problemem technicznym. Przedstawiciele Kremla przestali już jednak owijać w bawełnę i ukrywać, że gaz stał się narzędziem politycznym, który ma pogłębić trwający kryzys energetyczny i sprawić, że państwa unijne zrewidują swoje wsparcie dla Ukrainy. Od dawna nie ma wątpliwości, że Rosja wypowiedziała Europie wojnę, którą prowadzi instrumentami energetycznymi.

Rekordowe ceny i brak wystarczających ilości gazu sprawiają, że kryzys energetyczny w Unii jest i będzie w kolejnych miesiącach jednym z kluczowych tematów politycznych i społecznych. Wzrost wartości tego surowca ma bowiem bezpośrednie przełożenie na ceny energii elektrycznej, co z kolei wpływa na kondycję gospodarstw domowych i unijnych gospodarek. Recesja stała się faktem, a kryzys może trwać długo, skutkując nawet spadkiem PKB wielu państw. I dokładnie to jest rosyjskim celem. Kreml liczy też na masowe protesty, prowadzące do wstrząsów politycznych. Przedsmak tego, co może się wydarzyć, widać było w ostatnią sobotę w Pradze, gdzie przeciw wysokim cenom energii, czeskiemu rządowi i jego wsparciu dla Ukrainy demonstrowało ok. 50-70 tys. osób.

Rosja postanowiła zagrać *va banque*, stawiając na szali swoją przyszłość na tradycyjnie najważniejszym dla niej rynku gazowym. Jest jednak nadzieja, że Kreml przeliczytuje. Unia zapłaci wprawdzie wysoką cenę za dotychczasowe beztrojskie uzależnienie od rosyjskich surowców, ale może przetrwać bez rosyjskiego gazu. O wyniku tej wojny zdecyduje to, która strona – Moskwa czy Europa – okaże się bardziej wytrwała i konsekwentna.

© WOJCIECH KONOŃCZUK



PHIL NOBLE / PA IMAGES / FORUM

ODCHODZI I ZOSTAJE. Im boleśniej zwalczały się Liz Truss i Rishi Sunak – rywalizujący o przywództwo w brytyjskiej Partii Konserwatywnej i funkcję premiera (wygrała Truss) – tym szybciej jej elektorat zatęsknił za Borisem Johnsonem, który 5 września pożegnał się z Downing Street 10. Według „Timesa” 49 proc. sympatyków torysów wołało, by pozostał premierem. 58-letni Johnson nie zniknął: jest posłem, chce wydać biografię Szekspira, być może będzie znów pisał felietony dla „Daily Telegraph”. Na zdjęciu: Johnson (pierwszy z lewej) na nabożeństwie w katedrze św. Pawła w Londynie podczas obchodów platynowego jubileuszu Elżbiety II, 5 września 2022 r. © WP / NZZ

Zmienił świat, nie potrafił zmienić Rosji

ANNA ŁABUSZEWSKA



SZEŚĆ LAT JEGO RZĄDÓW, MIĘDZY ROKIEM 1985 a 1991 – gdy pełnił funkcję sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, a potem pierwszego i zarazem ostatniego prezydenta Związku Sowieckiego – to epoka ruchów tektonicznych, które zmieniały Europę i świat.

Michaił Gorbaczow miał 54 lata, gdy w marcu 1985 r. partia komunistyczna pochowała kolejnego lidera-starca i postawiła na niego – rzutkiego aparaczyka. Zabrał się za reformy, które miały uratować pogrążający się w kryzysie kraj. Wpuścił dużo powietrza. Ogłosił pierestrojkę, która miała uzdrowić system. Opracował program przebudowy państwa, zakładający sojusz równych podmiotów (jednak gdy wybuchały bunt w republikach narodowych, dusił je siłą – jak w Wilnie i Tbilisi). Ogłosił *glasnost* – zrzućcie cenzury. Zerwał z represjami politycznymi. Choć wierzył, że socjalizm może być efektywny, pootwierał furtki ludziom przedsiębiorczym. No i stało się – puścili lody, rozkręcił się wir, nad którym i on, i partia stracili kontrolę.

Otworzył też nową epokę w stosunkach zagranicznych. Nastąpiła era odprężenia, czas redukcji zbrojeń. Zakończył haniebną interwencję w Afganistanie. Ścisnął dłoń prezydenta

USA. Padła żelazna kurtyna dzieląca Europę. Z sekretnej szafy wydobłaski dokumenty o zbrodni katyńskiej i przekazał je Polsce.

To były śmiałe kroki, idące pod prąd imperialnej tradycji polityki Moskwy. Większość jego rodaków sklasyfikowała go jako słabość i kapitulację wobec Zachodu. Gorbaczow przegrał walkę o władzę. A po tym, jak w grudniu 1991 r. kazął zwinąć sowiecką flagę nad Kremlm, nastąpiła nowa era – już bez niego.

Był niezwykłym zjawiskiem w historii Rosji nie tylko z uwagi na zakres zmian, jakie wprowadził, ale też dlatego, że bezkrytycznie oddał władzę i pokazał, że po złożeniu urzędu można dalej żyć i działać. Jako laureat pokojowego Nobla miał szerokie możliwości prowadzenia działalności edukacyjnej i wspierania projektów obywatelskich. Ostatnią jego akcją polityczną był apel do prokuratury generalnej – wystosowany w listopadzie 2021 r. wspólnie z innym noblistą, naczelnym „Nowej Gazety” Dmitrijem Muratowem – o odstąpienie od prześladowania stowarzyszenia Memoriał. Nie odniósł skutku, Memoriał zamknięto.

Gorbaczow zmarł 30 sierpnia w wieku 91 lat. ©

Więcej na powszech.net/ruletki

ONZ o Sinciang

NA 12 MINUT przed końcem kadencji, która upływała nocą z 31 sierpnia na 1 września, komisarz ONZ ds. praw człowieka Michelle Bachelet opublikowała raport o sytuacji w chińskiej prowincji Sinciang, gdzie w obozach (wg Chin „miejscach reedukacji”) więzionych może być milion ludzi, głównie Ujgurów. Bachelet dawała wcześniej do zrozumienia, że Chiny wywiebrały presję, by raport się nie ukazał.

Teza: „rozmiary, jakie przyjęła praktyka arbitralnego i dyskryminującego internowania Ujgurów i przedstawicieli innych grup ludności wyznających w większości islam (...) mogą stanowić zbrodnię przeciw ludzkości”, a zarzuty stawiane Chinom o tortury, pracę przymusową, arbitralne wyroki, przymusową kontrolę urodzeń – są wiarygodne.

Pekin oświadczył, że komisariat ONZ ds. praw człowieka to „gangster i wspólnik USA oraz Zachodu”.

© WP / FAZ, NZZ

Misja MAEA w zaporoskiej siłowni

EKSPERCI Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, na czele z jej szefem Rafaelem Grossim, dotarli w ubiegłym tygodniu do Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej, największej takiej w Europie, od marca okupowanej przez Rosjan. Trwają wokół niej walki – ZEJ leży na linii frontu. Efekty inspekcji mają być znane już po zamknięciu tego numeru „TP”.

W światowych mediach wyrażana jest nadzieja, że niezależnie od wyniku misji obecność ekspertów MAEA przyczyni się do ustabilizowania sytuacji wokół ZEJ. Grossi chce, by misja Agencji miała charakter stały, ale nie wiadomo, czy Rosja się zgodzi. Choć okupowana, ZEJ dostarcza prąd do sieci ukraińskiej i pobiera z niej energię do chłodzenia reaktorów. W minionych dniach sieci łączące ją z nieokupowaną Ukrainą były zrywane. Ukraińcy obawiają się, że Rosja podłączy siłownię do własnej sieci, i domagają się demilitaryzacji terenu ZEJ. © WP

Papież o rozeznawaniu

KS. JACEK PRUSAK SJ



FRANCISZEK ROZPOCZĄŁ NOWY CYKL KATECHEZ POŚWIĘCONYCH rozeznawaniu duchowemu. Wybór tematu specjalnie nie dziwi, skoro papież to równocześnie jezuita, uformowany na drodze Ćwiczeń duchowych, które są szkołą rozeznawania.

Powiedział m.in. do wiernych: „Rozeznanie jest żmudne, ale niezbędne, aby żyć. Wymaga, bym znał siebie, bym wiedział, co jest dla mnie dobre tu i teraz. Przede wszystkim wymaga synowskiej relacji z Bogiem”. W ten sposób Franciszek wskazał dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, rozeznawanie to nie jakiś ogólny termin odnoszący się do sposobu podejmowania decyzji i wskazujący na osobę o dobrym smaku czy przenikliwym spojrzeniu, która umie się zachować i wykorzystać swoje talenty. Rozeznawanie nie jest bowiem sztuką inteligentnego załatwiania spraw czy dbania o swój interes. Dla Franciszka rozeznawanie jest praktyką modlitwy w działaniu, a więc formą współpracy z Bogiem w każdych okolicznościach życia. Po drugie, wynika ono z przekonania, że życie moralne i życie duchowe są ze sobą integralnie powiązane, i „aby nauczyć się żyć, trzeba nauczyć się kochać, a do tego niezbędne jest rozeznanie”.

Bóg się nam nie narzuca, a rzeczywistość rzadko kiedy jest biało-czarna, rozeznawanie jest więc konieczne dla odnajdywania „woli Bożej” i wymaga uformowania dojrzałego sumienia, wiąże się z trudem, ale wyzwala od tyranii wyborów, nie zwalniając od odpowiedzialności. Rozeznawanie jest bowiem formą dialogu z Bogiem opartego na wolności „dzieci Bożych”. ©P

Wojna tematem Światowej Rady Kościołów

OSTRE POTĘPIENIE ROSYJSKIEJ AGRESJI w Ukrainie przez prezydenta Niemiec, ogłoszone na rozpoczęcie 11. Zgromadzenia Ogólnego Światowej Rady Kościołów, sprawiło, że temat ten zdominował pierwsze dni obrad w niemieckim Karlsruhe. „Przewodzący Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego prowadzą obecnie swoich wiernych i cały swój Kościół straszną bluźnierczą drogą, która jest wręcz wroga wierze”, ponieważ „usprawiedliwiają agresję przeciwko Ukrainie, przeciwko swoim braciom i siostrą w wierze” – powiedział Frank-Walter Steinmeier.

W odpowiedzi przedstawiciel Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego oskarżył prezydenta Niemiec o wrogą wobec tego Kościoła postawę. Z kolei sekretarz generalny SRK, rumuński teolog prawosławny ks. Ioan Saucă, bronił stanowiska prezydium Rady, które jest przeciwne wykluczeniu Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego z jej grona. Przyznał jednocześnie, że Rada potępia wojnę. Przedstawiciel zaś niezależnego od Moskwy Prawosławnego Kościoła Ukrainy stwierdził, że „trudno jest rozpocząć dialog z kimś, kto całkowicie odmawia ci prawa do istnienia”.

W spotkaniu w Karlsruhe w dniach od 31 sierpnia do 8 września bierze udział około 800 delegatów z 350 Kościołów członkowskich SRK. ©P ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

REPARACJE

Przewodzący episkopatu pośrednio wsparł rządowy raport domagający się od Niemiec reparacji wojennych. „Nie istnieje żadna sprzeczność między przebaczeniem a sprawiedliwością. Przebaczenie bowiem nie usuwa ani nie umniejsza konieczności naprawienia zła, będącej nakazem sprawiedliwości” – zacytował słowa Jana Pawła II abp Stanisław Gądecki.

BEATYFIKACJA

„Uosabiał ubóstwo ucznia, które polega nie tylko na oderwaniu się od dóbr materialnych, ale przede wszystkim na przewyżczeniu pokusy szukania własnej chwały” – powiedział Franciszek o beatyfikowanym 4 września na placu św. Piotra w Watykanie Janie Pawle I.

OBRZĄDEK

Kościelna Konferencja Amazonii zaprezentowała w Watykanie stan prac nad stworzeniem katolickiego obrządku amazońskiego. Jego powstanie postulował Synod Biskupów dla Amazonii w 2019 r. Chodzi o to, by liturgia była bardziej zrozumiała w kontekście miejscowej kultury.

PIĘKNO

„Jesteście kaznodziejami piękna” – powiedział Franciszek do artystów, którzy przyjechali do Watykanu na dwudniowy szczyt Summit Vitae. W spotkaniu uczestniczyła m.in. amerykańska aktorka Patricia Heaton i kanadyjska piosenkarka pop Alessia Cara.

RDC DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Niemal co trzeci gatunek drzew jest zagrożony

BREZYŁKA CIERNISTA to symbol Brazylii – dorastające kilkumetrowe drzewo dało państwu nazwę, rdzennym mieszkańcom – czerwony barwnik, a skrzypkom niezrównane smyczki. Niegdyś bujnie rosło w przereźanym już lesie atlantyckim, ciągnącym się wzdłuż wybrzeża Brazylii i północnej Argentyny, dziś jest jednym spośród przeszło 17,5 tys. gatunków drzew zagrożonych wyginieciem (na ponad 58 tys. znanych). Po drugiej stronie kontynentu szybko kurczy się populacja symbolu Chile: *Araucaria araucana* rośnie na 50 metrów, dożywa nawet 2 tys. lat i jest wyjątkowo odporna na pasożytnicze grzyby, ale bezradna wobec wycinania lasów i pożarów.

Specjaliści od ochrony przyrody coraz częściej zwracają uwagę na wymieranie drzew i próbują mu przeciwdziałać, tworząc takie inicjatywy jak Global Trees Campaign – pisze w „Nature” Aisling Irwin – to jednak trudniejsze niż ratowanie gatunków zwierząt czy mniejszych roślin. Drzewa rosną i rozmnażają się powoli, a w siedliskach tworzą sieci zależności, które trudno odtworzyć. Wiele gatunków cierpi ze względu na zmiany środowiska, inne nie mogą się rozmnażać np. z powodu wymierania zapylaczy. Już ponad 140 gatunków spotkać można wyłącznie w ogrodach botanicznych.

U rosnącego w Chinach cisu *A. argotaenia* doszło do zaburzenia proporcji płciowych. Większość pozostałej przy życiu populacji produkuje kwiaty męskie. Na szczęście w Królewskim Ogrodzie Botanicznym w Edynburgu znaleziono im partnerkę. Przygotowano już sadzonki, które trafiły do Chin. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za 30 lat drzewa doczekają się potomstwa. ©P ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

EUROPEJSKIE PRODUKCJE

„Anioły z Sindzaru” Hanny Polak i „Film balkonowy” Pawła Łozińskiego trafiły na krótką listę kandydatów do Europejskiej Nagrody Filmowej. Ogłoszenie nominacji nastąpi 8 listopada, a nagrody zostaną wręczone 10 grudnia w Reykjavíku.

POLSKIE LWY

Reżyser i scenarzysta Jerzy Domaradzki pokieruje pracami Jury Konkursu Głównego 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Obok niego filmy oceniać będą m.in. aktorka Ewa Dałkowska, scenarzysta i pisarz Cezary Harasimowicz, reżyserka Dorota Kędzierzawska i montażyстка, rektor łódzkiej Filmówki, Milenia Fiedler. W tegorocznym Konkursie Głównym o Złote Lwy powalczy wyjątkowo aż 20 filmów.

ŁÓDZKIE TAŃCE

W najbliższy weekend w Ogrodach Geyera oraz Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Łodzi odbędzie się Festiwal Sztuki i Tańca dla Dzieci „Materia i Foremka”. To jedyny w Polsce festiwal w całości poświęcony profesjonalnym spektaklom tańca współczesnego tworzonym z myślą o najmłodszej widowni. Przez cały rok „Materia” stwarzać będzie także okazje do spotkań z tańcem eksperymentalnym dla dzieci poprzez warsztaty, programy edukacyjne i badawcze, performanse, spektakle, premiery i eksperckie dyskusje.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl



MICHAŁ SZWERC / MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

TRĄBY NA KONIEC LATA. W Barcicach nad brzegami Popradu lato kończy się festiwalem Pannonica, czyli największą bałkańską potupajką w Polsce. Na scenie i pod nią mieszają się kultury i gatunki: od ukraińskiego folku z Odessy (zespół Komunna Lux – na zdjęciu), przez występ kapeli Mascaramiri, kaskadersko łączącej tradycyjne pieśni południa Włoch z twardą elektroniką, po ścianę dźwięku rumuńskiej orkiestry dętej Fanfare Ciocărlia. Trąby są tu zresztą wszędzie: od największej sceny po spontaniczne granie przy namiotach. © P K S

Japonia
kontra dyskietki

OKOŁO 1,9 TYS. PROCEDUR administracyjnych na szczeblu rządowym w Japonii nadal wiąże się z koniecznością przekazania danych na dyskietce – poinformował tamtejszy minister ds. cyfryzacji Taro Kono. Zapowiedział jak najszybszą eliminację tak archaicznego nośnika z obiegu dokumentów. Urzędy mają umożliwić petentom przesyłanie wniosków online. – Zamierzam też ostatecznie pozbyć się faksów z naszej administracji – zaznaczył Taro Kono.

W tegorocznym zestawieniu najbardziej zdigitalizowanych krajów świata, przygotowanym przez brytyjski magazyn „Global Finance”, Japonia uplasowała się na 7. miejscu na 67 sklasyfikowanych krajów (Polska zajęła 35. pozycję). W rankingu brano jednak pod uwagę jakość i dostępność niemal wszystkich usług cyfrowych, od sieci komórkowych, przez e-handel, na edukacji i cyfrowej administracji kończąc – a w tej ostatniej Japonia ma olbrzymie zaległości. Anachroniczne procedury urzędowe stały się obiektem żartów, a nawet analiz socjologicznych, z których wynika, że japoński kult oszczędności i pracowitości w niektórych przypadkach prowadzi do absurdów: w trosce o stan finansów publicznych urzędnicy eksploatują komputery z lat 90., których nie można przyłączyć do szerokopasmowego internetu. Różnie też bywa z nastawieniem do cyfryzacji samych urzędników. W 2018 r. Yoshitaka Sakurada – poprzednik Taro Kono – przyznał się, że nie umie posługiwać się komputerem, bo robi to za niego asystent.

© P MAREK RABIJ

Pomoc w trisomii

ZESPÓŁ DOWNA zdarza się średnio raz na 700 urodzeń; ryzyko wystąpienia rośnie wraz z wiekiem matki. Wiąże się z wieloma objawami – m.in. charakterystycznym wyglądem, niepełnosprawnością intelektualną, wadami serca, zaburzeniami układu kostnego i węchu. Nie istnieje obecnie możliwości wyleczenia zespołu (choć np. interwencje kardiochirurgiczne pozwalają znacznie przedłużyć życie), a badania skupiają się głównie na polepszeniu jakości życia pacjentów.

Nadzieję niosą pilotażowe badania prowadzone przez neurobiologów z Francji i Szwajcarii, których wyniki publikuje wrześniowy „Science”. Zachęcenie obiecującymi efektami prowadzonych wcześniej eksperymentów na myszach z trisomią, naukowcy wyposażyli siedmiu mężczyzn z zespołem Downa w pompy uwalniające regularnie do organizmu dawkę GnRH – hormonu regulującego funkcje rozrodcze (jego niedobory wywołują zaburzenia poznawcze). Po półrocznej terapii u sześciu pacjentów nieco polepszyła się sprawność poznawcza (m.in. zdolność skupiania uwagi i rozumienie instrukcji) oraz węch. Naukowcy rekrutują obecnie większą grupę badawczą, w tym kobiety, licząc, że prace te uutorują drogę do badań klinicznych nad terapią hormonalną.

© P MAM / SCIENCE

ŻYCIE BEZ INFORMACJI

Coraz więcej z nas aktywnie unika wiadomości.
Czy można sprawić, że będziemy się interesować światem,
a dowiadując się o trudnych sprawach zachowamy
pozytywny obraz człowieka oraz samych siebie?

TEKST: WOJCIECH BONOWICZ, ILUSTRACJA: JOANNA RUSINEK

SĄ JUŻ NA TO NAUKOWE DOWODY: na świecie przybywa ludzi niezainteresowanych aktualnymi wiadomościami, a nawet świadomie rezygnujących z ich poszukiwania. Przyczyn jest wiele – od zmęczenia trudnymi tematami przez brak zaufania do mediów po, zwłaszcza u młodszych, problemy ze zrozumieniem informacji.

Opublikowany niedawno raport Agencji Reutera nie pozostawia złudzeń. W wielu krajach widać tendencję do niekorzystania z informacji dostarczanych przez media, nawet te posługujące się nowoczesnymi technologiami. Autorzy raportu przebadali rynki medialne w 46 krajach. W niektórych, np. w Brazylii czy Wielkiej Brytanii, liczba osób deklarujących, że „często” lub „od czasu do czasu” świadomie unikają bieżących informacji, wzrosła w ostatnich pięciu latach prawie dwukrotnie. Dla wszystkich przebadanych krajów wskaźnik ten wynosi 36 proc. (w 2017 r. był o siedem punktów procentowych niższy). Czy oznacza to, że na naszych oczach kończy się „era informacji”, której początek ogłaszano z hukiem zaledwie sześć dekad temu?

Spektakl w porze wiadomości

Niekoniecznie – liczba osób regularnie szukających wiadomości w mediach wciąż przeważa nad liczbą tych, które tego unikają. Są nawet kraje, w których widać niewielkie wzrosty. Równocześnie przybywa jednak takich, o których śmiało można powiedzieć, że weszły w okres kryzysu informacyjnego – liczba

osób, dla których śledzenie newsów jest ważne lub bardzo ważne, spada tam gwałtownie. W Stanach Zjednoczonych wskaźnik takich osób obniżył się w ostatnich pięciu latach z 67 do 47 proc., w Hiszpanii – z 85 do 55 proc.

„Dlaczego zło sprzedaje się lepiej niż dobro?” – pytał przed laty na łamach „Tygodnika” filozof Jacek Filek. I przyznawał: „Jeśli ogłoszę seminarium na temat zła, przyjdzie więcej studentów, niż gdybym ogłosił seminarium na temat dobra”. W naszym świecie handlarze złem zarabiają bowiem więcej niż handlarze dobrem, twierdził Filek: „Jeśli miast wymyślniej rozmaitości zabijania i umierania dostarczać publiczności monotony obraz cudu narodzin, jeśli miast gwałtu, zdrady, nieodpowiedzialnego ekscesu zaoferować jej łagodność, wierność, odpowiedzialność, zaczniesz ziewać i w końcu poszuka czegoś bardziej ekscytującego”.

Od dziesięcioleci słychać narzekania na nadmiar złych wiadomości w mediach – obrazów przemocy, cierpienia, śmierci – a jednak programy informacyjne nadal są ich pełne. Dodajmy: treści te nie muszą być (i często nie są) podawane w sposób drastyczny, istotne jest jednak, że koncentrują uwagę odbiorców na dramatycznych stronach życia. Nawet w czasie wakacji redaktorzy serwisów znajdują informacje, które nas zaniepokoją albo przerażą. Owszem, na świecie toczą się wojny, wydarzają się katastrofy naturalne, działają terroryści czy handlarze ludzkimi organami –

i dobrze jest coś na ich temat wiedzieć. Kiedy Rosja napadła ponownie na Ukrainę, nikt nie kwestionował faktu, że wszystkie serwisy wypełniły się relacjami z frontu, także tymi mówiącymi o zbrodniach popełnianych przez agresorów. Ale jakie znaczenie ma dla nas – tu, w Polsce – informacja, że w jednej z chińskich prowincji autobus stoczył się po zboczach do rzeki, w wyniku czego straciło życie kilkadziesiąt osób?

Wzbudzanie niepokoju stało się jedną z głównych metod, jakimi posługują się ci, którzy w mediach odpowiadają za informację. Wieczorne serwisy telewizyjne od dawna już nie są zestawem najważniejszych wiadomości dnia, lecz starannie wyreżyserowanym spektaklem, który powinien trzymać widzów w napięciu. Podobnie jest na portalach; ich użytkownicy klikają najczęściej w to, co ich zaintryguje lub zaniepokoi, dlatego redakcje ścigają się w wymyślaniu chwytliwych tytułów. Nawet informacje dotyczące wydarzeń niekoniecznie gwałtownych i naruszających poczucie bezpieczeństwa są opakowywane w sposób, który ma wywołać napięcie i zaciekawienie. Badania Reutera pokazują jednak, że może dojść do „prze-grzania”: aż 36 proc. pytanym, dlaczego unika serwisów informacyjnych, odpowiedziało, że oferowane przez nie wiadomości mają zły wpływ na ich nastrój.

Bunt bezsilnych

Jakiś czas temu występowałem w programie telewizyjnym, w którym omawiano nowości książkowe; w gronie krytyczek



→ i krytyków komentowaliśmy powieści, tomy opowiadań i poezji, ale też eseje i reportaże. Któregoś razu nagrywaliśmy odcinek poświęcony książce, której tematem były zbrodnie popełnione przez jednego ze współczesnych afrykańskich dyktatorów. Rozmawiało się nam źle; reportaż był poruszający, ale też przygnębiający, bo opisane w nim zjawiska nadal miały miejsce, a o zbrodniach wiadomo było, że pozostaną nierozliczone. Kiedy wyłączono kamery, jedna z koleżanek wyznała, że nie ma już siły czytać takich książek, bo nic nie może zrobić ze straszną wiedzą, jakiej dostarczają.

Sądzę, że podobne myśli miewa każdy, kto aktywnie szuka informacji o świecie. Wiele z nich nie tylko narusza nasze poczucie bezpieczeństwa, ale wpędza w trudną do zniesienia bezradność, a nawet poczucie winy. 16 proc. osób przepytanych przez ankieterów Reutera przyznało, że nie wie, co zrobić z informacjami, które do nich docierają, i dlatego woli ich unikać. Prawie co trzecia – że jest ich zbyt wiele i nie wiadomo, co wybrać. Dla 43 proc. bieżące informacje zostały w ostatnich latach zdominowane przez politykę i covid – i dlatego wolą do nich nie zaglądać.

Uczucie bezsilności dopada nas bowiem nie tylko tam, gdzie dzieje się niesprawiedliwość, na którą nic nie możemy poradzić. Pojawia się również wtedy, gdy mamy do czynienia z przesytem informacyjnym, a informacje do nas docierające są wzajemnie sprzeczne. Unikamy wiadomości, które mogłyby nas wprowadzić w niepokój lub przygnębienie, ale i takich, których nie jesteśmy w stanie dopasować do już posiadanej wiedzy. Wiele informacji jest nam zresztą przekazywanych w sposób, który niemal uniemożliwia złożenie ich w sensowną układankę. I dzieje się tak nie tylko w przypadku wydarzeń, co do których informacje z konieczności są niepełne – jak choćby wojna w Ukrainie. Dotyczy to również najprostszych informacji ze świata polityki czy ekonomii; jako fakty prezentowane są nam bowiem domniemania i opinie, ewentualne zamierzenia przedstawiane są jako zrealizowane, a wyrwane z kontekstu wypowiedzi często zaprzatają uwagę komentatorów bardziej niż fakty. Żeby się o tym przekonać, wystarczy wykonać proste ćwiczenie: po obejrzeniu wieczornych wiadomości na którejkolwiek ze stacji telewizyjnych

U młodych linearny sposób
prezentowania informacji
w mediach zderza się ze
skłonnością do przyswajania
wiedzy „kęsami”,
w niewielkich, łatwych
do przełknięcia porcjach.

spróbujmy streścić ich zawartość domownikom. Szybko zorientujemy się, że właściwie nie wiemy, na co patrzyliśmy i czego wysłuchaliśmy – mamy w głowie zbitkę obrazów i cytatów, z której niewiele wynika.

Na portalach wygląda to jeszcze gorzej, choć na pozór są one staranniej zorganizowane i oferują wiadomości z wielu dziedzin. Jak zwracał uwagę Bernard Poulet w sławnej książce „Śmierć gazet i przyszłość informacji” (2009; przekład polski Oskara Hedemanna – 2011), w serwisach cyfrowych pojedynczy news nie działa jako część większej całości, lecz jest „fragmentem stanowiącym niezależną strukturę” i żyjącym „dzięki własnym zaletom”. Owszem, bywa, że tak opracowanej informacji towarzyszy link odsyłający do subtelniejszej, eksperckiej analizy, ale na ogół odrywa się ona od szerszego kontekstu i nie pomaga w zrozumieniu zachodzących zjawisk. „Odnosimy wrażenie, że ze wszystkich stron zalewa nas wartki i nieprzerwany strumień newsów” – pisał Poulet, a jednocześnie „z coraz większym trudem przychodzi nam zrozumienie tego, co się na tym świecie dzieje”.

Nieważna prawda

Jest jeszcze jedna przyczyna odchodzenia ludzi od informacji – brak zaufania do tych, którzy jej dostarczają. Respondenci Reutera mówią o nadmiernym uzależnieniu mediów od polityki i biznesu; niemal co trzeci spośród tych, którzy unikają wiadomości, czyni tak dlatego, że im nie ufa lub uważa je za stronnicze.

Ciekawe są pod tym względem badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych. O ile w przypadku respondentów przyznających, że rezygnują z bieżących informacji, bo mają one zły wpływ na ich nastrój, różnica między tymi, którzy mają

poglądy prawicowe, a tymi, którzy mają lewicowe, jest statystycznie nieistotna, o tyle w kwestii braku zaufania do jakości informacji rozbieżność między obiema grupami jest ogromna – taki argument wysuwa aż 65 proc. respondentów z amerykańskiej prawicy i tylko 20 proc. z lewicy.

Mit niezależności mediów upadł niedługo po tym, jak się narodził, ale nie pociągnął za sobą wiary w to, że uzyskanie obiektywnie prawdziwej informacji jest mimo wszystko możliwe. A przecież przekonanie, że wśród mediów na różne sposoby powiązanych z biznesem czy światem polityki znajdują się takie, które zainteresowane będą mówieniem prawdy, uznawane jest za fundament demokracji.

Od pewnego czasu popularność zaczęła jednak zdobywać postawa postprawdy, wedle której rozróżnienie na to, co jest i co nie jest prawdziwe, nie ma znaczenia, ponieważ liczą się inne wartości. Cóż z tego, że jakiś minister czy premier będzie mówił prawdę – np. o stanie finansów państwa czy zagrożeniach ekologicznych – skoro w ten sposób pogrzebie swoje szanse wyborcze? Dziennikarze mogą zapisać wiele stron o tym, jak mijał się z prawdą określony polityk, a mimo to jego partia poprze go w staraniach o prestiżowe stanowisko, wyborcy oddadzą nań głosy, a nawet wyjdą na ulice w jego obronie.

„Cynizm wobec wartości prawdy zawsze będzie w interesie możnych” – przestrzega amerykański filozof Michael Patrick Lynch w przedmowie do polskiego wydania fundamentalnej rozprawy „Prawda i życie” (2004; przekład polski Dawida Misztala – 2020). „Kiedy już różnica między tym, co jest, a co nie jest prawdziwe, zaczyna wydawać się mniej istotna albo mniej uchwytana, narracja dyktatora, skrajnego nacjonalisty bądź tyrana, staje się bardziej uwodząca. Mniejsza o fakty – szepcze – tylko moja opowieść jest ważna, opowieść władzy, opowieść ogarniająca świat”.

Doświadczenia amerykańskie z ostatnich lat są tu nieocenione. Za deklarowaną przez respondentów Reutera nieufność wobec mediów – zwłaszcza tradycyjnych, ale nie tylko – odpowiadają w części same media: ich niefrasobliwość w obchodzeniu się z faktami, tendencja do przekształcania programów informacyjnych w rozrywkowe czy nachalne wpływanie na postawy polityczne odbiorców. Ale najlepszym wyrazicielem postawy post-

prawdy stał się Donald Trump, który powszechną rozpoznawalność zawdzięczał występom w telewizji i plotkom powielanym w bulwarowej prasie, w kampanii wyborczej chętnie korzystał z mediów społecznościowych, za pomocą których rozpowszechniał fałszywe informacje na temat swojej kontrkandydatury, a jako prezydent zwrócił się przeciwko „mediom głównego nurtu”, które wytykały mu mianowanie się z prawdą i łamanie prawa. Widoczny obecnie wśród konserwatywnych wyborców wysoki stopień nieufności wobec mediów i dostarczanych przez nie informacji to w dużej mierze zasługa kogoś, kto dzięki mediom zaszedł tak wysoko.

Pokolenie niecierpliwych

Analitycy Agencji Reutera obserwują też uważnie to, co dzieje się w najmłodszych grupach odbiorców. Od dłuższego czasu widać w nich pogłębiający się brak zainteresowania dla serwisów informacyjnych. Młodzi za lepsze źródło wiadomości uważają media społecznościowe, które selekcionują to, co pojawia się w serwisach, a w dodatku „prywatyzują” sposób ich dostarczenia: czerpane z serwisów wiadomości docierają do użytkowników opatrzone komentarzem znajomych lub osób uznawanych przez nich za autorytety. Obserwuje się też rosnącą „niecierpliwą” młodzież odbiorców, którzy chcą wiadomości podawanych coraz zwyczajniej i atrakcyjniej, bez wchodzenia w detale. Według raportu Reutera wśród respondentów, którzy jako przyczynę unikania informacji wskazywali negatywny wpływ, jaki wywierają one na ich nastrój, największą grupę stanowili właśnie młodzi – poniżej 35. roku życia.

Raport wskazuje jednak także inną przyczynę omijania serwisów informacyjnych przez młodych: dla niektórych informacje są po prostu niezrozumiałe. „W krajach takich jak Australia, Stany Zjednoczone czy Brazylia ok. 15 proc. młodych unikających kontaktu z informacjami twierdzi, że są one dla nich zbyt trudne” – czytamy. W komentarzu zwraca się uwagę, że przyczyną może być sposób opracowania informacji – użyty język czy poziom wiedzy potrzebnej, by ją zrozumieć. Ale wpływ na odbiór mogą mieć też nawyki ukształtowane przez obcowanie z nowymi mediami, które dostarczają wiedzy fragmentarycznej, nierzadko pomijając kluczowe dla zrozumienia danego zjawiska aspekty. Typowy dla „me-

Czeka nas coraz większe
rozwarstwienie informacyjne:
szeroko i bezpłatnie będą
dostępne treści ułatwione
lub sponsorowane, za treści
pogłębione trzeba
będzie słono płacić.

diów głównego nurtu” linearny sposób prezentowania informacji i opatrywania ich wyjaśniającym komentarzem zderza się ze skłonnością do przyswajania wiedzy „kęsami”, w niewielkich, łatwych do skonsumowania porcjach.

Na to wszystko nakłada się jeszcze jeden czynnik charakterystyczny dla nowych mediów: obecność algorytmów, które selekcionują informacje, kierując się preferencjami użytkowników. Dostajemy – ujmując rzecz w skrócie – takie informacje, na jakie czekamy: odpowiadające naszym zainteresowaniom, światopoglądowi, preferencjom politycznym itp. Ktoś przyzwyczajony do poruszania się w tak sprofilowanym i odseparowanym świecie często nie rozumie tego, co dociera doń spoza jego granic. W spluralizowanej, różnorodnej rzeczywistości przybiera ona postać różnic zdań, różnorodność języków, ścieranie się poglądów – jest wyzwaniem przekraczającym ich siły.

Czy będziemy w siebie wierzyć?

Jaka jest więc przyszłość informacji? Jak sprawić, żeby ludzie interesowali się światem, a dowiadując się o trudnych sprawach, zachowali pozytywny obraz człowieka oraz samych siebie?

Wielu komentatorów zwraca uwagę, że w najbliższych latach czeka nas coraz większe rozwarstwienie informacyjne: szeroko i bezpłatnie będą dostępne treści ułatwione lub sponsorowane, natomiast za treści pogłębione, oferujące znacznie bardziej wnikliwy, złożony obraz świata, trzeba będzie płacić, i to coraz więcej. Pogłębiać się też będą podziały między grupami opisywanymi jako „bańki informacyjne”; już dziś w wielu społeczeństwach funkcjonują one obok siebie jako odrębne pasma przekazywania wiedzy

nie tylko o wydarzeniach na świecie, ale również o przeszłości, tradycji, zdrowiu, technologiach, możliwościach nauki itd. Czy można sobie wyobrazić jakieś tendencje, które przeciwstawiałyby się tym podziałom? Tendencje scalające i jednocześnie demokratyzujące obieg informacji? Na razie wydaje się to niemożliwe.

Przyjmijmy jeszcze perspektywę lokalną. Polskie doświadczenia z ostatnich miesięcy pokazują, że są sprawy, o których potrafimy się informować w sposób zbliżony, niezależnie od podziałów, które między nami istnieją. Wojna na Ukrainie przyniosła – na krótko, to prawda – coś w rodzaju ożywienia, nieobejmującego wprawdzie całości społeczeństwa (a więc także całości jego politycznej i medialnej reprezentacji), ale jednak zdecydowaną większość. Od mediów w tej sytuacji oczekiwano nie tylko informowania o faktach, ale też odpowiedzi na pytanie: co możemy zrobić? Tej solidarności – informacyjnej i w konsekwencji humanitarnej – zabrakło wcześniej przy wydarzeniach na białorusko-polskiej granicy; zbyt szybko rządzący zaczęli tam „robić politykę”, w nieprzestrzeganiu prawa dostrzegając ewentualną korzyść propagandową. Przyzwyczajeni do dwóch diametralnie różnych obrazów świata w pierwszych dniach po agresji Rosji na Ukrainę przecieraliśmy oczy ze zdumienia – informacje dostarczone przez telewizję rządową i stacje niezależne niemal nie różniły się od siebie.

Oczywiście, wojna naruszyła nasze poczucie bezpieczeństwa bardziej niż inne wydarzenia ostatnich lat, z pandemią łącznie. Solidarna reakcja wielu z nas była jednak czymś więcej niż tylko reakcją obronną. W świecie, w którym mówi się o zaniku autorytetów, nieoczekiwanie autorytetem stały się tysiące ludzi, którzy spontanicznie ruszyli z pomocą. Obraz ten łatwo można zdekonstruować, przykryć innymi, znacznie mniej optymistycznymi – tak jak przykryto i w konsekwencji zniszczono mity pierwszej Solidarności.

Ale jeżeli mamy na czymś zbudować pozytywną wizję samych siebie, a więc także pozytywną politykę informacyjną na przyszłość, to właśnie na tym szeroko relacjonowanym w mediach obrazie, który – przypomnijmy to sobie – przez wiele dni, a nawet tygodni zapierał nam dech w piersiach.

© WOJCIECH BONOWICZ

Współpraca: PATRYK STANIK

W dżungli zdarzeń

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Nie jest psychicznie korzystne, aby unikać wszystkich negatywnych informacji. Jeśli tak robimy, tracimy kontakt ze światem, samym sobą i swoimi emocjami.

MARCIN ŻYŁA: Rozłożyłem przed sobą wiejską gazetę z początku XX w. Są w niej informacje z regionu, ogłoszenia o jarmarkach plus parę ciekawostek z wiedeńskiego dworu. Wtedy wiedza wielu Europejczyków o świecie ograniczała się do tego, co działo się najbliżej nich. Może więcej wiadomości nam nie trzeba?

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA: A czy ludzie nie byli zawsze ciekawi wieści z daleka? Podróżnicy wyprawiali się w odległe kraje, a ich sprawozdania wzbudzały ekscytację. Latem po wsiach wędrowali żebracy, by zimą osiąść na łaskawym chlebie, za który płacili opowieściami z dalekiego świata, czasem odległego o raptem sto kilometrów. Młodych ludzi, oczywiście głównie mężczyzn z wyższych warstw społecznych, wysyłano za granicę, żeby się zapoznali z życiem poza ich strefą komfortu. Wygląda na to, że nie tylko w naszych czasach ludzie poszukiwali wiadomości o tym, co się dzieje tam, gdzie ich nie ma, a poszerzanie horyzontów było traktowane jako wartość, choć teraz możliwości zdobywania wiedzy o świecie jest wielokrotnie więcej.

Tymczasem przywoływany przez Wojciecha Bonowicza raport Agencji Reutera mówi, że w ciągu ostatnich pięciu lat w niektórych krajach podwoiła się liczba osób unikających wiadomości.

Interpretowałabym te dane ostrożnie. Nie znam metodologii, nie wiem, jak brzmiały pytania, ale przypuszczam, że deklaracja o „unikaniu wiadomości” często dotyczy przygotowanych jako pewna całość programów informacyjnych. Nie jestem pewna, na ile te badania uwzględniły również „sprywatyzowane” formy odbioru informacji, czyli indywidualnie profilowane przez odbiorcę dla samego siebie.

Być może ludzie podchodzą do wiadomości selektywnie. Wybierają tematy, które ich interesują, czy źródła, z których korzystają i mogą bez kontaktu z powszechnymi kanałami informacji mieć olbrzymią wiedzę np. na temat odnawialnych źródeł energii, pocisków zatopionych w czasie wojny na dnie mórz czy nowych metod leczenia nowotworów złośliwych, a choćby i piłki ręcznej.

A zatem wiadomości nie jest dziś „za dużo”?

Ludzie bardzo różnią się pod tym względem. Niektórzy doznają przesyty informacji, bo nie ze swojej winy nie nauczyli się radzić sobie z newsowym bogactwem, informacje nie łączą im się w ciągi skutkowo-przyczynowe, nie są umieszczane w przestrzeni historycznej, społecznej czy ekonomicznej. Zabrakło kapitału kulturowego i dobrej edukacji. Dlatego teraz płyną w „dżungli zdarzeń”, jak w tym wierszu Tuwima:

*Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc – widzą wszystko oddzielnie:
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo (...)
I znów mówią, że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.*

Natomiast ci, którzy mieli więcej szczęścia, dysponują złożonością poznawczą i dobrą umiejętnością selekcji oraz przetwarzania informacji, potrafią wiadomość, nawet samą w sobie przykra, zobaczyć w szerszym kontekście. Rozumieją związki między Staśkiem a koniem, Rosją a wojną, przeszłością a teraźniejszością. Kiedy dowiadują się, że amerykański dron zabił przywódcę Al-Kaidy, umieszczają to wydarzenie w całym ciągu zdarzeń, które znają

i pamiętają, zapewne począwszy od zamachów z 11 września. Postrzegają rzeczywistość po popperowsku, czyli kontekstualnie, z uwzględnieniem historii i okoliczności towarzyszących, podobnych wydarzeń czy przewidywanych skutków.

Czy tę umiejętność można ćwiczyć?

Już w dzieciństwie dziecko ma okazje poznawać rzeczywistość w jej pełni i złożoności. Np. kiedy przedszkolak dowiadyuje się od rodziców, że jeśli kolega popycha inne dzieci, to niekoniecznie oznacza to, że jest „nieдобry i niegrzeczny”. Ale czasem rodzice przekazują uproszczony i jednoznaczny obraz świata: „to jest złe, a to dobre, to ładne, a to brzydkie, ty masz tak robić, ponieważ uważamy, że tak jest dobrze”. Oczywiście duże znaczenie ma edukacja szkolna, uczenie dzieci, żeby widziały świat wieloaspektowo, aby jak Tewje ze „Skrzypka na dachu” umiały powiedzieć: „Tak, ale z drugiej strony...”, aby chciały mądrze wątpić i nie poprzestać na najłatwiejszych odpowiedziach podsuniętych przez autorytety albo „autorytety”.

A dorośli?

Jeśli ktoś w ogóle stawia sobie takie pytania, mówi: „Ja sądzę, że jest tak, ale chciałbym poznać inny punkt widzenia, zrozumieć tych, którzy się nie zgadzają”, albo: „Zastanawiam się, z czego to wynika” – to jest na dobrej drodze, właściwie już osiągnął poziom refleksyjności potrzebny, by móc z pożytkiem korzystać z informacyjnego bogactwa. Ważne jest rozumienie, że wiadomości mogą być jednocześnie i dobre, i złe. Radzenie sobie z tym to umiejętność zwana tolerancją na wieloznaczność. Pisarz Salman Rushdie został niedawno ugodzony nożem przez młodego fanatyka. Straszna wiadomość. Ale przeżył, zachował nawet swoje poczucie humoru. Może więc nie jest to tylko zła wiadomość, skoro zamiar atakującego spalił na panewce, a pisarz radzi sobie psychicznie?

Przed chwilą obejrzałam w TVN „Fakty”. Podano m.in. informację o tym, że pierwszą ustawą, którą zaproponuje Donald Tusk w parlamencie po wygranych wyborach, będzie prawo dopuszczające aborcję do 12. tygodnia ciąży. Ta wiadomość ucieszy wiele osób, zwłaszcza bardzo dużo kobiet na nią czekało. Inni uznają ją za złą z powodów światło-



ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ZOFIA MILSKA-WRZOŚIŃSKA jest psycholożką, psychoterapeutką i superwizorką psychoterapeutów w warszawskim Laboratorium Psychoedukacji.

poglądowych. A niektórzy będą zakłopotani, bo z jednej strony chcieliby takiego prawa, ale z drugiej obawiają się, że propozycja Tuska będzie dla niektórych potencjalnych wyborców zbyt radykalna i zmniejszy szanse zwycięstwa opozycji.

Inna wiadomość: w szpitalu w Konstancinie, ze względu na masowe rezygnacje lekarzy, zlikwidowano oddział psychiatrii dziecięcej. Zdecydowana większość z nas uzna tę informację za złą. Ale dla osób z branży – psychoterapeutów, psychiatrów, psychologów – sam fakt, że od pewnego czasu wreszcie głośno mówi się o przemilczanych wieloletnich zaniedbaniach w ochronie zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży, jest korzystny.

Są jednak wydarzenia jednoznacznie negatywne: wojny, katastrofy, pandemie.

Bo wydarzenia negatywne są częściej przeżywane jako jednoznaczne, a pozytywne rzadziej są odbierane tak jednolicie. Wybuch pandemii mało kto uznał za dobrą wiadomość. Ale już informacja o pojawieniu się na rynku szczepionki, dla większości pozytywna, nie była, jak pamiętamy, akceptowana jednomyślnie. Albo inny przykład: Bucza – zło w czystej postaci. Zbiórka na dron Bayraktar – zachwyt, ale i moralizujące potępienie.

Skądinąd teza, że złe wiadomości działają negatywnie, nie jest oczywista. Nie wszyscy reagują przynęceniem na wiadomości o katastrofach czy morder-

stwach. Często wiadomości, które zawierają w sobie niepokojącą treść, mobilizują do działania, jak choćby informacja o masakrze w Buczy.

To skąd bierze się nasze zafiksowanie na złych treściach, które docierają przez media?

Emocjonalnie silniej reagujemy na informacje o wydarzeniach nagłych i niespodziewanych – a takie znacznie częściej są złe. Dobro na ogół dzieje się wolniej, stopniowo – porównajmy choćby czas bombardowania z czasem odbudowy. Ale wiadomość, że tydzień po trzęsieniu ziemi udało się spod gruzów wyciągnąć żywego człowieka, jednoznacznie dobra, również spotyka się z wielkim zainteresowaniem – element zaskoczenia gra tu dużą rolę.

Psycholog Steven Pinker, uznawany przez krytyków za nierealistycznego optymistę, twierdzi, że świat zmierza ku lepszemu. Posługuje się takimi wskaźnikami, jak śmiertelność okołoporodowa, średnia długość życia czy skuteczne leczenie chorób wcześniej uznawanych za terminalne. Dostrzegają jednak, że w mediach tej korzystnej zmiany nie widać. Reporter, jak pisze Pinker, na ogół nadaje relację z miejsca, gdzie toczy się wojna, gdzie wybuchł pożar, gdzie właśnie doszło do katastrofy. Nie przekazuje z rynku miasteczka relacji, że właśnie dobiega końca zwykły dzień, nikt nie umarł, w szkole było 95 proc. frekwencji, a jedna z mieszkank

wróciła do domu po udanym leczeniu zapalenia płuc.

To jednak nie tyle wina, ile efekt działania mediów. Media nie mogą być inne.

Pinker idzie dalej: uważa, że to ma przełożenie na naszą świadomość. Podaje znany przykład lęku przed podróżą samolotem – a więc najbezpieczniejszą formą podróży – której jednak ludzie najbardziej się obawiają. Dlaczego? Zdaniem Pinkera gdy dochodzi do katastrofy lotniczej, a więc wydarzenia rzadkiego, wyjątkowego, media relacjonują je bardzo intensywnie, często przez wiele tygodni. Sto poważnych wypadków samochodowych w ciągu jednego weekendu nigdy nie wzbudzi takiego zainteresowania. A więc w świadomości odbiorcy zostaje wrażenie, że „samoloty spadają”, bo ciągle się o tym mówi.

Skądinąd z badań Trusslera i Soroki, przeprowadzonych kilka lat temu na Uniwersytecie McGill w Montrealu, wynika, że ludzie wprawdzie deklarują, że wolą dobre wiadomości, ale jeśli mają wybór, sięgają po te złe. Z innych badań Soroki wynika, że gdy bada się wskaźniki fizjologiczne, ludzie wykazują większe pobudzenie i czujność w reakcji na pokazywane im negatywne wiadomości, pozytywne takiego efektu nie wzbudzają. Być może ma to znaczenie ewolucyjne – człowiek jest bezpieczniejszy, gdy zmobilizuje się w oczekiwaniu na zagrożenie. Ale, co ciekawe, wyniki te dotyczyły ludzi rasy białej, z kręgu kultury anglosaskiej. Gdy Soroka i współpracownicy w roku 2019 powtórzyli eksperyment na większej grupie osób badanych w 17 krajach na 6 kontynentach, okazało się, że efekt jest znacznie słabszy, co więcej: występują bardzo duże różnice indywidualne.

Tezie o tym, że tracimy zainteresowanie wiadomościami – i że nie poznajemy ich kontekstów ➔

→ – **przeczy popularność podcastów czy książkowych reportaży. Może dziś potrzebujemy innych, nowych opowieści?**

To argument za tym, że odbiorcy bardziej świadomie wybierają – czasem tematykę, czasem formę. Wiele osób ma specyficzne zainteresowania, np. koncentrują się na operacjach militarnych czy dowodzeniu i szukają informacji o wojnie w Ukrainie przede wszystkim pod tym kątem. Jeśli ktoś mówi, że nie interesują go wiadomości, zwykle chce przekazać: „Nie ciekawi mnie gotowiec o wszystkim, sam sobie znajdę to, co jest zgodne z moimi potrzebami”.

A czasem dla własnego dobrostanu decydujemy o odpoczynku od wiadomości. Pamiętam wybory w 1990 r., kiedy Tadeusz Mazowiecki przegrał w pierwszej turze ze Stanem Tymińskim. Przez kolejne dwa tygodnie, aż do drugiej tury, unikałam informacji na temat wyborów, ponieważ to, że Polacy przedłożyli podejrzaną postać znikąd nad kogoś takiego jak Mazowiecki, wzbudziło we mnie silne uczucia złości i rozczarowania, więc chciałam się przed tym chronić. Robiłam to, dopóki Tymiński nie zniknął z horyzontu.

Na niektórych etapach życia zaangażowanie w złe wiadomości jest zbyt bolesne. Np. młodzi rodzice często unikają w mediach szczegółowych doniesień o przemocy wobec dzieci. Młoda matka czy ojciec może w takiej sytuacji doświadczyć bezsilności i lęku o swoje dziecko. Wtedy odmawianie kontaktu z takimi informacjami to zdrowa reakcja.

Jest jednak granica, po przekroczeniu której, jeśli uciekamy od wiadomości, tracimy kontakt z rzeczywistością.

Uznanie, że świat obfituje również w zjawiska jednoznacznie negatywne, jest częścią naszego człowieczeństwa. Nie jest psychicznie korzystne, aby unikać wszystkich negatywnych informacji. Jeśli tak robimy, tracimy kontakt ze światem, samym sobą i swoimi emocjami. Zaczynamy żyć w świecie klatce, oddzieleni od życia takiego, jakim ono jest.

Wiadomości mogą być jednocześnie i dobre, i złe.

Radzenie sobie z tym
to umiejętność
zwana tolerancją
na wieloznaczność.

Przychodzi mi na myśl zjawisko będące pokłosiem tzw. *cancel culture* na amerykańskich uniwersytetach, gdzie zdarza się, że nie można zorganizować dyskusji na jakiś temat, ponieważ mogłoby to urazić czyjeś uczucia. To opaczne rozumienie dbałości o komfort psychiczny. Trudno poznać dobro, jeśli nie rozumiemy zła i jego przyczyn. W realnym świecie nie ma możliwości odizolowania się od zła. Komfort psychiczny powinien opierać się na wierze, że potrafimy sobie z tym poradzić, a unikamy tylko tego, co jest ponad nasze siły. Ale przecież nie powinno być ponad nasze siły zetknięcie się z innym punktem widzenia, chyba że jest to kłamliwa oszczerca propaganda.

Zamykając się na negatywne wiadomości jesteśmy jak dyktator, który otrzymuje od swoich podwładnych tylko dobre wieści, ponieważ podwładni nauczyli się, że władca takich oczekuje. Jeśli w taki sposób upośledzimy się informacyjnie, o wielu ważnych dla nas czy dla naszych bliskich rzeczach się nie dowiemy, więc nie będziemy na nie przygotowani.

Wróć więc do pytania o to, jak należy dziś opowiadać i rozumieć świat.

Żeby wyczerpująco mówić o świecie, a nie tylko o doraźnych, najczęściej negatywnych zdarzeniach, trzeba sięgać szerzej. Jeśli stało się coś trudnego i bolesnego, to dobrze dodać komentarz o tym, jak można rozumieć to, co się wydarzyło.

W radiu i telewizji jest jednak mało miejsca na pogłębioną analizę.

Sama zresztą nie oczekuję takiej analizy po serwisach informacyjnych. Oglądając np. „Fakty” chciałabym, aby nadawca powiedział mi o najważniejszych rzeczach, które zaszły na świecie w ciągu ostatnich 24 godzin. Nie zawsze ta selekcja jest zgodna z moimi zainteresowaniami, ale tak czy inaczej te 25 minut to nie miejsce na komentarz. Wyjaśnienia złożoności, pogłębienia informacji trzeba szukać samemu.

To oznacza, że nie wszyscy to robią.

To prawda. Dlatego najważniejszą rolę do odegrania ma szkoła. Powinna uczyć, jak korzystać z różnych mediów, jak sprawdzać źródła, jak rozpoznawać fake newsy, w jaki sposób wybierać informacje, na czym polega ich obieg w społeczeństwie.

Wywołała Pani u mnie wspomnienie 11 września 2001 r. – wielu godzin oglądania transmisji na żywo, a potem, późno wieczorem, po wyłączeniu telewizora, wielkiego lęku o to, że świat, który dotąd znałem, na zawsze się kończy. Taki komentarz bardzo by się wtedy przydał.

Pana reakcja wydaje się prawidłowa – w obliczu takich zdarzeń wręcz powinno się doznać wielkiego przerażenia. Podobnie zareagowałam w styczniu 2021 r. podczas szturmowania zwolenników Trumpa na Kapitol, również miałam wrażenie, że może kończyć się cywilizacja, jaką znałam. Długo tkwiłam przed ekranem, szukając odpowiedzi, co się dzieje, jak do tego doszło, jak to się rozwinie. To prawidłowa emocjonalnie reakcja. Nie da się nie przeżywać negatywnych uczuć w reakcji na świat, bo bez nich byłibyśmy bierni i obojętni na zło, które dzieje się wokół.

Aby jednak zakończyć dobrą wiadomością, zacytuję Ericha Fromma: „Twierdzenie, że ludzka natura jest zła, nie jest bardziej realistyczne, niż że ludzka natura jest dobra. Ale ta pierwsza teza jest znacznie łatwiejsza do udowodnienia”.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA





„TP” 33 / 2022

Nasze ponadczasowe wady

Artykuł „Jaśnie oświecony łotr” Piotra Sautera-Zawadzkiego wzbudził moje głębokie refleksje. Czytam „TP” od samych jego początków i myślę, że tekst może pretendować do grona tych, które w historii pisma zapisały się jako epokowe. Z tekstu artykułu wynika bowiem jak na dłoni, że w świecie polityki nasze wady okazały się ponadczasowe i dziś nic nie straciły ze swojej aktualności – inne są teraz tylko „elity”. Pokazany w artykule obraz Jana Matejki „Rejtan. Upadek Polski”

mam w oczach od samego dzieciństwa, gdyż jego malowana kopia wisiała w moim domu rodzicielskim na ścianie. Zawsze niepokoił mnie leżący Rejtan i jego niemy protest. Podobno historia się nie powtarza – ale czy nigdy?

ZBIGNIEW

Jest mi dobrze z „TP”

Leżę z covidem w łóżku, i odkąd temperatura i brak światłowstrętu pozwalają mi wyjąć rękę spod kołdry, doczytuję stare numery. No i wspominam. Jestem z rocznika 1962, o „TP” w dawniejszych latach tylko słyszałam. Postanowiłam go zaprenumerować, kiedy dowiedziałam się, że „Tygodnik” ma kłopoty finansowe. Pamiętam, że przez jakiś czas przychodziły dwa egzemplarze, z których jeden przysyłałam koleżance, zadeklarowanej katoliczce, ale z rodzaju tych mistycznych. Od razu przyznała, że to nie jej bajka. A dla mnie były artykuły Piotra Sikory, który

na czynniki pierwsze rozkładał i wyjaśniał to, co ja, wychowana w Kościele, powinnam mieć w małym palcu, ale widocznie to zaniedbałam. Pamiętam, że brakowało mi naprawdę bezstronnych tekstów o polityce prawicy, a szczególnie pochyleń się nad motywacjami – i tych na szczeblach władzy, i ich zwolenników. Ten brak zrozumienia to było dla mnie dzielenie ludzi na klasy i strzelanie do jednej, i to pustej, bramki. I za każdym razem zastanawiałam się, czy przykładam do tego rękę, czyli moje pieniądze. Ale i tak ciągle przedłużałam prenumeratę. Oczywiście przesłałam czas buntu przeciw nowemu formatowi, i teraz uparcie trwam przy wydaniach papierowych. Z „Tygodnikiem” były różne zabawne sytuacje – np. czyjeś zdziwienie, że u nas w domu leżą obok siebie numery „TP” i „Playboya”. Albo zdarzenie z kawiarni, gdzie przypadkiem zostawiłam wydanie specjalne, a po pół roku ciągle

tam było, z wyraźnymi znakami czytania. Bliska mi osoba, będąca w bardzo trudnej sytuacji, wysłała mi kiedyś esemesa: „Byłam na zakupach, spotkałam ks. Bonieckiego. Są ludzie, od których bije dobroć. Trochę mi lepiej”. Przy czym wymienili tylko „dzień dobry”. Jest mi dobrze z „Tygodnikiem”. Chciałam wymienić dlaczego, ale powiem tylko, że z przyjemnością czytam teksty Tomasza P. Terlikowskiego.

ANNA

Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas nowy, tygodnikowy kubek!



GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabi, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Łamza
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Janikowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomańska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Sumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:

Słuchaj, Izraelu



JAKI POWINIEN BYĆ PIERWSZY WERS BIBLIJNY, którego nauczymy naszą właśnie zaczynając mówić latorośl? Kodeks prawa żydowskiego mieści odpowiedź i na to pytanie. Mianowicie: należy zacząć od „Tora, przykazana nam przez Mojżesza, jest dziełstwem zgromadzenia Jakuba” (Pwt 33, 4), po czym przejść do „Słuchaj, Izraelu: Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jedyny” (Pwt 6, 4). Na te fundamentalne dla judaizmu wersy napotykamy w liturgii z różną częstotliwością: pierwszy usłyszymy tylko w niektórych synagogach podczas publicznego czytania ze zwoju Tory, natomiast drugi powtarzać się będzie nieustannie. Pojawi się więcej niż raz w ciągu dnia – religijni Żydzi modlą się, z grubsza, trzy razy dziennie – a czasem nawet więcej niż raz podczas jednego nabożeństwa. Dlaczego? Albowiem „Słuchaj, Izraelu...” (hebr. *szema jisrael*) otwiera modlitwę/nie-modlitwę odmawianą rano i wieczorem, a przez niektórych jeszcze zwyczajowo przed zaśnięciem.

Dlaczego nazwałam „Szema Jisrael” nie-modlitwą? Ponieważ to jeden wielki cytat biblijny, złożony z trzech fragmentów: Pwt 6, 4-9, potem Pwt 11, 13-21, a następnie Lb 15, 37-41. Po pierwszym wersie jest jeszcze wstawka niebiblijna: „Błogosławione Imię chwały Jego panowania po wsze czasy”. Poza jednym dniem w roku – Jom Kipur – odmawiamy ją po cichu. Jedna tradycja powiada, że Mojżesz usłyszał to zdanie od aniołów, a my nie jesteśmy godni wychwalać Najwyższego tak jak oni, wyłączając jeden jedyny dzień, gdy stajemy się im podobni. Druga tradycja przypisuje to zdanie Praojcu Jakubowi – przed śmiercią zebrał swoich synów i frasował się, że nie pozostaną wierni jego Bogu. Synowie powiedzieli: „Słuchaj, [nasz tato] Izraelu: Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jedyny”. Uspokojony Jakub-Izrael na to: „Błogosławione Imię chwały Jego panowania po wsze czasy”.

„Szema” stanowi deklarację „przyjęcia jarzma królestwa niebieskiego”. Można by ją nazwać także żydowskim *credo*, ponieważ porusza następujące kwestie: monoteizm nade wszystko, zobowiązanie do miłości wobec Boga, studiowanie Tory i nauczanie jej dzieci, przestrzeganie przykazań – w szczególności zakładanie filakterii i przytwierdzenie mezuzy do framugi drzwi, kara i nagroda, noszenie rytualnych frędzli oraz wyjście z Egiptu. W „Szema” czytamy, że winniśmy uczyć tych słów dzieci „kładąc się i wstając” (por. Pwt 6, 7) – stąd wniosek starożytnego mędrca Hilela, by dwukrotnie w ciągu dnia odmówić tę modlitwę: wieczorem i rano. Ci, którzy chcą zasnąć z Torą na ustach, powtarzają jeszcze „Szema” leżąc w łóżku. Również ci, którzy zasypiają na wieki – męczennicy za wiarę, ale i pospolici śmiertelnicy, których czas dobiegł końca – często wydają ostatnie tchnienie mówiąc: „Słuchaj, Izraelu”. ©

O. WACŁAW

Oszajca:

Bóg petentem



„PAN MÓWIŁ DO MOJŻESZA: »PRZEKONAŁEM się, że to jest lud o twardym karku. Nie powstrzymuj mnie. Zapalam gniewem i zgładzę ich«”. „Pozwól Mi, aby rozpałił się gniew mój na nich. Chcę ich wyniszczyć”. „A teraz zostaw Mnie, a rozpali

się gniew Mój na nich i zgładzę ich”. Przekłady różne, ale sens ten sam. Bóg, zagniewany na swój ukochany lud do granic możliwości, za którą to granicą rozciąga się już tylko niekończące się odrzucenie, postanawia wymierzyć temu ludowi karę. Staje się jednak coś niespotykanego, ten nieskończenie obrażony Bóg zwraca się do człowieka, przywódcy niewiernego ludu, do Mojżesza, i prosi go o zgodę na działanie. Wszechmogący stawia się w roli petenta, uzależnia się od woli stworzenia i ulega Mojżeszowi: „I użalił się Wiekuisty nad złem, o którym mówił, że sprowadzi je na lud Swój”, albo: „Wówczas to Pan zaniechał zła, jakie zamierzał zesłać na swój lud”. Nie pierwszy to tego typu przypadek. Pamiętamy, jak to Abraham wierząc, że Bóg żąda od niego krwawej ofiary z Izaaka, chciał syna zabić, usłyszał: „Nie podnoś ręki na tego chłopca i nie czyn mu nic złego”.

Po wiekach Paweł z Tarsu, „wysłannik Pomazańca Jezusa”, „apostoł Chrystusa Jezusa”, będzie pisał do Tymoteusza: „Choć niegdyś byłem bluźniercą, prześladowcą i gnębicielem, doznałem jednak miłosierdzia”, jako że „Chrystus Jezus przyszedł na świat zbawić grzeszników”. Dlatego Bóg nie jest tym, który śledzi człowieka, nie spuszcza go z oka i tylko przemysłowa, jak by człowieka dopaść i sprawiedliwie ukarać. Przeciwnie, robi wszystko, żeby go wyrwać z niedoli, w którą człowiek sam, lub przy pomocy innych, siebie wpakował. Bóg czuwa i czeka, kiedy tylko grzesznik zrobi pierwszy krok, wtedy wybiega mu naprzeciw, „bierze z radością na ramiona” i „rzuca mu się na szyję”, wita pocałunkiem i dla całej ziemi i całego nieba wydaje wystawne przyjęcie.

Nasz pasterz Jezus, „Bóg z Boga, światłość ze światłości; Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego”, jest pasterzem, że tak powiem, do kwadratu. Ratuje owcę dwa razy, a nie tylko raz. Wyrwa ją z niebezpieczeństwa, które sama na siebie sprowadziła i z niebezpieczeństwa, które banitce groziło również ze strony pasterza i właściciela stada. Gdzieś czytałem, że takie odnalezione owce banitki zabija się z obawy, że uwiodą one pozostałe owce. Skutek takich działań łatwo przewidzieć. Jezus odnalezioną nie zabija, ale „po powrocie do domu zwołuje przyjaciół i sąsiadów i mówi im: »Cieszcie się ze mną, bo znalazłem moją zaginioną owcę«. Mówię wam: Większa będzie radość w niebie z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

W pojedynkę do tłumów

Umysł rozpalony
pragnieniem jedności
z Bogiem, pełen mocy,
praktykując uwagę,
dostrzega i wypędza myśli,
które powiewają
na powierzchni serca.

METODA ŚWIĘTEJ MODLITWY

I UWAGI



Umysł, który szuka oparcia
w przedmiotach,
utyka – w tym lub
w innym miejscu.

ŚANTIDEWA



CZYTAMY OSTATNIO w liturgii mszy kolejne fragmenty Pierwszego Listu do Koryntian. Słyszeliśmy m.in. ta-

kie zdania: „Niech uważają nas ludzie za sługi Chrystusa i za szafarzy tajemnic Bożych. A od szafarzy już tutaj się żąda, aby każdy z nich był wierny” (1 Kor 4, 1-2).

Podczas medytacji nad tym tekstem uderzył mnie drobniak: zarówno w greckim oryginale Pawłowego tekstu, jak i w łacińskim tłumaczeniu św. Hieronima użyte w naszym tłumaczeniu słowo „ludzie” pada w liczbie pojedynczej (grec. *logizostho antropos*; łac. *existimet homo*). Taki zwrot można zapewne tłumaczyć bezosobowo („niechby się uważało nas”). Ale może też to delikatne potwierdzenie zasady, iż ewangelizacja – czyli przekaz wiary – musi być ostatecznie skierowana do osoby, musi dotrzeć do konkretnego człowieka, indywidualnie, z pytaniami, orędziem i obietnicą, które dotyczą go osobiście i głęboko rezonują w jego wnętrzu i życiu.

Z kolei o tych, którzy przekazują orędzie zbawienia, tekst mówi w liczbie mnogiej: „nas”, „sługi”, „szafarzy”. I to znów – być może – nie musi od razu przykuwać uwagi czytelnika; z drugiej strony jednak może podkreślać to, że Ewangelię ostatecznie zawsze przekazuje wspólnota – Kościół. O ile przyjęcie Dobrej Nowiny rozstrzyga się w pojedynczej osobie, to jej skuteczne gło-

szenie zlecone jest przez Pana wspólnocie: nie bez powodu Jezus posyłał na każdą misję swoich uczniów „po dwóch”, i nie bez powodu w taki sam sposób przedstawiają nam misję chrześcijańską Dzieje Apostolskie – zawsze dwójkami: Piotr i Jan, Barnaba i Paweł, Barnaba i Marek, Paweł i Syłas itd. Trudno nie zauważyć, jak dalece nasze działanie pastoralne odbiega od tego modelu; może nawet najczęściej stanowi jego odwrotność!

Jesteśmy skoncentrowani na przemawianiu do zbiorowości – najlepiej do tłumów. Ale nawet, jak ich nie ma, to cieszymy się, zwracając się do „klasy”, do „szkoły”, do takiej czy innej grupy. Jeśli na ogłoszone kościelne spotkanie przyjdzie jedna czy dwie osoby (zamiast spodziewanych pięćdziesięciu, stu czy dwustu), mamy poczucie straty czasu. Widzimy klęskę – tam gdzie właśnie się otwarła możliwość prawdziwej ewangelizacji.

Z kolei ruszając ku ewangelizacji – podejmując ją z większym czy mniejszym entuzjazmem – najchętniej czynimy to w pojedynkę (w końcu sami „najlepiej wiemy, co i jak należy zrobić”; „nikt też nie robi tego lepiej od nas”...). Zamiast pójść razem (dając w ten sposób czytelne świadectwo miłości), potrafimy wręcz wzajemnie między sobą konkurować – ścigać się, kto lepszy, i absolutyzować (jako jedyne właściwe) swoje własne formy przekazu.

Stawiamy więc na głowie całą logikę przekazu Dobrej Nowiny. I dziwimy się, że „nie działa”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 IX)

24. niedziela zwykła: Wj 32, 7-11. 13-14;

Ps 51; 1 Tm 1, 12-17; Łk 15, 1-32;

Poniedziałek: 1 Kor 11, 17-26. 33; Ps 40; Łk 7, 1-10;

Wtorek: 1 Kor 12, 12-14. 27-31a; Ps 100; Łk 7, 11-17;

Środa: Lb 21, 4b-9 lub Flp 2, 6-11; Ps 78; J 3, 13-17;

Czwartek: Hbr 5, 7-9; Ps 31; J 19, 25-27;

Piątek: 1 Kor 15, 12-20; Ps 17; Łk 8, 1-3;

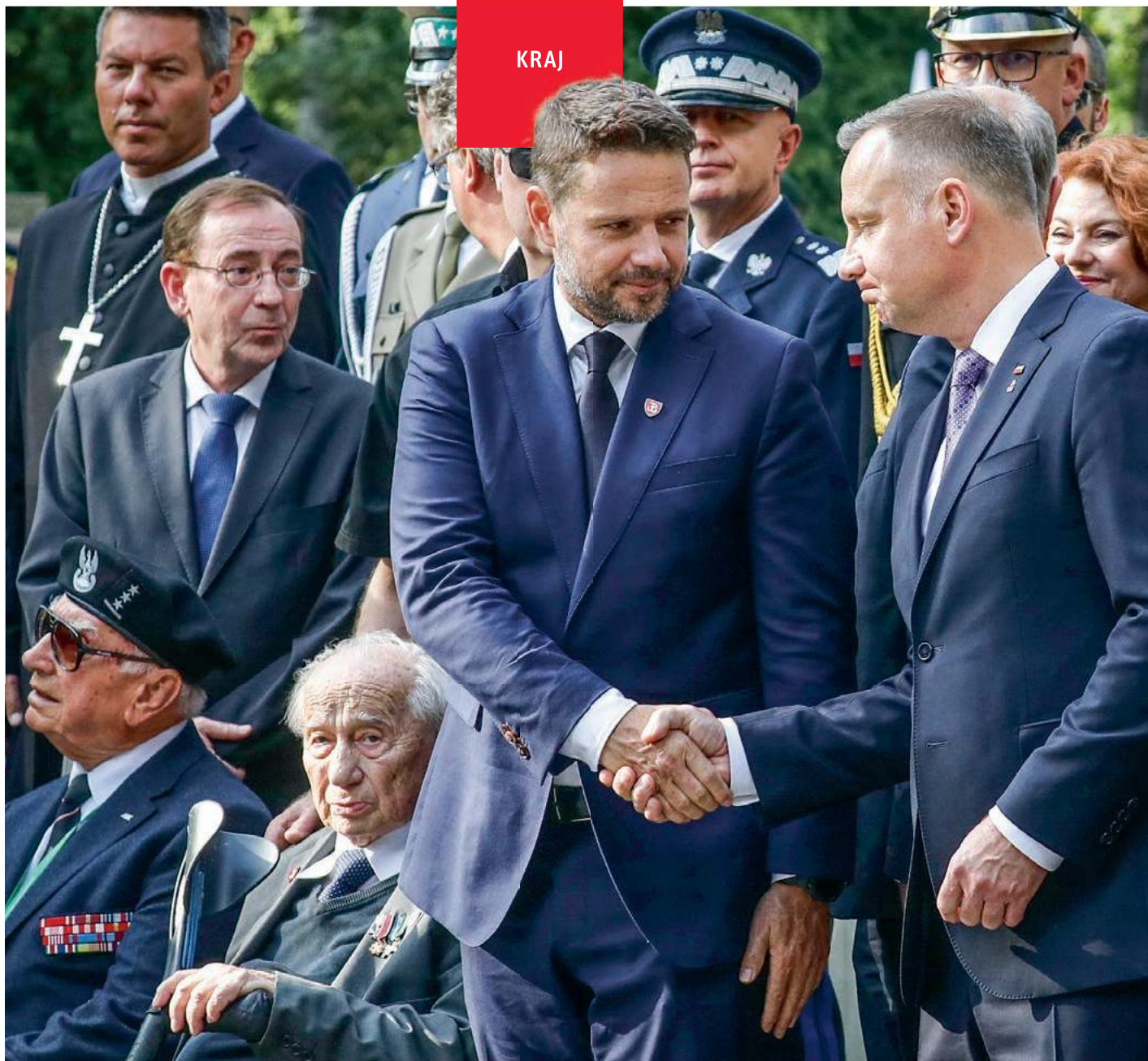
Sobota: 1 Kor 15, 35-37. 42-49; Ps 56; Łk 8, 4-15;

25. niedziela zwykła: Am 8, 4-7; Ps 113;

1 Tm 2, 1-8; Łk 16, 1-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



WYJŚĆ Z BUTÓW KACZYŃSKIEGO

Sędziowie powołani na wniosek neo-KRS, prezes NBP, wreszcie prezydent Duda.
Część opozycji zapowiada, że po przejęciu władzy wyśle ich na zieloną trawkę.
Byłaby to realizacja doktryny Prawa i Sprawiedliwości.

STEFAN SĘKOWSKI



Uroczystości przed pomnikiem Gloria Victis w 78. rocznicę powstania warszawskiego, Warszawa, 1 sierpnia 2022 r.

rację ustrojowego demontażu danej instytucji (TK, KRS, SN). Z kolei w celu uczynienia z mediów publicznych tuby propagandowej niezgodnej z ustawą zasadniczą (stwierdził to Trybunał jeszcze przed przejściem go przez PiS) wydrążono Krajową Radę Radiofonii i Telewizji z jej kompetencji i ustawiono obok niej bezprawną Radę Mediów Narodowych, którą obsadzono swoimi ludźmi. A gdy jedno i drugie było niemożliwe do wykonania, starano się bez ustanku dezawuować osoby pełniące funkcje kontrolne – choćby poprzedniego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara.

Owoce takich rządów może być tylko pogłębiająca się słabość instytucji, pozbawienie ich autorytetu i ugruntowanie przekonania, że w demokracji „zwycięzca bierze wszystko”, czyli może robić z państwem, co mu się żywnie podoba. Obywatele otrzymują w zamian nieustanną huśtawkę polityczną, brak poczucia stabilności oraz coraz niższą jakość funkcjonowania poszczególnych organów. Ich szefowie muszą mieć z tyłu głowy, że albo się podporządkują, albo pożegnają z posadą. W takich warunkach nie da się mądrze kierować żadną instytucją, obniża się też wydajność pracowników.

Podkopać Dudę

Niszczący nasze państwo system może, niestety, przetrwać rządy PiS. Obawy rodzą wypowiedzi części polityków opozycji, już dziś zapowiadających pozbawienie posad ludzi usłużnych wobec Jarosława Kaczyńskiego. Ten proces przedstawiają zresztą jako bardzo prosty. I konieczny. Nie da się bowiem zgodnie z prawem odwracać szkodliwych „deform” państwa, jeśli obdarzone odpowiednimi kompetencjami instytucje będą rzucały kłody pod nogi. Jak prezydent Andrzej Duda, który w przypadku zmiany władzy w przyszłym roku jeszcze do 2025 r. mógłby wetować ustawy.

Niedawno podczas spotkania z mieszkańcami Jaktorowa Donald Tusk stwierdził, że chciałby, aby „niezależna prokuratura, niezależny sąd, niezależny Trybunał Konstytucyjny” rozstrzygnęły, czy jest on legalnym prezydentem. Przyczyną tych

wątpliwości miał być nieuczciwy sposób przeprowadzenia wyborów prezydenckich, a także niektóre z decyzji Andrzeja Dudy, które mogły łamać konstytucję. Wątek ten podjęła posłanka KO Barbara Nowacka, mówiąc w Polsat News, że „Mamy prawo do podważenia uczciwości tych wyborów. My doprowadzimy do tego, że wszystkie niejasności zostaną wyjaśnione i ludzie zobaczą, jak realnie wyglądały te wybory”.

Przykładów świadczących o nieuczciwości wyborów prezydenckich z 2020 r. można wskazać sporo, jak choćby wykorzystywanie mediów publicznych do uprawiania propagandy na rzecz Andrzeja Dudy. Innym była polityczna korupcja zaszyta w konkursie profrekwencyjnym, zorganizowanym przez MSWiA. Te spośród najmniejszych polskich gmin (mieszka w nich ponadprzeciętnie wielu wyborców PiS), w których największy odsetek mieszkańców poszedł do urn, mogły wygrać wozy strażackie. Dzięki nim urzędujący prezydent miał przewagę nad swoimi konkurentami. Mogło to w pewnym stopniu zdecydować o jego zwycięstwie (w drugiej turze różnica między kandydatami wyniosła zaledwie 422 tys. głosów).

Stąd jednak do stwierdzenia, że Duda jest fałszywym prezydentem, droga wciąż daleka. Zwłaszcza że ani Tusk, ani Nowacka nie używają najmocniejszych argumentów, które mogłyby przemawiać za uznaniem Dudy za uzurpatora. Choćby tego, że wybory prezydenckie w 2020 r. przełożono „bez żadnego trybu”. Było to, być może, najlepsze rozwiązanie z najgorszych w momencie, gdy przez upór Jarosława Kaczyńskiego przeciągnięto proces przekładania wyborów do granic możliwości, zamiast ogłosić np. stan klęski żywiołowej (co było wówczas uzasadnione epidemią) i przesunąć głosowanie o ok. cztery miesiące. Opozycja jednak bez mrugnięcia okiem uznała pozaprawne porozumienie dwóch Jarosławów – Kaczyńskiego i Gowina, którzy 8 maja 2020 r., w dniu zakończenia kampanii wyborczej zdecydowali, że wybory... się nie odbędą. Formalnie stało się to wbrew prawu, ale KO nie protestowała. Było to jej na rękę, ponieważ mogła wymienić Małgorzatę Kidawę-Błońską na rządzącego sobie znacznie lepiej Rafała Trzaskowskiego.

Opozycja grała w tę grę do samego końca, a kandydat KO pogratulował →

PARTIA RZĄDZĄCA PRZEZ OSTATNICH siedem lat nieustannie zawłaszczala i zarazem osłabiała państwowe instytucje. Od Trybunału Konstytucyjnego, przez sądy, prokuraturę, po bank centralny, cel był jeden: podporządkować je władzy politycznej z Nowogrodzkiej. Tam, gdzie to wystarczało, do kierowania daną instytucją wysyłano człowieka działającego zgodnie z linią partii. Tak było w przypadku Narodowego Banku Polskiego. Gdy sprawa okazywała się bardziej skomplikowana, bo np. zbyt długo trzeba byłoby czekać na zakończenie urzędowania przez osoby niezależne od PiS, rozpoczynano ope-

→ zwycięstwa swojemu konkurentowi. Politycy Koalicji Obywatelskiej co prawda podnosili wątpliwości wobec decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która uznała ważność wyborów (izba ta została obsadzona przy udziale neo-KRS), jednak nikt o to ostatecznie kopii nie kruszył. I sam Tusk też do tego aspektu się nie odniósł. A nawet gdyby, to co z tego? Obecnie konstytucja nie przewiduje sytuacji, w której po wcześniejszym stwierdzeniu ważności wyborów przez SN, po kilku latach urzędowania stwierdza się nieważność wyboru prezydenta. A nawet gdyby, czysto teoretycznie, ktoś (tylko kto?) uznał, że wybory były nieuczciwe, czy to oznaczałoby, że Andrzej Duda nie jest prezydentem i nie był nim od 2020 r.? Jakie byłyby tego konsekwencje? Czysto teoretycznie, w wersji minimum mogłoby to oznaczać symboliczne napiętnowanie go i całego obozu politycznego, przy jednoczesnym uznaniu ważności podjętych przez niego decyzji – oraz zdjęcie Andrzeja Dudy z urzędu przy pomocy np. Trybunału Stanu. Możliwa byłaby też opcja atomowa, czyli podważenie postanowień prezydenta, w tym podpisów pod ustawami. Rozpoczęłoby to jednak niekończący się festiwal pozwów sądowych i prób wzruszeń podjętych na ich podstawie decyzji administracyjnych i wyroków, który już ostatecznie zapchałby nasze sądy i urzędy. Ale to tylko teoria, w praktyce takie działania są raczej niemożliwe do przeprowadzenia.

Czystka sądowo-bankowa

Prezydent Duda nie jest wyjątkiem. Zapowiedzi delegitymizacji i usunięcia ze stanowisk kierowane są też wobec innych osób pełniących funkcje publiczne. Na początku lipca Tomasz Siemoniak stwierdził na antenie TVN24, że po zmianie rządów do Adama Glapińskiego „przyjadą silni ludzie i go przekonają do tego, że nie jest prezesem Narodowego Banku Polskiego”. Przesłanki do tego są słabe. Adam Glapiński co prawda w dużej mierze odpowiada za to, że mamy w Polsce wysoką inflację, jednak prezesem NBP jest zgodnie z prawem. Także na drugą kadencję został powołany legalnie. Fakt, iż był członkiem zarządu NBP, zanim wybrano go prezesem Banku, nie znaczy, że właśnie rozpoczął trzecią kadencję. Zdaniem większości ekspertów zarząd i prezes NBP

Realizacja planu Donalda Tuska wymagałaby usunięcia z polskiego wymiaru sprawiedliwości jednej piątej sędziów. **Nowa KRS powołała ich już bowiem 2 tysiące.**

są w świetle konstytucji dwoma oddzielnymi organami.

Sejm mógłby Glapińskiego odwołać w trakcie kadencji, ale na wniosek prezydenta. W tym celu Glapiński musiałby albo poważnie się rozchorować, albo popełnić przestępstwo i zostać za nie skazanym prawomocnie przez sąd. Prezes NBP straciłby też swą funkcję, gdyby uznano go kłamcą lustracyjnym albo gdyby nakazał to wyrok Trybunału Stanu. To mu jednak w najbliższym czasie nie grozi, mimo powtarzania przez część opozycji, że Glapiński jest zwykłym przebiegającym. To nieprawda. Niezależnie od negatywnej opinii na temat jego pracy nasyłanie na niego „silnych ludzi” byłoby działaniem mafijnym, a nie prostowaniem reguł naszej praworządności.

To samo dotyczy środowiska sędziów. Donald Tusk już nieraz, m.in. podczas ubiegłorocznej edycji Campusu Polska Przyszłości, stwierdzał, że po zakończeniu rządów PiS wszyscy sędziowie sądów powszechnych powołani przez neo-KRS zostaną odwołani. Ta obietnica również bazuje na wątpliwych przesłankach. Pod reżimem obecnej ustawy to nie KRS powołuje sędziów, lecz prezydent na jej wniosek. Formalnie może tego w ogóle nie zrobić, ostatecznie więc to do niego należy decyzja. Ale nawet jeśli uznamy, że powołanie na sędziego na wniosek neo-KRS posiada wadę prawną dyskwalifikującą rzonego sędziego, to pozostają jeszcze argumenty praktyczne. Sędziów powołanych w ten sposób jest w Polsce prawie 2 tys., a do czasu hipotetycznego objęcia władzy przez opozycję liczba ta z pewnością znacznie wzrośnie. Tymczasem łącznie wszystkich sędziów jest w Polsce ok. 10 tys. Realizacja postulatu Tuska oznaczałaby więc odchudzenie polskiego wymiaru sprawiedliwości o co najmniej jedną piątą – i dotyczyłoby to

ludzi, którzy w zdecydowanej większości nie są zapleczem politycznym żadnej partii.

Taka zmiana przyniosłaby również dodatkowy, ogromny chaos polskiemu systemowi prawnemu – prowadzone przez tych sędziów sprawy zostałyby przerwane. I to w najlepszym wypadku, bo mógłby się przecież pojawić pomysł, by już wydane wyroki systemowo podważyć. To wielkie ryzyko, zauważane m.in. przez jednoznacznych krytyków zmian wprowadzanych przez PiS, jak choćby przez sędziego Sądu Najwyższego, prof. Włodzimierza Wróbla. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” (48/2021) powiedział on: „Nie wyobrażam sobie masowego unieważniania wyroków. W sprawach, w których strony akceptują decyzję sądu, to nie do pomyslenia. Orzeczone rozwód nadal powinien być rozwodem. Trzeba opracować jednak jakąś ścieżkę odwoławczą i reguły, wedle których można by wzruszać »prawomocne« postanowienia w kontrowersyjnych sprawach, w których widać polityczny wymiar decyzji”.

Nawiasem mówiąc, już sam fakt, że strony mogą chcieć podważać wyroki, powołując się na polityczne motywacje neosędziów, świadczy o szkodliwości zmian wprowadzanych przez PiS. Co nie znaczy, że mamy teraz rozjechać cały system walcem.

Podzielona opozycja

Nie cała opozycja podziela podejście KO. Konfederacja, która krytycznie podchodzi do działań zarówno Dudy, jak i Glapińskiego, a także do zmian wprowadzanych przez PiS w sądownictwie, jednocześnie uważa ich za legalnie sprawujących swoje funkcje oraz nie chce robić czystek w sądach. Działacze Polski 2050 i Polskiego Stronnictwa Ludowego też nie podważają ważności wyboru Andrzeja Dudy na prezydenta, a Adam Glapiński ich zdaniem to legalny, choć bardzo kiepski prezes NBP. Nie znaczy to, że bezkarny. Politycy PSL szykują dla niego Trybunał Stanu, co mogłoby go pozbawić funkcji. Według ludowców należy mu się za skupowanie przez NBP na rynku wtórnym obligacji skarbowych, przez co finansowany był dług publiczny, co jest niezgodne z konstytucją. Warto w tym miejscu przypomnieć, że rozmowa o możliwości zastosowania podobnego manewru, między ówczesnym preze-

sem NBP Markiem Belką i szefem MSW Bartłomiejem Sienkiewiczem, była jednym z wątków „afery taśmowej” – wówczas uznane zostało to za skandal przez... ówczesną pisowską opozycję. Ścieżka w stronę skazującego wyroku TS jest jednak długa i wyboista, a praktyka działania tej instytucji pokazuje, że nie wiąże się z konkretnymi efektami.

Przedstawiciele PSL oraz Polski 2050 współpracują z KO i Lewicą w ramach Porozumienia dla Praworządności, jednak nie podpisali się pod projektem zmiany ustawy o KRS i SN, który zakładał m.in. usunięcie wadliwie powołanych sędziów, co nie musiałoby automatycznie oznaczać unieważnienia wydanych przez nich wyroków, ale z pewnością pogłębiliby przewlekłość postępowań.

Lewica stoi w tym sprawach jakby w rozkroku. Projekt ustawy poparła, ale niektórzy jej politycy (np. Anna Maria Żukowska) wyrażali się krytycznie o pomysł odwoływania blokiem wszystkich sędziów czy wzruszania wydanych przez nich orzeczeń. Z drugiej strony, mimo że prezes i zarząd banku centralnego to dwa odrębne organy i ich kadencje się nie „sumują”, Lewica ustami Joanny Senyszyn (zanim ta przeszła do Polskiej Partii Socjalistycznej) oświadczyła podczas debaty sejmowej: „po wygranych wyborach do Sejmu stwierdzimy nieważność jego [Glapińskiego – SS] wyboru na członka zarządu NBP na trzecią kadencję, bo prawo dopuszcza tylko dwie kadencje”. Z kolei wybór Dudy na prezydenta Lewica uważa za ważny, choć ma zastrzeżenia co do przebiegu samych wyborów.

Prawdopodobieństwo, że opozycja – jeśli dojdzie do władzy – będzie realizować literalnie zapowiedzi czystek w instytucjach, jest raczej niewielkie, a radykalne pomysły mogą być formą mobilizacji elektoratu. Nie można jednak wykluczyć, że Polska 2050, PSL czy Lewica poparłyby je w wyniku szczególnego rodzaju umowy koalicyjnej. Jest jednak bardziej prawdopodobne, że politycy KO, przybierając pozę nieprzejednanych krytyków PiS, starają się zdobyć głosy najtwardszych przeciwników obecnej władzy i tworzyć miraż możliwości odwrócenia wszystkich zmian przeprowadzonych przez partię Jarosława Kaczyńskiego. Tworzą przy tym wrażenie, jakbyśmy już dziś żyli w systemie pełnego bezprawia, co potęguje świadome używanie historycznych analogii do czasów PRL.

Tyle że my nie żyjemy już w realiach komunizmu. Choć systemowi zaprowadzonemu przez PiS daleko do praworządności, sytuacja jest zupełnie inna. Nadal, mimo wykorzystywania przez rządzących zasobów państwa dla utrzymania się u władzy, odbywają się wolne wybory, które można wygrać. I nadal część instytucji obsadzana jest zgodnie z prawem. Nadmierne delegitymizowanie osób pełniących funkcje publiczne przyniesie zły efekt: ostatecznie obali autorytet instytucji. A to realizacja doktryny politycznej PiS, wedle której to nie instytucje są ważne, tylko ludzie, którzy nimi kierują. I że nieważna jest litera prawa, jeśli przeszkadza w realizacji zamierzeń politycznych. To zarazem gwarancja eskalacji walk między zwaśnionymi obozami o najdrobniejszy odcinek państwa.

W naszym systemie konstytucyjnym, jak w wielu innych liberalnych demokracjach, istnieją instytucje w założeniu niezależne od polityków. Dzięki temu mogą, przynajmniej w teorii, bez zwracania uwagi na wyborcze koniunktury, dbać o stabilność pieniądza (NBP), stać na straży konstytucyjności ustaw (TK) oraz pilnować działalności organów państwowych (NIK). Politycy, którzy na sztafardach niosą obronę praworządności, nie powinni szukać kruczków prawnych, dzięki którym mogliby wysadzić z siodła konkurencję, bo w ten sposób przyczyniają się do traktowania państwa jak łupu. To właśnie robi Zjednoczona Prawica od siedmiu lat.

Logika sprzątnia

Problemem wymienionych instytucji nie jest to, że zostały podporządkowane PiS. Problemem jest to, że są zależne od polityków. Jeśli chcemy mieć trybunały, sądy, bank centralny czy Najwyższą Izbę Kontroli z prawdziwego zdarzenia (Marian Banaś tylko przez osobliwy zbieg okoliczności „urwał się” ze smyczy Kaczyńskiemu), musimy budować ich autorytet także na tym, że kierujący nimi ludzie są nie do ruszenia, nawet jeśli podejmowane przez nich decyzje wydają się rażąco niekompetentne.

Co zatem powinna zrobić opozycja, jeśli w ogóle zdoła wygrać przyszłoroczne wybory? Nie może iść na skróty, a to oznacza, że wiele decyzji personalnych Prawa i Sprawiedliwości kolejna władza będzie musiała uznać. A będzie to bardzo trudne, bo wybrani przez PiS ludzie

mogą blokować decyzje podejmowane przez nową większość jeszcze długo. Andrzej Duda będzie prezydentem do 2025 r. i jeśli nowy rząd nie będzie miał poparcia 276 posłów w Sejmie, może skutecznie torpedować zmiany wetem. A nawet bez niego istnieje jeszcze betonowy bastion w postaci TK – sędziowie wybrani przez nominatów Kaczyńskiego i Ziobry będą mieli w nim większość do 2027 r.

Są też w końcu media. Nawet jeśli wreszcie zostanie wykonany wyrok Trybunału w sprawie Rady Mediów Narodowych, który mówi, że KRRiT powinna mieć zagwarantowany udział w wyborze władz TVP, to i tak ludzie związani z PiS będą mieli w KRRiT większość prawdopodobnie do 2028 r. Wtedy też skończy się kadencja prezesa NBP Adama Glapińskiego.

Jeśli TK Julii Przyłębskiej (jej urzędowanie kończy się w 2024 r., ale nowy prezes będzie reprezentował to samo środowisko) będzie chciał swoimi decyzjami nadal odgrywać rolę „trzeciej izby parlamentu”, nowy premier może sięgnąć po niepublikowanie orzeczeń. Precedens już jest, czyli sławetna odmowa publikacji wyroków Trybunału przez Beatę Szydło. Z kolei obok KRRiT można ustanowić, dajmy na to, Radę Mediów Demokratycznych i obsadzić ją ludźmi związanymi z nową większością. Tyle że to byłoby wchodzenie w buty PiS i pogłębianie wprowadzanych przez tę partię patologii. Prawdziwe zmiany wymagają stałowych nerwów i dużej dozy roztropności po stronie obecnej opozycji. Ale także pewnego wyczucia po stronie ludzi wybranych na swoje stanowiska przez PiS. Rzecz jasna trudno po nich oczekiwać, że będą zgadzali się na wszystko, czego będzie chciała nowa władza, jednak należy od nich stale żądać, by kierowali się w swoich decyzjach mądrością i interesem Polski (jakkolwiek pompatycznie by to brzmiało), a nie partii matki. Jeśli nie zaczną pełnić swoich konstytucyjnych obowiązków, zamiast realizować polecenia płynące z Nowogrodzkiej, wszyscy na tym ucierpimy.

Spokojne działanie w dłuższej perspektywie może przynieść znacznie lepsze owoce niż szukanie sposobów, jak wymienić ludzi PiS na „swoich”, lub przekonanie wyborców, że proste rozwiązania są w ogóle możliwe do zrealizowania.

© STEFAN SĘKOWSKI

Zbudowane na krzywdzie

SZYMON ŻYŚKO

Przygotowując Centralny Port Komunikacyjny rząd zagwarantował sobie ustawową przewagę nad lokalnymi społecznościami. Tak nie mogą wyglądać wywłaszczenia w demokratycznym państwie.

PRZED GODZINĄ 23 DZWONI TELEFON. W słuchawce poznaję znajomy mi już głos. „Halo! Rozmawialiśmy wczoraj o Solinie. Tata nie udzieli wywiadu, nawet nie pytałem. Zdecydowałem sam” – mówi pan Stanisław i kontynuuje: „Lata temu był pytany o zaporę i rozkleił się. A myśmy nie wiedzieli wcześniej, że oni tam w ogóle żyli, że ja miałem się tam urodzić, ale tego roku nas wysiedlono. Pan wie... to już nie na jego nerwy. On to przeżył”. Przytakuję ze zrozumieniem, dla 90-letniego człowieka, znajdującego się u kresu życia, wspomnienia sprzed ponad 50 lat mogą być wyjątkowo bolesne. „On to przeżył” – brzmiały mi w uszach słowa, które zazwyczaj słyszy się z ust ocalonych.

Historia ta przypomniła mi się 27 czerwca, podczas kulminacji protestów przeciwko budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego. Mieszkańcy terenów przeznaczonych pod CPK dotarli wtedy pod warszawską siedzibę spółki. Wśród haseł mocno wybrzmiały słowa mężczyzny zaczepionego przez telewizyjnego reportera. „Tam się urodziłem 67 lat temu, tam spędziłem całe swoje życie i teraz jestem wyrzucany. Nie jesteśmy już w stanie w takim wieku odbudować wszystkiego od podstaw” – tłumaczył.

Wywłaszczenia nie są wyłącznie procesem rozpiętym pomiędzy gospodarką i ekonomią. Dla mieszkańców ziem przeznaczonych pod kluczowe inwestycje to proces głęboko tożsamościowy, dotykający ich emocji, wspomnień, historii rodu, poczucia przynależności, wolności wyboru. Staje się więc sprawą życia i śmierci.

Traktowani z góry

Jednym z założycieli społecznego komitetu przeciwko CPK jest 70-letni Tadeusz Szymańczak z gminy Teresin. – Miesz-

kamy tu od trzech pokoleń. Przejąłem gospodarstwo od rodziców w latach 70. Przez ten czas postawiliśmy z żoną niemal każdy budynek. To nie tylko pieniądze, ale czas i ogromny sentyment. Każdy spaw jest nasz – wskazuje na dach. Jego gospodarstwo ma 83 hektary.

W 1981 r. Tadeusz Szymańczak brał udział w rolniczych strajkach Solidarności w Bydgoszczy, za co internowano go w stanie wojennym. Po upadku komunizmu przez krótki czas był również posłem na Sejm RP I kadencji. – Broniliśmy demokracji, walczyliśmy ramię w ramię, a teraz tak nas państwo traktuje. Przyjeżdżają panowie z CBA w garniturach i grożą wywłaszczeniem wbrew naszej woli oraz pozwami za utrudnianie budowy. Na krzywdzie ludzkiej nie buduje się dobra dla Polski – mówi rozgoryczony. Czują się osaczeni, opuszczeni i zastraszeni, a incydenty, takie jak np. wtargnięcia geodetów bez odpowiednich zezwoleń, nagrywają telefonami.

Wysiedlenia obejmą 8 tys. osób, 1250 domów, 750 gospodarstw, 3 domy pomocy społecznej i prawie 300 firm. Są to szacunkowe dane dotyczące lokalizacji samego tylko portu lotniczego. Nie uwzględniają utworzenia siatki dodatkowych korytarzy kolejowych prowadzących do CPK, która obejmie tak odległe tereny jak Podkarpacie. Dlatego ludzie protestują nawet w podrzeszowskiej Jasionce.

Mieszkańcy Baranowa i okolic rozumieją, że budowa dużego międzynarodowego lotniska w Polsce jest konieczna, gdyż Okęcie stało się niewydolne i uciążliwe dla tysięcy mieszkańców stolicy. W jednej z ekspertyz przesłanych przedstawicielom rządu proponowali, by to Modlin stał się planowanym europejskim hubem lotniczym. – Rozbudowa Modlina byłaby tańsza, a rozszerzenie lotniska w kierunku północnym nie spowo-

dowałoby konieczności wywłaszczeń na taką skalę, jak planowana obecnie u nas. Taki zresztą był pierwotny zamysł budowy Modlina, czyli odciążenie stolicy – opisuje złożoną kontrpropozycję Tadeusz Szymańczak. Mieszkańcy nie otrzymali jednak żadnej odpowiedzi.

Ustawa o wywłaszczeniach w teorii ma chronić również mieszkańców terenów przeznaczonych pod wysiedlenia. W praktyce jednak wystarczy decyzja administracyjna i udowodnienie przed sądem, że inwestycja jest strategiczna dla państwa, by uzyskać na niekorzyść właściciela gruntu prawomocny wyrok z rygiorem natychmiastowej wykonalności. Inwestycje realizowane przez rząd wspierają dodatkowo specustawy, wzmacniające pozycję państwa kosztem samorządów oraz praw obywateli. Nie inaczej jest w przypadku CPK.

Ustawę o budowie megalotniska ogłosowano już w 2018 r., a w sierpniu 2022 r. doczekała się nowelizacji, którą właśnie podpisał prezydent. W ramach ostatniej zmiany dodatkowe prerogatywy zyskał wojewoda, który może teraz przekształcać tymczasowy plan zagospodarowania terenu na wniosek pełnomocnika rządu. Nowe przepisy dają również uprawnienia spółce CPK do czasowego zajmowania nieruchomości na potrzeby badań i pomiarów – bez zgody właścicieli. Dzięki nim możliwa będzie realiza-





ARCHIWUM PRYWATNE

cja prac jeszcze przed wydaniem pozwolenia na budowę. Niektóre mogą się rozpocząć na terenach, które nie mają jeszcze jasno ustalonego statusu, zamieszkanym wciąż przez ludzi, którzy nie godzą się na opuszczenie domów. To będzie rodziło kolejne napięcia.

Kłótnie o wyceny

Specustawa o CPK precyzuje warunki wywłaszczeń, co budzi największy lęk mieszkańców. Zaczną się one w chwili, gdy decyzja o lokalizacji lotniska stanie się ostateczna, a odpowiednie wpisy pojawią się w księgach wieczystych i katastrze nieruchomości. Procedura przewiduje zaledwie 120 dni na opuszczenie domu od momentu dostarczenia właścicielowi decyzji administracyjnej. Od tego momentu ma on tylko dwa tygodnie, aby powiadomić spółkę CPK o wyborze formy rozliczenia, przyjmując nieruchomość zastępczą lub odszkodowanie w trybie negocjacji. Potem, w ciągu kilku tygodni pojawi się rzeczoznawca, który wyceni aktualną wartość majątku.

Mieszkańcy wskazują, że będzie on wyznaczony przez CPK, więc trudno mówić o jego niezależności i równości szans. Jeśli się zgodzą, może minąć wiele miesięcy, nim otrzymają pieniądze. Sprzeciw oznacza powództwo w sądzie, które wydłuży ten okres. W tym czasie nowe mieszkanie

muszą znaleźć sobie sami, a władze samorządowe już teraz alarmują, że nie będą w stanie pomóc. – Tracę jednocześnie dom, ziemię i pracę. Jak w trzy miesiące przenieść wszystko i odzyskać klientów? A pola i plony? – mówi Tadeusz Szymańczak i pokazuje aktualne szacunkowe wyceny, jego zdaniem zaniżone niemal czterokrotnie.

Obawy co do niesprawiedliwej wyceny potwierdził podczas wysłuchania w Senacie mec. Mirosław Ochojski, prawnik specjalizujący się w wywłaszczeniach. Przeprowadził analizę wartości istniejącej realnie stadniny w oparciu o specustawę dotyczącą CPK. Jego zdaniem, gdyby przyjąć rządową propozycję, za grunty i budynki właściciel mógłby liczyć na odszkodowanie w wysokości zaledwie 572 tys. zł, i to z premią za szybkie opuszczenie terenu. Przyjmując normy Banku Światowego, wartość stadniny wynosi jednak aż 2,4 mln zł. Nawet stosowana powszechnie w Polsce metoda odtworzeniowa wypada korzystniej i zakłada ponad 1,7 mln zł.

Poza tym szaleje inflacja, więc pieniądze uzyskane dzisiaj mogą stać się za kilkanaście miesięcy niewystarczające, by odtworzyć gospodarstwo, co zresztą może potrwać kilka lat. Wakacji od kredytów też nikt wywłaszczonym nie da.

W zeszłym roku Tadeusz Szymańczak trafił na SOR z objawami przypominają-

Pola w gminie Teresin, przeznaczone pod budowę CPK, 2022 r.

cymi COVID-19. Badania wykluczyły zakażenie. W trybie nagłym przyjęto go na oddział kardiologiczny, gdzie potwierdzono zatorowość płucną. Lekarka zasugerowała, że to wynik długotrwałego stresu. – Obiecałem dbać o siebie, ale już trzy godziny po wypisie ze szpitala brałem udział w nadzwyczajnej sesji rady gminy w Baranowie. Jak się nie denerwować, kiedy dorobek trzech pokoleń jest niszczone – opowiada.

Problemy zdrowotne ma nie tylko on. – Młodzież zapada na depresję. Córka sąsiadów boi się iść na studia, bo jej dom stoi na trasie kolei. Nie wie, czy będzie miała gdzie wracać. To są dramaty. Ja byłem u psychiatry, przepisał mi lek – przyznaje 70-latek. – Ostatnio mój 5-letni wnuczek zapytał mnie: „Dziadku, gdzie zamieszkamy, jak nas już wyrzucą?”. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Na zewnątrz tego nie pokazuję, ale mam uczucia. Oczy mi się zaszkliły, odwróciłem się i wyszedłem bez słowa. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia. Nie wiem, czy się dobrze zachowałem. Dzieci są wrażliwe – łamię mu się głos.

Rozdrapane rany

Zaledwie 25 lat temu przez Polskę przetoczyła się powódź tysiąclecia. Dla wszystkich było jasne, że w perspektywie najbliższych lat trzeba będzie przeprowadzić szereg kluczowych inwestycji, aby do podobnej sytuacji nigdy już nie doszło. Na celowniku znalazła się Odra i jej dopływy. Jednym z największych wyzwania była budowa zbiornika Racibórz Dolny, która wymagała całkowitej likwidacji wsi Nieboczowy i Ligota Tworkowska. Ta historia doprowadziła mnie do Sławomira Stanowskiego, 29-letniego śląskiego historyka, który doskonale zna bliższe i dalsze dzieje tych ziem. Ja jednak pytam go, co zostało w jego pamięci z czasu, gdy sam był dzieckiem.

– Gdy wylała Odra w 1997 roku, miałem niecałe cztery lata. Pamiętam wodę, pływanie łódką po własnym podwórku i dramat zalanych ludzi – wspomina. To właśnie wtedy reaktywowano pomysł sprzecz lat, aby utworzyć tamę i zbiornik w tym miejscu. – Wychowałem się tu, więc są to trudne dla mnie wspomnienia. Młody człowiek patrzący, jak wioska



Tadeusz Szymańczak podczas protestu przeciwko budowie CPK, Warszawa, 7 lipca 2022 r.

załować Soliny z mojej młodości, ale też z czasem rozumiałem, że wzniesienie zapory było uzasadnione. Stary już jestem, ale gdyby nagle wypuścili wodę, wróciłbym. Tam była ziemia czarna, przyjazna”.

Podłaską cerkiew rozebrano i przeniesiono, ale rozkradziona nie ocalała w całości. Kościół w Wołkowyi wysadzono wraz z wyposażeniem. W trumnach wywożono jabłka i plony.

Podobny los kilka lat wcześniej spotkał mieszkańców Zarzecza, Tresnej, Zadziela i Starego Żywca, którzy jeszcze długo przychodzili oglądać spokojną taflę Jeziora Żywieckiego, górującą nad ich zatopionymi wioskami. W 2012 r. jezioro wyrzuciło na brzeg XIX-wieczne drewniane tabernakulum – okrucieństwo dawnego tętniącego w tym miejscu życia.

W powojennej, komunistycznej Polsce wywłaszczenia kojarzyły się fatalnie. W demokratycznej ojczyźnie też nie sposób ich uniknąć, ale pozostaje wrażenie, że wciąż nie zadbane o ludzką twarz tego procesu. Tak, by dotknięci nim ludzie nie mieli poczucia bycia nieważnymi i niszczeni przez państwo, które nie rozumie, że wartość ziemi wyznacza nie tylko jej położenie i przeznaczenie, ale też włożona w nią praca, osobista historia i relacje. A więc coś bardzo istotnego dla tożsamości małych ojczyzn. Odbieranie ludziom poczucia bezpieczeństwa, i to w tak niespokojnych czasach, może zdruzgotać ich psychikę. Tym ludziom w walce o odszkodowania częściej chodzi o poczucie elementarnej sprawiedliwości niż o zysk. O świadomość, że nie są bezradni w starciu z państwem.

Współczesny świat zmusza nas do przekształceń krajobrazu, do brania udziału w cywilizacyjnym wyścigu, jeśli chcemy zachować konkurencyjność i wysoki poziom życia. Żadnego dobra nie da się jednak zbudować na krzywdzie. Czy po Wołkowyi, Nieboczowach i Baranowie przyszedł czas, by o swój los zaczęli się bać mieszkańcy Sierosława, w którym właśnie potwierdzono obecność złóż gazu? Jeśli nic nie zmieni się w prawie i sposobie jego egzekwowania, będziemy świadkami coraz bardziej dramatycznych procesów degradacji środowiska i lokalnych społeczności w Polsce.

© SZYMON ŻYŚKO

→ stopniowo umiera... Coś zostaje w głowie na zawsze – mówi szczerze.

Na początku zawiązał się wśród mieszkańców komitet obrony wsi. Z czasem przekształcił się w komitet jej odtworzenia. Powódź z 2010 r. w znacznym stopniu przyspieszyła realizację inwestycji. Jedni wyprowadzili się od razu, inni zwlekali do końca, aż na polach, gdzie kiedyś rosła kukurydza, zostanie odtworzona ich wieś. Kilka warunków nie podlegało negocjacji. Przeniesiony miał zostać cmentarz, kościół, remiza i boisko. – Było ważne, czy ich świątynia przetrwa. Własnymi rękami w latach 30. ją budowali, chrzcili tam dzieci, brali śluby, żegnali zmarłych. Dla nich w tym miejscu wszystko się zaczynało i kończyło – wyjaśnia mi Stanowski.

Przeniesienie cmentarza wymagało jednak ekshumacji zwłok. Uczestniczyć w nich musiały obowiązkowo rodziny. Na pewno łatwiej było tym, którzy pochowali bliskich w latach 90., bo ciała się już rozłożyły. Gorzej, gdy ktoś zmarł w ostatnich latach i wykopywano zwłoki w złym stanie. To trudne momenty, które na pewno zostaną zapamiętane. W sumie przeniesiono 632 groby, a w prasie pisano, że była to „największa ekshumacja w historii Polski”.

– Byłem już na studiach, ale jednocześnie żyłem tym, że buduje się miejsce, w którym będę mieszkał. Zawsze chciałem wrócić do tej fajnej społeczności. Nigdy nie pasował mi los „słoika” w dużym mieście – wyznaje Stanowski. Ostatecz-

nie nie wyprowadzili się do nowo odtworzonej wsi, ale wybudowali dom na własnym polu w okolicy.

Niektórzy mieszkańcy wciąż jeżdżą do dawnej miejscowości zobaczyć pozostałości ulic. Stanowski raczej tego nie robi. – Czasem lepiej zapamiętać miejsce takim, jakim chce się je pamiętać, zamiast chodzić i rozdrapywać rany – wyjaśnia.

Mieszkańcom, mimo oporu przed wyprowadzką, pomagało zrozumienie, że budowa zbiornika ma dać ludziom bezpieczeństwo. – Tyle jest ludzkiej tragedii w tej historii, ile radości, że dalej możemy żyć – podsumowuje Sławomir Stanowski.

Jak budować dobro

Niewielu dzisiaj żyje tych, którzy jeszcze pamiętają, jak się mieszkało w dolinie Sanu przed jej zalaniem i utworzeniem sztucznego Jeziora Solińskiego. O tym, co przeżyli, opuszczając swoje domy, opowiadają gorzkie historie, snute już tylko przez ich dzieci lub wnuki. Do starszych bardzo trudno dotrzeć. Mają traumę, po latach wciąż czują się winni zdrady miejsc, które opuścili.

Zygmunt Podkalicki wspominał na łamach regionalnych „Nowin”: „Domy trzeba było rozbierać we własnym zakresie, a plac zostawić czysty. Nie wszyscy jednak mieli odwagę. No bo jak? Własne gniazdo burzyć? Serce pęka. Tam tylko wielka głębia, a ja ciągle widzę swój dom. 400 metrów od brzegu, palcem mogę wskazać i się nie pomylę!”. Jego kuzyn Tadeusz dodawał: „Nigdy nie przestałem

Różowe walizki

BARTOSZ RUMIŃCZYK

Basma bardzo boi się psów, ale gdy obwąchiwały ją wilczury, zawzięta się, by nie pokazać mężczyznom w mundurach, że przepetnia ją strach. Za drugim razem psów na szczęście nie było.

BASMA NIE CHCIAŁA ZE MNĄ ROZMAWIAĆ. Nie chciała wracać do tego, co działo się na granicy polsko-białoruskiej, obawiała się też, że rozmowa z dziennikarzem może zaszkodzić jej w procedurze azylowej. Zgodziła się, abym opowiedział jej historię na podstawie rozmów z ludźmi, których poznała w Polsce. Imię Basmy oraz niektóre szczegóły jej historii zostały zmienione.

Las

Szła z czterema mężczyznami. Ludzie przekraczający granicę polsko-białoruską często łączą się w grupy, by czuć się bezpiecznie, ale ją do grupy przyłączyli przemitynicy. Z jednej strony bezpiecznie, bo nie szła sama, z drugiej – była w lesie z obcymi mężczyznami.

To przed mężczyznami uciekła z Iraku. Nie chciała żyć w patriarchalnym środo-

wisku, w którym kobieta ma niewiele do powiedzenia, a mężczyzna rzadko rozumie słowo „nie”. W domu rodzinnym rządził ojciec i starszy brat. W szkole nauczyciel, a potem w pracy szef nie rozumieli, że nie życzy sobie być dotykana.

Siostry poroźjeżdżały się po świecie: USA, Kanada, Szwecja. Ona też chciała ułożyć sobie życie po swojemu. Szła więc z tymi czterema obcymi ludźmi przez las, mając nadzieję, że tym razem się uda. Po przednim razem znalazły ich psy. Leżała na ziemi, a pies obwąchiwał jej twarz. Zawzięła się i powtarzała sobie: „Basma, musisz dać radę, nie możesz okazywać strachu”. Radę dała, ale i tak wypchnięto ją z powrotem na Białoruś.

Tym razem na jasną kurtkę i białe kalosze naciągnęła czarną folię, pod którą upchnęła mały plecak. Folia krępowała ruchy i szurała o gałęzie, więc gdy już

przeszli przez rozlewiska, a las nieco się przerzedził, odetchnęła z ulgą. Wtem zobaczyła błyskające w oddali światła laterek, które raptownie zaczęły się zbliżać. Zdążyła rzucić się w zarośla, wczółgać pod krzewy. Chwilę później usłyszała podniesione głosy i przekleństwa, których nie rozumiała. Dopiero później nauczyła się słowa „kurwa”.

Towarzyszący jej mężczyźni zostali złapani, ale nim pogranicznicy ich wywieźli, przeczyszczyli jeszcze chwilę teren. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy słyszała zbliżające się kroki. Dociskała twarz do zimnej, mokrej ziemi, by nie słyszeć jej przyspieszonego oddechu. Wreszcie wszystko ucichło.

Leżała tak długo, aż nabrała pewności, że tamci odjechali. Wyczołgała się spod krzaka, otrzepała, wyjęła telefon i wpisała w wyszukiwarkę słowo, które, jak wierzyła, mogło jej pomóc: *church* – kościół.

„Father, help me”

17 listopada o godzinie wpół do trzeciej w nocy na jednej z wielu prawosławnych parafii na Podlasiu rozległ się dzwonek do drzwi. Męski głos ze środka powiedział coś niezrozumiałego, damski głos z zewnątrz odpowiedział równie niezrozumiale, drzwi jednak się otworzyły. Pojawiła się w nich męska zaspana twarz z długą siwą brodą.

→

Grupa imigrantów w strefie przygranicznej, Podlasie, 1 października 2021 r.



→ – *Father, help me* – wypowiedziała błagalnie.

Później przedstawiła się, że ma na imię Basma. Okazało się też, że jest w wieku jego córki – obie mają po 21 lat i urodziny w odstępie kilku dni. On później przypomniał sobie, jak jego żona opowiadała o wypatrzonym gdzieś w internecie na grananiu, na którym pokazywali martwe ciała. W jednym z nich rozpoznała chłopaka, który wraz z innymi kiedyś – tak jak teraz Basma – zadzwonił do ich drzwi. Wtedy wezwali straż graniczną. A teraz? Teraz szybko do środka! Pomogło błagalne „*Father, help me*” i złoty krzyżyk na szyi Basmę. No i to, że jest kobietą. Obcych mężczyzn do domu w nocy nikt by nie wpuścił.

Ludzie przechodzili przez las jeszcze zanim pojawiła się ta grupa Afgańczyków, którzy koczowali długie tygodnie na granicy w Usnarzu Górnym pod okiem wojska i kamer. Jedni szybko znikali, czasem tylko prosili kogoś o wodę albo o coś do jedzenia. Inni pytali, w którą stronę są Niemcy. A jeszcze innych zgarniała straż graniczna i pod broń prowadziła główną ulicą. Dokąd ich zabierano, mało kogo wtedy interesowało.

Ale gdy zatrzymali tamtą grupę na granicy i gdy z góry poszedł rozkaz, by migrantów nie puszczać, to nagle wszyscy zainteresowali się tym, co się tu dzieje. Ci z góry obrysowali granicę szlaczkiem z drutu żyłkowego, okoliczne wsie i miasteczka zamknęli dla świata, dokręcając do tablic z nazwami miejscowości tabliczki informujące o strefie stanu wyjątkowego. No a potem wszyscy dowiedzieli się, że tych, których złapią już w Polsce, wywożą z powrotem na Białoruś. I to nie tylko mężczyzn, ale także kobiety z dziećmi.

Tak jest do dzisiaj. Białorusini zawracanych biją, by pokazać, co czeka tych, którzy dadzą się złapać w Polsce. Okradają ich, niszczą im telefony, bywa, że gwałcą kobiety. Wcześniej obiecywali,

że za kilka tysięcy euro pokażą drogę na Zachód. W ten sposób ściągnęli na granicę tysiące zdesperowanych ludzi z obywatelstwem dla uchodźców z Bliskiego Wschodu, a także z przedmieść afrykańskich miast. To miała być nowa bezpieczna droga do Europy – a dla Europy szantaż polityczny.

Ocalona

Batiuszka z matuszką – tak na Podlasiu mówią na księży prawosławnych i ich żony – postanowili, że nie dadzą Basmę wywieźć. Zaczęli dzwonić po ludziach, którzy niosą w lasach pomoc.

Pierwszy przyjechał mężczyzna. Basma przywitała go w białym puchatym swetrze, który kontrastował z podkrążonymi oczami i podrapaną od przedzierania się przez las twarzą. Wyjaśnił, w jakiej sytuacji się ona znajduje i co grozi, gdy ją zatrzymają. Ona opowiedziała mu, dlaczego uciekła z Iraku, on wszystko zanotował i pojechał po prawniczkę. Prawnica powiedziała już wszystko: o tym, jak sama przyleciała do Mińska, jak szła z obcymi przez las, a także że nie może wrócić do Iraku, gdyż boi się brata.

Prawnicy wiedzieli już, że nie wystarczy zwrócić się do strażników z prośbą o azyl, bo – jak pokazała praktyka ostatnich miesięcy – i tak potrafią wywieźć za granicę. Z czasem tę praktykę zalegalizowała tzw. ustawa wywózkowa, która zezwala na nierozpatrywanie wniosku, jeżeli został złożony „przez cudzoziemca zatrzymanego niezwłocznie po przekroczeniu granicy zewnętrznej wbrew przepisom prawa”.

To naruszenie prawa międzynarodowego i praw człowieka, z czego Polska niewiele sobie robi, ale czasem się ugina, gdy o konkretną osobę upomni się wyższa instancja. Tak właśnie było w przypadku Basmę, bo prawniczka, która zajęła się jej sprawą, zwróciła się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Dopiero gdy stamtąd przyszła odpowiedź

– tzw. *interim*, który zabraniał Polsce wywiezienia jej za granicę – rodzina batiuszki w obecności prawniczki i świadków wezwała na parafię straż graniczną.

Kwiaty na stole

Jeśli już komuś idącemu przez las uda się złożyć wnioszek o azyl, to trafia do ośrodka dla cudzoziemców – otwartego (rzadko) albo zamkniętego (najczęściej).

Ci, którzy trafiają do ośrodków zamkniętych, miesiącami pytają, dlaczego trafili do więzienia, skoro nie są przestępcami. Najbardziej zdesperowani podejmują strajki głodowe, usiłując w ten sposób pchnąć do przodu koła maszyny biurokratycznej. Ci zaś, którym w końcu udaje się wyjść, najczęściej szybko wyjeżdżają na Zachód.

Basma nie trafiła do żadnego z tych ośrodków. Sąd zgodził się, by zamieszkała w pokoju, który udostępniła jej w mieście rodzina batiuszki, a znajomi prawniczki obiecali się nią zająć. To oni przygotowali jej pokój i przywitali kwiatami. Dali czas, aby się rozgościła, a potem zabrali na zakupy. Na początku wzięła tylko dwa bochenki chleba i dwie butelki wody mineralnej, co wzbudzało w nich oczywiste skojarzenia z zachowaniami typowymi dla ofiar wojny. Gdy namawiali ją, by wzięła więcej, sięgnęła po kilka plasterków sera, pomidora i dwa banany.

Trochę swobodniej poczuła się następnego dnia na zakupach w galerii handlowej, gdzie wybierała ubrania i kosmetyki. Znajomym prawniczki udało się ją namówić, żeby wzięła też perfumy i lakier do paznokci.

To był jedyny raz, kiedy pozwoliła za siebie zapłacić.

Dzień dobry, Basma!

Basma nie zdecydowała się na to, by wyjechać z Polski na własną rękę. Nie chciała ryzykować zatrzymania i deportacji. Zawniosowała o wszczęcie procedury łączenia rodzin, by w ten sposób trafić do siostry w Szwecji. Jednym z warunków, jaki musiała spełnić, było cotygodniowe stawianie się na komendzie straży granicznej.

Tam szybko stała się ulubienicą pana Wojtka z dyżurki, który co tydzień, w poniedziałek rano, witał ją z uśmiechem i mówił tak, jak mówi się do dziecka.

– Basma? Dzień dobry, Basma! Jak się masz, Basma? Czy umiesz już powiedzieć coś po polsku?

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 118/22 toczy się postępowanie z wniosku Bogdana Czai o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie nieruchomości położonej w Zbydniowie, oznaczonej numerem ewidencyjnym 1344, o powierzchni 0,1466 ha.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w tym Małgorzatę Nool oraz spadkobierców po Aleksandrze Partyce, aby zgłosili się w Sądzie i wykazali swoje prawa do nieruchomości, a to w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia, pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia, jeżeli zostanie wykazane.

Basmie w tych coponiedziałkowych wizytach na komendzie towarzyszyli znajomi prawniczki. I mimo że za każdym razem przypominali strażnikom, że Basma mówi po angielsku, to wszyscy uparcie zwracali się do niej po polsku. Zresztą tak samo mówili do innych obcokrajowców – ci kiwali głowami, choć najczęściej nic nie rozumieli.

Wszyscy siedzieli tam długie godziny, zanim sprawdzono ich dokumenty. Basma nie znosiła tych wizyt, a jej znajomi czuli się chorzy, gdy tylko zbliżał się poniedziałek. Bolało ich, że jest traktowana lekceważąco i z wyższością. Podobnie jak inni obcokrajowcy, którzy tam przychodzili.

Bardzo chciała pracować. Podobnie jak wielu idących przez las, tak i ona nie wyjechała z Iraku po to, by teraz żyć na zasiłku – a co miesiąc dostawała trochę ponad 700 złotych. Poza tym na komendzie wielokrotnie pytano, czy już podjęła pracę. Rozsyłała więc CV po różnych restauracjach i raz już prawie się udało, ale przed podpisaniem umowy okazało się, że – wbrew temu, co sugerowano na komendzie – jako ubiegająca się o azyl wcale nie ma prawa do zatrudnienia. Basma postanowiła więc pomagać uchodźcom w lesie, ale znajomi prawniczki, którzy z czasem się z nią zaprzyjaźnili, nie zgodzili się. Pozwolili jedynie, by pomagała nosić do lasu pakiety pomocowe i pakować plecaki dla wolontariuszy.

W mieście chodzili na kawę, pierogi lub do kina. Basma nie budziła żadnego zainteresowania, a jeśli ktoś się za nią obejrzał, to tylko dlatego, że jest piękną kobietą. Ona sama zaś czuła, że jej się udało właśnie dlatego, że jest ładna i że jest chrześcijanką.

Prawosławne święta spędziła u rodziny batiuszki, na katolicką wigilię pojechała do rodziny przyjaciół. W sylwestra bawiła się z rodziną aktywistów. Życzyli jej, aby jak najszybciej mogła wyjechać do Szwecji.

Polska zapomniała

Wiadomość o tym, że Szwecja wyraziła zgodę na jej przyjazd, zastała ją w restauracji Pani Pierożek, gdzie umówiła się na obiad ze znajomymi prawniczki. Ale radość, która wybuchła przy stoliku z pierogami, była przedwczesna. Okazało się, że zgodę musi wyrazić także Polska. Tyle tylko, że Polska jakoś o tym zapomniała.

Leżała tak długo, aż nabrała pewności, że tamci odjechali.

Wyczołgała się spod krzaka,
wyjęła telefon i wpisała
w wyszukiwarce słowo, które
miało jej pomóc: „church”.

„What the kurwa?” – gdy już nauczyła się tego najpopularniejszego polskiego przekleństwa, zazwyczaj używała go w tej konfiguracji.

Nastaly kolejne tygodnie czekania na zgodę i jej uprawnomocnienie. A potem miesiące oczekiwania na wykonanie decyzji – czyli na bilet do Szwecji.

To było już po wybuchu wojny w Ukrainie, więc koła maszyny biurokratycznej, które i tak z trudem się obracały, teraz stały niemal w miejscu: wszyscy uwijali się, jak tylko mogli, by pomagać uchodźcom z Ukrainy.

Choćby pan Wojtek. Okazało się, że potrafi sięgnąć po telefon i włączyć elektronicznego tłumacza, żeby wyjaśnić Ukrainkom, jakie dokumenty dostarczyć i gdzie je zanieść, żeby na mocy przyjętej ekspresowo specustawy móc szukać w Polsce pracy.

Ale Basma nie była Ukrainką – nie miała więc żadnych informacji, ile jeszcze będzie musiała czekać.

Cotygodniowe wizyty na komendzie zaczynały ją coraz bardziej męczyć, tak samo jak relacja z rodziną batiuszki. Na plebani musiała wysłuchiwać, że to Putin w tej wojnie ma rację, bo batiuszka nigdy nie krył się ze swoimi prorosyjskimi poglądami. Również w mieszkaniu wybuchły niesnaski, w końcu się wyprawa.

Niepokoili ją też wiadomości od batiuszki, zwłaszcza te wysyłane późnym wieczorem, gdy po jednym czy dwóch kieliszkach zapewniał ją o swojej ojcowskiej miłości oraz o tym, że zawsze jej pomoże, tylko niech odwiedza go częściej; tak jakby oczekiwał, że będzie cały czas okazywać mu wdzięczność.

Gdy wiadomości stały się bardzo natręcyjne, wystraszyła się, że i batiuszka jest mężczyzną, który nie rozumie, co ma na myśli kobieta, gdy mówi „nie”. Bała się,

że jeśli zareaguje zbyt stanowczo, będzie chciał się na niej zemścić i przeszkodzić w wyjeździe do Szwecji. Pokazała wiadomości swojej prawnicze, a potem go zaatakowała. Batiuszka uważa, że stało się to w odpowiedzi na jego pytania o przyczyny ucieczki z Iraku. A jego żona opowiadała później, że Basma tak naprawdę nigdy nie była im wdzięczna.

Zakłęcie

Basma zdążyła zaprzyjaźnić się z wieloma osobami, które pomagają uchodźcom w lesie. Na początku czerwca cała ta przybrana rodzina wyprawiła jej przyjęcie urodzinowe, z tortem, świeczkami i prezentami. Dostała wtedy różowe waliszki, a oni pierwszy raz słyszeli, jak śmieje się w głos. Ten prezent miał zaklinać rzeczywistość.

Zakłęcie zadziało: wreszcie dostała bilet do Szwecji.

Na ostatnim spotkaniu pojawiła się cała przybrana aktywistyczna rodzina. Pożegnała ją też rodzina batiuszki. A znajomi prawniczki dostali na pożegnanie zegarki. Poprosiła, żeby patrząc na nie, zawsze o niej myśleli.

Gdy wyjeżdżała z pudełek, zobaczyli, że na karcie gwarancyjnej była wybita data: 3 marca. Basma kupiła je niecały tydzień po tym, jak dostała pierwszą wiadomość o możliwości wylotu do Szwecji. A wyleciała dopiero trzy miesiące później.

Znajomi prawniczki odwiedzili ją na lotnisko, wyściskali i zostawili w rękach straży granicznej. Po kilku godzinach dostali wiadomość, jednak nie ze Szwecji, a nadal z Warszawy. Wyjazd został anulowany. Przerazili się, że za chwilę straż wywiezie ją Bóg wie gdzie. Na szczęście okazało się, że to tylko awaria samolotu i że wyleci jutro.

Znajomi prawniczki zaczęli wydzwaniać do straży, domagając się, by Basma mogła spędzić noc w hotelu. W końcu się udało i kolejną wiadomość dostali już z hotelu: „Jestem bardzo zmęczona i idę spać”.

Następnego dnia przed szóstą obudził ich telefon. Nikt nie przychodził po Basme. Bali się, że znów nie polecą. Po długim czasie nadeszła wiadomość: „Jestem już w samolocie”.

Po kilku kolejnych godzinach dostali ze Sztokholmu zdjęcie, na którym Basma przytula się do siostry. W następnym poniedziałek napisali jej, że to pierwszy od siedmiu miesięcy tydzień bez wizyty na komendzie... © BARTOSZ RUMIŃCZYK

JACEK

Podsiadło:

Trzy minus



„TO JEST TRAKTOR. TRAKTOR ZAORAŁ DUŻE pole. Zaorał je prędko. Bez traktoru orano by długo. To traktor Samopomocy. Samopomoc ma dwa traktory”.

To czytanka. Tę czytankę znalazłem w elementarzu dla dorosłych „Start” z 1948 r. Zapotrzebowanie na elementarze dla dorosłych wzrosło rok później, kiedy Sejm uchwalił ustawę o likwidacji analfabetyzmu. „Słowo Ludu” informowało w 1951 r., że „powiat kielecki, w którym ujawniono 10 957 analfabetów i półanalfabetów, wyrwał z ciemnoty 5800 ludzi. Reszta to starcy lub zwolnieni przez lekarzy na podstawie stwierdzenia niedomagań fizycznych lub psychicznych”. Oddajmy w tym miejscu hołd Franciszkowi Piałusze, który bez stwierdzonych niedomagań w pojedynkę stawiał czoła tej zmasowanej i wymierzonej także w niego akcji. W tymże 1951 r. anonimowy czytelnik „Zielonego Sztandaru” donosił bowiem w liście: „Obok chętnych i pragnących się uczyć analfabetów są także uparci. Do nich należy F. Piałucha z Chłopkowa (gmina Górki), który sam nie uczęszcza na kurs i gorliwie odradza go innym”.

Uroczystości związane z zakończeniem walki z analfabetyzmem odbyły się w sali Filharmonii Śląskiej i były transmitowane przez radio. Eksanalfabeta Tomasz Mordziałek, betoniarz z Dąbrowy Górniczej, powiedział wówczas do mikrofonu: „Jaki wielgi czyn państwo polskie, nauczycielstwo, zrobię nad naszymi starymi mózgami! Dlatego, że my stajemy się więc wydajniejsi, więc wartowsio... Więcy wartościowski! Ale to nie kuniec na tym. My wszyscy starzy, my wszyscy ci, którzyśmy się uczyli i mogliśmy się nauczyć, to musimy złożyć wielkie podziękowanie, niejedno nawet, ale w pierwszym rządzie musimy podziękować Czerwonej Armii (oklaski) i wielkiemu chorążemu pokoju, towarzyszowi Stalinowi (burza oklasków). Żeby nie wyzwolenie nas, ni myśmy byśmy nie mogli osiunąć tego osiunnięcia, żeby nam mog ktuś zdjunc tą maskę cinną z naszych oczu, cośmy nic nie mogli widzieć! Jeżeliśmy zaśli gdzieś, czy w fabryce na kopalni, chcieliśmy zobaczyć jakikolwiek ogłoszenie, które wisiało, cza było prosić współtowarzysza, jeżeli chciał albo nie chciał nas poinformować, co pisze i jak pisze”.

„Pragnę złożyć podziękowanie władzom Polski Ludowej za to że pomogły mi nauczyć się pisać i czytać. Dopiero teraz wiem że analfabeta to jakby kaleka. Teraz czuję się zupełnie inaczej i za to jeszcze raz dziękuję” – pisał Szlama Dzikowski, brygadzysta Spółdzielni im. Waryńskiego w Wałbrzychu, do Pełnomocnika Rządu dla walki z analfabetyzmem.

Nauczanie w PRL-u stało na niskim poziomie. Na wydanej przez Ośrodek Karta płycie „Dźwięki PRL-u” uwieczniono zapis fragmentu lekcji matematyki z lat 60. Janek Kotarbiński czyta zadanie: „W lesie rosły trzy stare drzewa, a jeszcze rosły siedem młodych drzewek. Ile drzewek rośnie w lesie?”. Wezwany do odpowiedzi Andrzej Demka melduje: „Zadania dobrze nie słuchałem”. „Proszę, Haneczka powie!” – zachęca nauczycielka. „W lesie rosło drzewek dziewięć”, „Ślicznie”.

Nauczanie stało na niskim poziomie, bo do nauczania analfabetów garnęli się półanalfabeci. Jadwiga Karolczak asystowała w 1988 r. egzaminom na studia na WSP w Kielcach i skrzętnie notowała co ciekawsze odpowiedzi kandydatów i kandydatek na nauczycieli. „Jacek Soplica różni się od Konrada trochę. Można jego życie podzielić na dwa etapy. Pod postacią Robaka nawołuje i podburza”. „– »Proszę państwa do gazu« to obraz destrukcyjny. – Proszę wyjaśnić, co pani przez to rozumie. – Więc przyznam szczerze, że z tym pojęciem się jeszcze nie spotkałam”. „Jego ideałem jest miłość do Aldony i patriotyzm. Jest to bohater strasznie pozytywny”. „»Bema pamięci rapsod żałosny« albo też »Fortepian Szopena« to jest ubolewanie nad tym, że ten instrument wyrzucano przez okno”.

Gafę Dudy polegającą na pomyleniu insurekcji z rezurekcją popełnił już w 1966 r. w „Cierpkich głogach” Ciepielski, zapytany, co było tematem poprzedniej lekcji. W „Nie ma róży bez ognia” nauczyciel pyta Majerównę: „Kto to napisał?”. „To nie ja!” – zapewnia Majerówna. Uświadomiona, że chodzi o autora wypisanego na tablicy cytatu, myli Sienkiewicza z Mickiewiczem. „Trzy minus, siadaj”.

Majerównę zmyliło pytanie „Kto to napisał?”, bo najczęściej padało ono w szkole w kontekście napisów naściennych. W latach 1954-55 w ubikacji Liceum Pedagogicznego w Tucholi pojawiały się sygnowane przez „Żołnierzy Armii Krajowej” napisy „o wyrażnym akcencie politycznym przeciw Państwu Ludowemu, ZSRR i tow. Bierutowi” oraz „o charakterze pornograficznym”, o czym dyrekcja w tych właśnie słowach informowała Wydział Oświaty i UB. Po napisach pojawiły się ulotki zapowiadające wysadzenie w powietrze szkoły i internatu oraz odezwa „Ostatnia godzina wybiła, opuszczajcie internat”. Trwające pół roku śledztwo wykazało istnienie spisku sześciu uczniów, którzy zamierzali dokonać zamachu na dyrektora szkoły i jego zastępcę, od czego zmuszeni byli jednakże się powstrzymać ze względu na fakt nieposiadania broni.

W 1983 r. wydalono z zawodu nauczycielskiego Teresę Baranowską, polonistkę z Zespołu Szkół Handlowych w Katowicach. Nauczycielkę oskarżono m.in. o to, że „powstał u w/w kult zachodu, gloryfikowanie tego wszystkiego, co było sprzeczne z właściwym ideowo-politycznym wychowaniem młodego pokolenia” (dyrektor szkoły) i że na manifestacji z okazji 11 listopada wznosiła okrzyk: „Precz z czerwonymi świniemi!” (wicedyrektorka na podstawie zeznań uczennicy). Obrona oparta na argumentach, iż jako polonistka Baranowska nie byłaby w stanie wznosić okrzyków zawierających nieprawidłową formę „świńmi”, nie przyniosła rezultatu. ©

VI FESTIWAL TRADYCJI LITERACKICH

Konopnicka / Asnyk / Gajcy

Muzeum Pana Tadeusza
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
Rynek 6, Wrocław



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.



REKLAMA

Jazz Around Festival

16-17.09.2022 Moszna Zamek

POLUZJANCI

JULES BUCKLEY CONDUCTS QUINCY JONES + AUKSO

ORKESTRA
KAMERALNA
MIASTA TYCHY

JORDAN RAKEI • THEO KATZMAN • SCARY POCKETS

DJ AMIR PRESENTS JAZZANOVA (LIVE)

STANISŁAW
BŁASZCZYK
REDAKTOR

DIRTY LOOPS • MAREK NAPIÓRKOWSKI „HIPOKAMP”

ADAM BAŁDYCH & ŁUKASZ OJDANA • CODY FRY • KINGA GŁYK

DAVID RYAN HARRIS • EABS • KUBA WIĘCEK TRIO • ANOMALIE

BARTEK KRÓLIK • SECRET NIGHT GANG • MARTA WAJDIK QUARTET

CHERISE • BIBOBIT • ACID GROOVE • ZK COLLABORATION

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.JAZZAROUND.PL

ORGANIZATOR



PARTNERZY



PATRONI MEDALNI

CZY PAPIEŻ WIE, CO MÓWI

GIAN FRANCO SVIDERCOSCHI, WATYKANISTA:

Takiego upadku papieskiego autorytetu
nie widziałem od kilkudziesięciu lat.

A Franciszek ma przecież jeszcze trochę rzeczy do zrobienia.

EDWARD AUGUSTYN: Co się dzieje w Watykanie? Franciszek nazywa rosyjską propagandzistkę Darię Duginę niewinną ofiarą wojny, kilka dni później Stolica Apostolska wydaje komunikat, w którym wyjaśnia, co papież miał na myśli i jakie jest jego stanowisko wobec wojny. Skąd ten chaos?

GIAN FRANCO SVIDERCOSCHI: To w pierwszym rzędzie problem komunikacyjny. Nie pierwszy w ostatnich miesiącach. Trudno zrozumieć, co papież chce nam przekazać. Np. mówi, że chciałby odwiedzić oba kraje będące w stanie wojny. Ktoś powie – świetnie. Ale dlaczego najpierw chce pojechać do Moskwy, a dopiero potem do Kijowa? Najpierw odwiedzić agresora, a potem ofiarę? Albo dlaczego poszedł drugiego dnia inwazji do rosyjskiej ambasady w Rzymie? Po jakimś czasie sam wyjaśniał, że prosił o kontakt z Putinem. Mija już sześć mie-

sięcy, jak Putin nie oddzwania. Takiego upadku autorytetu nie widziałem, odkąd śledzę sytuację w Watykanie, a zacząłem pracę w Sala Stampa ponad 60 lat temu, na kilka dni przed śmiercią Piusa XII.

Mamy wrażenie, że co innego mówi papieska dyplomacja, czyli Sekretariat Stanu, a co innego papież.

Ale dyplomacją Watykanu kieruje papież. To on decyduje o polityce Stolicy Apostolskiej. Kiedy przyszedł Jan Paweł II, nie do końca podobała mu się watykańska Ostpolitik. Uważał ją za zbyt kompromisową wobec władz komunistycznych i nieuwzględniającą doświadczeń np. polskiego episkopatu. Dokonał zatem jej korekty. Ale dał swoim służbom jasny przekaz, że zmieniamy tę politykę. Owszem, zdarzało się, że mówił więcej albo ostrzej niż jego dyplomacja.

Tyle że dziś powodem zamieszania jest brak precyzyjnych wytycznych. Za tym,

co się dziś dzieje, nie stoi żaden pomysł – ani co robić, ani co powiedzieć.

Franciszek też dokonał korekty polityki międzynarodowej Watykanu.

To oczywiście. Widać to choćby po tym, jak zmieniają się rozmówcy, można powiedzieć – sojusznicy Kościoła katolickiego na poziomie światowym. Np. dużo większą wagę przykładają do relacji ze światem islamu niż z Żydami. Wiadomo, że Watykan prowadzi rozmowy z Chinami, choć nie znamy ich szczegółów. Właśnie zbliża się rocznica tajnego porozumienia między Stolicą Apostolską a Pekinem w kwestii chińskich biskupów. Można tylko zapytać: jak to możliwe, że Kościół, głoszący Ewangelię, zawiera jakieś tajne porozumienia?

Widać też, zwłaszcza teraz, że zbyt daleko zaszliśmy w szukaniu dialogu z Moskwą. Papież ciągle powtarzał, że chce się ponownie spotkać z Cyrylem. →



→ Pamiętamy ich pierwsze spotkanie, na lotnisku w Hawanie. I znów – można zapytać, czy dwaj przywódcy Kościołów powinni spotykać się w salonce lotniska? No i czy teraz papież powinien tak zabiegać o rozmowę z człowiekiem, który błogosławi wojnę, odpowiedzialnością za całe zło obarcza parady gejów, określa się sługą Chrystusa, a trzyma miliardy na zagranicznych kontaktach? To wszystko jest mało zrozumiałe.

Wojna w Ukrainie to porażka przywódców religijnych. Przede wszystkim Cyryla. Wszyscy pamiętamy, co mówił, ale przecież towarzyszyło temu milczenie innych biskupów i duchownych Cerkwi prawosławnej. Po stronie katolickiej mamy z kolei papieża, który dwa dni po inwazji, niespotykanej w XXI wieku, wychodzi na modlitwę Anioł Pański i mówi dwa zdania o wojnie, nie zajmując żadnego stanowiska, nie rozróżniając, kto jest agresorem, a kto zaatakowanym.

Rozumiem, że to problem nie tylko komunikacyjny?

O wiele głębszy, bo dotyczący autorytetu papieża – zwierzchnika Kościoła i duchowego przewodnika.

Da się pogodzić dyplomację, która opiera się na kompromisie, utrzymywaniu kontaktów nawet z reżimami, z głoszeniem Ewangelii?

Myślę, że dziś to już nie jest możliwe. Kościół powinien jasno głosić Ewangelię, a nie myśleć o mediacjach i kompromisach. Kryzys Kościoła katolickiego to również zniszczenie autorytetu papieża. Papiestwo nie ma już znaczenia na arenie międzynarodowej. No, ale skoro wobec takiej agresji, jaką od pół roku widzimy, papieża nie stać na jasną, zdecydowaną wypowiedź potępiającą agresora...

Gdy Jan Paweł II wypowiadał się przeciwko wojnie w Iraku, też nie znajdował u wszystkich zrozumienia.

To zupełnie co innego. Pamiętam, jak w marcu 2003 r. papież wysłał dwóch kardynałów do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem USA, a potem do Bagdadu, do prezydenta Iraku. Wtedy zorientował się, że wojna jest nieunikniona. Podczas modlitwy na Anioł Pański odłożył kartkę z przemówieniem, przygotowanym mu przez sekretarza stanu, i wypowiedział dwukrotnie te pamiętne słowa: „Nigdy więcej wojny! Nigdy więcej wojny!”.

Milczenie jest lepsze niż nieprzemyślane słowa.

Nie na każdy temat trzeba się wypowiadać.
A już na pewno nie powinien tego robić papież.
To niszczy jego autorytet.

Jan Paweł II
i Benedykt XVI widzieli
barbarzyństwo wojny, choć
przecież każdy po innej
stronie frontu.

Franciszek nie zna jej dramatu.

Krytykował Stany Zjednoczone, choć przedtem, przez całą dekadę lat 80., miał w nich sojusznika w walce z komunizmem.

Pamiętam, jak po przyjeździe do Meksyku, wtedy jeszcze trwała zimna wojna, mówił, że Kościół nie opowiada się za żadnym systemem, tylko zawsze jest po stronie człowieka. A gdy wrócił do Meksyku po upadku Muru Berlińskiego, w 1990 r., powiedział, że upadek systemu komunistycznego nie oznacza, że wygrał inny system, kapitalistyczny. Taka powinna być pozycja Kościoła – służba człowiekowi, obrona jego godności.

Franciszek też powtarzał wielokrotnie: nigdy więcej wojny. Gdzie jest więc różnica?

Powtarza, ale co potem robi? Idzie do ambasady rosyjskiej albo mówi, że obie strony powinny dojść do kompromisu.

Myślę, że różnica polega na tym, że Jan Paweł II osobiście doświadczył tragedii wojny. Przeżył napad Niemców i Związku Radzieckiego na Polskę i dlatego bardzo dobrze wiedział, czym jest wojna obronna, którą Sobór Watykański II uznał, pod pewnymi warunkami, za wojnę sprawiedliwą, co weszło do kompendium społecznej nauki Kościoła. Benedykt XVI szedł tą samą drogą, często od-

wołując się do doświadczenia swego poprzednika. Pamiętam, jak dwa miesiące po swoim wyborze, po obejrzeniu w Sala Nervi filmu „Karol, człowiek, który został papieżem”, powiedział: „To opatrnościowe, że po polskim papieżu przyszedł papież niemiecki”. I Jan Paweł II, i Benedykt XVI widzieli barbarzyństwo wojny, choć przecież każdy po innej stronie frontu.

Franciszek nie zna dramatu wojny. W Argentynie widział rewolty, bunt obywatelskie czy ludowe, ale prawdziwą wojnę zna jedynie z opowieści swojego dziadka, który walczył na froncie I wojny światowej. Dlatego uważa, że zawsze możliwe jest porozumienie, że zawsze jest jakieś kompromisowe wyjście. Gdy tymczasem trzeba odważnie powiedzieć, kto jest agresorem, a kto ofiarą. Kościół taką odwagę powinien mieć. Słowa mają znaczenie.

Z tego, że papież jest Argentyńczykiem, bierze się też jego antyjankeska postawa. Latynosi zawsze byli przeciwko Stanom Zjednoczonym, które są dla nich jednym z dwóch mocarstw walczących o przewagę w świecie. Wojna w Ukrainie jest dla nich *de facto* wojną USA z Rosją.

Nie wszystko chyba da się wytłumaczyć pochodzeniem.

To prawda. Są też inne przyczyny takiego zachowania papieża. Franciszek jest jezuitą, a ci znani są z pragmatyzmu, kompromisów, z tego, by – jak on sam często mówi – „ugłaskiwać konflikty” (*accarezzare i conflitti*) i harmonizować sprzeczności. Dla niego rzeczywistość nigdy nie jest tylko czarna albo tylko biała. Mówi, że zawsze trzeba widzieć odcienie szarości. W obecnej sytuacji to bardzo niebezpieczne słowa, bo akurat mamy do czynienia z oczywistym agresorem i stroną w ewidentny sposób zaatakowaną. Tego nie da się zharmonizować.

A ponadto uważam, że Franciszek stał się niewolnikiem własnego sukcesu.

W jakim sensie?

Myślę o sympatii i uznaniu, jakie przyniosły mu pierwsze lata pontyfikatu. Spróbuję zobrażować to w najprostszy sposób. Gdy został wybrany na papieża, pierwsze wystąpienie zaczął nie od słów „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, ale od „Dobry wieczór”. To było miłe i świeże – pozdrowienie adresowane do wszystkich ludzi, nie tylko katolików,

nie tylko wierzących. Ale jeśli każde przemówienie, aż do dziś, zaczyna w ten sam sposób, to robi się dziwnie. Podobnie jest z teczką, którą sam sobie nosił do samolotu – wszystkie gazety o tym pisały. I nawet teraz, choć go wiozą na wózku inwalidzkim, teczkę musi mieć ze sobą. Powtarzane gesty stają się podejrzone i tracą na wartości.

Może po prostu taki jest? Może to nie są wymyślone gesty?

Ci, którzy go dobrze znają, mówią, że wcześniej taki nie był. Był poważny, wręcz smutny, przygnębiony, samotny.

Działanie Ducha Świętego? Kościół wierzy, że to on stoi za wyborem papieża.

Obawiam się, że Franciszek czasami zapomina, iż warto się tego Ducha Świętego poradzić. Bo wszystko wskazuje, że kiedy zobaczy jakiś tytuł w gazecie albo ktoś mu coś powie, od razu przyjmuje to jako swoje stanowisko. Tak było ze słynnym „szczekaniem NATO” – miał mu coś takiego powiedzieć jakiś premier – albo z niedawną wypowiedzią o śmierci Darii Duginy. Wygląda na to, że przeczytał coś albo usłyszał i postanowił się tym podzielić. Milczenie jest lepsze niż nieprzemyślane słowa. Nie na każdy temat trzeba się wypowiadać. A już na pewno nie powinien tego robić papież. To niszczy jego autorytet.

Przyjął wersję kremlowskiej propagandy, bo to ona natychmiast uznała Duginę za ofiarę wojny i obarczyła winą Ukraińców. Czy w Watykanie są rosyjscy agenci?

Kiedyś byli, więc mogą być i teraz. Znana jest sprawa arcybiskupa Janusza Bolonka [zmarły w 2016 r. watykański dyplomata, wieloletni nuncjusz papieski, wysoki urzędnik Sekretariatu Stanu, prawdopodobnie tajny współpracownik służb PRL o pseudonimie „Lamos” – red.]. Ale nawet jeśli są, nie sądzę, by mieli jakiś wpływ na papieża. Franciszek zachowuje się tak, jak się zachowuje, bo ma taki charakter, pochodzenie i zakonną formację. A także ponieważ zapomina, że nie jest już biskupem Buenos Aires. Pewne zachowania, gesty, sposób mówienia, które były dobre na poziomie diecezji, nie muszą takie być na poziomie Kościoła powszechnego. Wszystko, co mówi papież, ma przecież inną rangę, staje się niemal



KRZYSZTOF TADEJ / FOTONOVA

GIAN FRANCO SVIDERCOSCHI (ur. 1936) jest włoskim dziennikarzem i watykanistą (od 1959 r.), byłym wicedyrektorem „L'Osservatore Romano” (1983-1985), przyjacielem i współpracownikiem Jana Pawła II, autorem książek i współautorem filmów o polskim papieżu.

prawem. Nie ma miejsca na niejasne czy nieprzemyślane wypowiedzi.

Pontyfikat Franciszka ma także jasne strony. Kościół się zmienił: wyjdzie na peryferia, otwarcie na inność i różnorodność, dostrzeżenie kryzysu klimatycznego i ekologicznego, troska o dzieło stworzenia. Owszem, wojna brutalnie zweryfikowała ideę powszechnego braterstwa, a stanowisko papieża wobec wydarzeń w Ukrainie, przez wielu uznane za chwiejne, obniżyło jego autorytet. Ale czy to znaczy, że ostatnie pół roku przekreśla dziewięć wcześniejszych lat pontyfikatu?

Mam nadzieję, że nie. Do tego, co pan powiedział, dodałbym jeszcze naukę o miłosierdziu. Jan Paweł II wprowadził chrześcijańską koncepcję miłosierdzia do rzeczywistości społecznej, a papież Franciszek uczynił je stylem Kościoła. Dzięki Bogu, od 60 lat widzimy, jak Kościół zmienia się na lepsze z każdym kolejnym pontyfikatem. Widzimy kontynuację. W najbliższą niedzielę [rozmowa odbyła się 31 sierpnia – red.] zostanie ogłoszony błogosławionym papież Luciani, którego pontyfikat trwał tylko 33 dni, ale i jego zapamiętamy jako tego, który zrezygnował z koronacji i tronu. Potem był papież Polak, rozpoczynający swój długi pontyfikat

słowa: „Jeśli się pomylę, to mnie poprawicie”. Później papież Niemiec, któremu udało się połączyć doktrynę i teologię z codziennością Kościoła. Teraz jest papież latynoamerykański, z końca świata, który też ma swoją opatrnościową rolę.

Dwa lata temu patrzyliśmy na niego z podziwem, gdy w Wielki Piątek stał samotnie, w deszczu, na placu św. Piotra, i prosił Boga o ustanie pandemii.

To był wielki symbol. Franciszek modlił się tak, jak przez wieki jego poprzednicy w szczególnie trudnych momentach Kościoła. Ten postępowy i otwarty papież pokazał się wszystkim jako przywiązany do tradycyjnego sposobu wyrażania wiary. Był w tym momencie papieżem, który łączy. Potrafił zjednoczyć przeszłość z teraźniejszością. Minęły raptem dwa lata. Stąd tak wielkie rozczarowanie. Bo miał autorytet.

Myśli Pan, że może go jeszcze odzyskać?

Gdyby w pierwszych dniach wojny pojechał do Kijowa, stanął na Majdanie... Może ocaliłby ileś ludzkich istnień, bo choć przez chwilę nie padałyby pociski. Może zmieniłby historię Kościoła i świata. Teraz już za późno. Zresztą ani w Kijowie, ani w Moskwie już go nie chcą. Widząc zatem, co się dzieje, sądzę, że nie jest już w stanie odzyskać autorytetu. Ale powinien przynajmniej starać się go dalej nie osłabiać, bo wszystko to spadnie, niestety, na barki jego następcy.

Powinien podać się do dymisji?

Myślę, że wcale nie ma takiego zamiaru. Musi dokończyć reformę kurii rzymskiej, do czego zobowiązali go kardynałowie podczas konklawe. Ale reforma tej instytucji to nie wszystko. Na pewno nie oznacza reformy Kościoła, bo nawet jeśli w Watykanie papież zrobi więcej przestrzeni dla osób świeckich i kobiet, to nie oznacza wcale, że to samo zrobią biskupi w swoich kuriach czy proboszczowie w parafiach. Dlatego drugą ważną sprawą dla Franciszka jest synod, który może rzeczywiście zmienić Kościół. Franciszek ma więc jeszcze parę rzeczy do zrobienia, nawet jeśli nie wszystko, co zaczyna, potrafi skończyć. Ale jest przecież rasowym jezuitą, który inicjuje procesy i pozwala, by same się dokonywały.

©© Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Kościelna bezkarność

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Biskup ma w diecezji ogromną władzę. Tym istotniejsze jest, by stworzyć reguły kontroli i procedury reakcji w przypadku poważnych zarzutów wobec hierarchów.

MINIONYCH KILKA TYGODNI TO SERIA poważnych zarzutów wobec kolejnych biskupów. Zaczęło się od abp. Paula Fitzpatricka Russella, wcześniej m.in. nuncjusza apostolskiego w Turcji, a obecnie biskupa pomocniczego w Detroit (z personalnym tytułem arcybiskupa), którego dorosły mężczyzna oskarżył o wykorzystanie seksualne przed trzydziestoma laty. Trzydziestoletni wówczas Russell miał – według aktu oskarżenia – przytulać dwunastoletniego wtedy chłopca, całować, a następnie pieścić jego narządy płciowe, masturbować go, a także wymusić seks oralny i analny.

Mniej więcej w tym samym czasie Andrzej Pogorzelski, były kleryk w seminarium świdnickim, oskarżył w wywiadzie dla „Newsweeka” ordynariusza świdnickiego biskupa Marka Mendyka. Opowiedział, że gdy miał dziesięć lat i leżał w szpitalu, został przez niego wykorzystany seksualnie w czasie sprawowania „ostatniego namaszczenia”. „Wtedy był zwykłym księdzem. Przyjechał do mnie z ostatnim namaszczeniem. Byliśmy sami w sali szpitalnej. Pytał mnie o różne rzeczy, jak się czuję, czego się boję. W końcu złapał moją rękę w swoją i przysunął mi do majtek. Zaczął mnie dotykać. Zawstydzilem się, schowałem głowę w poduszkę, a on mówił, że było źle, bardzo źle, ale będzie dobrze. Teraz będzie już dobrze, ale muszę być dobrym chłopcem i wszystko zatrzymać dla siebie, bo to może wrócić” – opowiadał Pogorzelski w „Newsweeku”. Wywiad zawierał także cały szereg poważnych, choć niedotyczących kwestii pedofilii, zarzutów wobec



MAREK LASZYK / REPORTER

świdnickiego seminarium duchownego i stosunków (także seksualnych) w nim panujących.

I wreszcie na koniec media poinformowały o zarzutach wobec prefekta Kongregacji ds. Biskupów kard. Marca Ouelleta. Duchowny ten, gdy sprawował urząd metropolity Quebecu, miał według oskarżenia niewłaściwie zachowywać się wobec pełnoletniej wówczas kobiety, współpracującej z duszpasterstwem, którym zajmował się ówczesny arcybiskup.

Bez wspólnych reguł

Każda z tych spraw jest odmienna, inne są – przynajmniej przy bardziej konkretnym opisie, zarzuty, a przede wszystkim inaczej zachowały się kościelne struktury władzy. W przypadku abp. Paula Fitzpatricka Russella procedury zadziałały natychmiast, i choć on sam odrzuca oskarżenia, to jednocześnie w swoim oświadczeniu wezwał do modlitwy za skrzywdzonych przez duchownych, a także poinformował o powstrzymaniu się od wszystkich działań duszpasterskich i „publicznej posługi”. Można powiedzieć, że w tej sprawie archidiecezja

w Detroit i sam arcybiskup Russell (niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie) zdali egzamin.

Inaczej było w diecezji świdnickiej. Tu także – i to jedyny obok wszczęcia dochodzenia kanonicznego element wspólny wszystkich spraw – biskup zaprzeczył oskarżeniom, ale zamiast oddać się do dyspozycji papieskiej czy choćby ogłosić, że do momentu wstępnego wyjaśnienia zarzutów rezygnuje z publicznej posługi, zaczął *tour* po katolickich i prawicowych mediach. W każdym z wywiadów powtarzał to samo: jest niewinny, wielu księży jest niewinnie oskarżanych, fałszywe oskarżenia powinny być surowo karane, a jego sprawa wpisuje się w scenariusz zmasowanego ataku na Kościół, który ostatecznie doprowadzi do tego, że wierni wychodzący ze świątyń będą obrzucani kamieniami. Dziekani jego diecezji natychmiast zebrali podpisy pod apelem broniącym biskupa, a Akcja Katolicka zaczęła oskarżać dziennikarzy (bo przecież nie wzywać do uczciwego załatwienia sprawy). Już po oskarżeniach bp Mendyk wezwał wiernych na Jasnej Górze do modlitwy za biskupów,



Protest przeciwko bezkarności biskupów, Kraków, maj 2019 r.

do pośladek. Od tego momentu F unięła spotkań z metropolitą, a w rozmowach, w czasie których dzieliła się swoim niepokojem, usłyszała, że nie jest jedyną kobietą, wobec której – opisywany jako „bardzo ciepły i przyjazny” – duchowny zachowywał się w ten sposób. W 2020 r. kobieta zgłosiła sprawę do diecezji, a krótko potem trafiła ona do Watykanu. Tu wszczęto wstępne dochodzenie (ale bez odsunięcia kardynała choćby na moment) i uznano, że oskarżenia nie zawierają materiału umożliwiającego wszczęcie dochodzenia. „Papież Franciszek deklaruje, że nie ma wystarczających elementów do otwarcia postępowania kanonicznego” – możemy przeczytać w oświadczeniu Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej.

Tym, co rzuca się w oczy, jest właśnie brak spójnych procedur w postępowaniu wobec biskupów. Owszem, istnieją ogólne zasady dotyczące samego postępowania i jego rozpoczęcia, przedstawione w liście apostolskim papieża „Vos estis lux mundi” z 2019 r., brakuje jednak spójnych zasad postępowania w odniesieniu do ewentualnego zawieszenia w posłudze czy w sprawowaniu władzy. To dlatego w każdej z opisywanych spraw biskup zachował się inaczej. W pierwszej biskup zawiesił się sam (ale znając amerykańskie standardy, zawieszono by go, gdyby było to konieczne). W drugiej nie wydarzyło się nic, a biskup prowadzi osobistą krucjatę przeciwko mediom i mężczyźnie, który go oskarżył, wspierają go zaś w tym katolickie media. W trzeciej wprowadzie wszczęto wstępne dochodzenie, ale nie uznano za stosowne, by choćby na moment zawiesić czy ograniczyć władzę kardynała, który odpowiada za nominacje i kontrolę biskupów na całym świecie.

Warto sobie uświadomić, że tego typu oskarżenie (niezależnie od tego, czy prawdziwe) mogło mieć wpływ na podejmowane przez niego decyzje, a z pewnością mogło doprowadzić do naruszenia zaufania do niego samego. Stolica Apostolska nie znalazła jednak powodów do działania (i zostawiam na razie na boku pytanie o treść samych zarzutów i o to, czy rzeczywiście nie ma w nich materiału na proces). Ten brak spójności działań zaskakuje tym bardziej, że w odniesieniu do księży standardy już istnieją i są – przy-

najmniej w zachodniej części Kościoła – dość ściśle egzekwowane.

Zastosować Vademecum

Najpełniejszy wyraz tych zasad znaleźć można w opracowanym przez Kongregację Nauki Wiary „Vademecum dotyczącym wybranych kwestii proceduralnych w zakresie postępowania w przypadku nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych wobec małoletnich”. Co ono stanowi? Odpowiedź jest prosta. Władze kościelne, podobnie jak kościelne instytucje (nie mówimy tu o samym oskarżonym, ale już o kurii biskupiej, grupach dziekanów czy księży, a także organizacjach katolickich) powinny powstrzymać się do czasu wstępnego choćby wyjaśnienia sprawy od „wszelkich przedwczesnych ocen co do winy lub niewinności osoby, której zgłoszenie dotyczy”. „Władze kościelne powinny postarać się o to, by domniemana ofiara i jej rodzina traktowane były z godnością i szacunkiem, i powinny zapewnić im przyjęcie, wysłuchanie i towarzyszenie, również za pośrednictwem właściwych służb, a także pomocy duchowej, medycznej i psychologicznej, w zależności od danego przypadku” – uzupełniają autorzy „Vademecum”. Co wynika z tego zapisu?

A choćby tyle, że nie wolno – działać tak zaś w polskich mediach katolickich – dyskredytować z góry wiarygodności ofiary, dokonywać ocen jej życia osobistego (często zresztą wykazując się kompletną nieznajomością ludzkiej psychiki).

„Vademecum” Kongregacji Nauki Wiary zawiera jednak także jasne wskazania dotyczące możliwości „nałożenia środków zapobiegawczych” na oskarżanych duchownych. „Celem ochrony dobrego imienia zaangażowanych w sprawę osób oraz ochrony dobra publicznego, jak również niedopuszczenia do zaistnienia innych zdarzeń (np. wywołanie zgorszenia, ryzyko ukrycia przyszłych dowodów, zagrożenie lub w inny sposób zniechęcanie domniemanej ofiary od dochodzenia swoich praw, ochrona innych potencjalnych ofiar), (...) ordynariuszowi lub hierarsze od początku dochodzenia wstępnego przysługuje prawo do nałożenia środków zapobiegawczych, w szczególności w kan. 1722 KPK i kan. 1473 KKKW”. Jak to środki zapobiegawcze?

by ci nie ulegali naciskom i atakom. Biskup więc nadal pojawia się publicznie, naucza i przemawia, tak jakby nic się nie stało. A jeśli ktoś jest oskarżany, to ofiary i dziennikarze.

Jeszcze inaczej wyglądała sprawa kardynała Ouelleta. Z dokumentacji przekazanej sądowi w Kanadzie (ale dotarła ona także do Watykanu) wynika, że kardynał jest oskarżany o agresję seksualną. O co chodzi? Określana kryptonimem „F” kobieta zaczęła w 2008 r. pracę w archidiecezji Quebec. Krótko potem podczas jednego ze spotkań arcybiskup miał do niej podejść, położyć jej na ramionach ręce i zacząć masować. F miała być tak zaskoczona tym, co się wydarzyło, że nie zareagowała wówczas na nieodpowiednie zachowanie. Kilka miesięcy później ponownie spotkała się z kardynałem podczas przyjęcia i wtedy duchowny miał ją pocałować „z poufałością” i „mocno przycisnąć ją do siebie, pieszcząc ją po plecach rękami”. Jakiś czas później Ouellet miał powiedzieć kobiecie, że „mógłby ją pocałować jeszcze raz, »bo nie ma nic złego w rozpieszczaniu się trochę«, a jednocześnie przesunął rękę po plecach aż

→ Dokumenty kościelne są jasne: ograniczenie publicznego sprawowania posługi kapłańskiej, nakaz przebywania w jakimś miejscu lub zakaz przebywania w innym. Jeśli tego rodzaju ograniczenia stosuje się – i to już podczas dochodzenia wstępnego – wobec księży, to nie ma powodów, by nie zastosować ich wobec biskupa. Zwłaszcza że ordynariusz czy tym bardziej prefekt watykańskiej dykasterii może wpływać na swoich podwładnych, podejmować działania utrudniające dociąganie do prawdy, a nawet zastraszać świadków, może mieć wreszcie wpływ na stan dokumentacji itd. To wszystko skłaniać może do tego, by traktować go tak samo jak księdza-potencjalnego sprawcę, a środki stosować także po to, by chronić obiektywność dochodzenia. W przypadku oskarżonego biskupa tego rodzaju działania wydają się nawet istotniejsze niż w przypadku zwykłego księdza i tym bardziej powinny być wprowadzane.

Amerykanie takie procedury już wprowadzili (w tym przypadku były one zresztą prostsze, bo arcybiskup Russell był biskupem pomocniczym, co umożliwiało działanie ordynariusza), ale w wielu innych miejscach Kościoła – także w Polsce – tego rodzaju standardy nie działają, najistotniejszym bowiem prawem jest „bronić swoich za wszelką cenę”.

Brak wiedzy dotyczącej mechanizmów psychologicznych u osób skrzywdzonych prowadzi zaś do powszechnej wciąż wśród części duchownych i świeckich systemowej niewiary wobec ofiar. Istotnym problemem, i to nie tylko na poziomie naszego kraju, jest także to, że w Kościele nie istnieje realny podział władzy. Biskup w swojej diecezji jest monarchą absolutnym i nie podlega kontroli innej niż watykańska, a jeśli w Watykanie niekiedy panują podobne standardy jak u nas, to w istocie system kontroli nie istnieje, i nie ma oddolnych mechanizmów wymuszenia choćby zawieszenia biskupa.

Nieprzerobiona lekcja #metoo

Sprawa kard. Marca Ouelleta (wciąż będącego prefektem Kongregacji ds. Biskupów) ma jeszcze przynajmniej dwa dodatkowe elementy, które trzeba poważnie rozważyć. Po pierwsze dochodzenie wstępne wcale nie ustaliło, że zarzuty mu przedstawione są nieprawdziwe, a jedynie, że nie ma w nich materiału na proces.

Po #metoo nadszedł czas w Kościele na przerobienie nowej lekcji: miękkie formy przemocy seksualnej **trzeba zacząć traktować naprawdę poważnie.**

To odmienna teza niż uznanie niewinności. Po drugie zaś – o czym już nieco wspominałem – istotne jest pytanie, czy tego rodzaju zarzuty nie będą wpływać na późniejszą działalność prefekta. Czy jeśli są nieprawdziwe, to nie wpłyną na jego determinację do walki z prawdziwymi nadużyciami, a jeśli są prawdziwe, to nie będą miały wpływu na inne jego działania? Nie są to pytania, które można zlekceważyć. Trudno oczywiście nie brać pod uwagę także tego, że odwołanie w tej chwili kardynała Ouelleta w odbiorze opinii publicznej mogłoby zostać uznane za potwierdzenie winy, na co jest – również na poziomie świeckim – za wcześnie.

W tej sprawie bardziej interesujące jest jednak co innego, a mianowicie „sentencja” wstępnego dochodzenia. „Nie ma elementów, by otworzyć proces” – uznał po wstępnym dochodzeniu ks. Jacques Servais. Po dalszych „istotnych konsultacjach” papież Franciszek deklaruje, że nie ma wystarczających elementów do otwarcia postępowania kanonicznego – można było przeczytać w oświadczeniu Stolicy Apostolskiej. I aż trudno nie zadać pytania: co mają oznaczać te słowa? Jeśli relacje kobiety zawarte w dokumentach sądowych są prawdziwe (a z opisu postępowania watykańskiego nie wynika, że podważono prawdziwość jej zeznań czy uznano, że jest ona niewiarygodna), to nie ulega wątpliwości, że zachowanie kardynała było formą „miękkiej przemocy seksualnej”.

Po #metoo, po tysiącach przedstawionych w mediach opowieści kobiet nie ma i nie może być wątpliwości, że tego rodzaju zachowania nie są dowodem na bycie „ciepłym i sympatycznym”, nie są wyrazem szarmanckiej męskości, ale przekraczaniem granic wobec intymności kobiety (mężczyzny też). Ani prawo kanoniczne, ani świadomość wewnątrz-

kościelna (może lepiej powiedzieć: wewnątrzhierarchiczna) nie biorą zdaje się pod uwagę tego, że każde przekroczenie granic intymności, w tym niechciany dotyk o podtekście seksualnym, jest agresją seksualną i jako taka powinno być traktowane także prawnie. Opowieści o „ojcowskim traktowaniu”, o „potrzebie bliskości”, o przyjacielskich relacjach – szczególnie, choć nie tylko, gdy mówimy o zależności służbowej czy hierarchicznej – muszą być odrzucone jako zwyczajnie nieadekwatne. Ani biskup, ani ksiądz, ani świecki mężczyzna – bez świadomej zgody drugiej strony – nie powinien przytulać kobiet czy mężczyzn, głaskać ich po plecach (sięgając do pośladków), ani tym bardziej całować. Ta lekcja została już odrobiona przez część społeczeństwa, w tym korporacje, ale jak się zdaje, wciąż nie jest odrobiona przez znaczącą część Kościoła.

I to także jest istotne wyzwanie. Kościół – widać to w zmianach wprowadzanych przez Franciszka – rozumiał już, że przemoc i przestępstwa seksualne dotyczą nie tylko małoletnich, ale i bezbronnych dorosłych. Chodzi zaś nie tylko o osoby z niepełnosprawnością intelektualną, ale także o kleryków i młodych księży (w odniesieniu do biskupów czy przełożonych), siostry zakonne, jak również np. osoby poddane presji psychicznej i duchowej przez charyzmatycznych liderów. Teraz nadszedł czas na głębokie przerobienie lekcji związanej z miękkimi formami przemocy seksualnej, z nadużyciami, które rzeczywiście jeszcze kilkanaście lat temu były nie tylko tolerowane, ale wręcz uchodziły za standard. One także powinny być traktowane niezwykle poważnie, a reakcja na doniesienia o nich powinna być zawsze odpowiednia. Tylko w ten sposób można budować wiarygodność.

Ten tekst nie miał na celu rozstrzygania, czy oskarżenia biskupi są, czy nie są winni, czy zostali oskarżeni słusznie, czy też ich oszkalowano. Ocena tego przekracza możliwości publicysty. Jedynym moim celem jest uświadomienie, jak bardzo potrzebujemy jasnych reguł działania, oceny i procedur nie tylko wobec księży, ale też wobec tych, których władza w Kościele jest o wiele większa i o wiele mniej kontrolowana, a mianowicie wobec biskupów. To zadanie nie zostało jeszcze wykonane, a jest istotne.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI



*Kallistos Ware
(po lewej)
z Anbą
Angaelosem,
arcybiskupem
Londynu
Koptyjskiego
Kościoła
Prawosławnego,
marzec 2016 r.*

Rozum zachwycony pięknem

MAREK KITA

Kallistos Ware uczestniczył w dyskusjach o możliwości wyświęcania kobiet czy rewizji podejścia do związków homoseksualnych. Czym gorszył swoich prawosławnych współwyznawców.

BYŁ JEDNYM Z NAJBARDZIEJ ZNANYCH współczesnych teologów wschodniego chrześcijaństwa. A przecież mowa o rodowitym Angliku, absolwencie londyńskiej Westminster School oraz oksfordzkiego Magdalen College. Ten dżentelmen w powłóczyściej greckiej sutannie wręcz ucieleśniał więź obu płuc schrytlianizowanej Europy oraz całym sobą poświadczając dobrodziejstwo oddychania obojgiem z nich. W jego optyce chodziło tu z jednej strony o Bizancjum i zainspirowaną przez nie słowiańszczyznę, a z drugiej strony Rzym oraz pokrewne mu duchem – choć na zewnątrz opozycyjne – Kościoły narodzone z Reformacji. 24 sierpnia w wieku 88 lat zmarł w Oksfordzie metropolita Kallistos (Timothy Ware), biskup pomocniczy grecko-pra-

wosławnej archidiecezji Tiatyry i Wielkiej Brytanii.

Zbliżenie

Odkrywszy prawosławie u progu dorosłości i zachwyciwszy się nim aż po konwersję, Ware nie uległ pokusie neofickiego wojowania z resztą świata. Jako ambasador „światła ze Wschodu” stał się zarazem współtwórcą ekumenicznego zbliżenia nie tylko prawosławno-anglikańskiego (za udział w którym Prymas Canterbury uhonorował go specjalnym odznaczeniem). Miał również wkład w bynajmniej nieoczywiste zbliżenie między prawosławiem a chrześcijaństwem ewangelikalnym.

Przyznajmy, że to robi wrażenie: mnich-biskup, z maryjnym medalionem na

piersi, przyjmowany z sympatią w Centrum Billy’ego Grahama w Wheaton (Illinois, USA). Ware łączył przekonanie o kompletnym charakterze dziedzictwa własnego „Kościoła pierwszych siedmiu soborów” z afirmacją duchowych bogactw protestantów i rzymskich katolików. Pozostawał też wierny przeświadczeniu, że Kościół ma być dialogiczny na podobieństwo Trójjedynego Boga, o którym daje świadectwo.

Prawie jak Newman

W słowie wstępnym do polskiego przekładu jednej z ważniejszych książek Kallistosa – „Prawosławna droga” („The Orthodox Way”) – ks. Wacław Hryniewicz odnotował, że jawił się on niektórym jako „prawosławny Newman”. Istotnie, łatwo skojarzyć ze sobą postacie dwóch Brytyjczyków związanych z Oksfordem, których dzieli wprawdzie stulecie, lecz łączy doświadczenie przejścia od anglikańskiej pobożności szukającej pogłębienia, poprzez studium Ojców Kościoła, ku bardziej klasycznej, „kontynentalnej” formie chrześcijaństwa. Jednak towarzysząca podobieństwom różnica ma swą wagę. Podczas gdy Newmanowi trafiła do przekonania logika tradycji rzymskiej, Ware’a ujęła głębia greckiej patrystyki i urzekł duch wschodniej liturgii. Ponadto jego przewodnikami stali się przedstawiciele emigracyjnej teologii rosyjskiej.



→ Nasuwa się więc raczej porównanie z historią innego oksfordczyka z XIX stulecia, Williama Palmera – należącego zresztą do tego samego co Newman nurtu odnowy anglikanizmu. Palmer prowadził korespondencję z prawosławnym apologetą rosyjskim Aleksiejem Chomiakowem oraz sympatyzował ze wschodnią ortodoksją. Jednak i w tym przypadku analogia się załamuje, gdyż Palmer po zderzeniu z przejawem prawosławnego ekskluzywizmu (zażądano od niego powtórnego chrztu) ostatecznie przeszedł do rzymskich katolików.

Timothy Ware nie podzielił przekonania Newmana ani nie powtórzył drogi Palmera. W roku 1958, jako 24-latek, został członkiem społeczności Ekumenicznego Patriarchatu Konstantynopola. Osiem lat później, po monastycznych postrzyżynach i przyjęciu święceń, już jako ojciec Kallistos połączył służbę w grecko-prawosławnej parafii w Oksfordzie z pracą wykładowcy tamtejszego uniwersytetu.

Ortodoksja jest drogą

Zgodnie z brzmieniem tytułu przywołanej książki, w przeżyciu i refleksji Kallistosa Ware'a wiara stanowiła drogę – proces egzystencjalny i duchowy (a więc również intelektualny). Takie ujęcie chrześcijaństwa wyrażało poświadczoną w Dziejach Apostolskich samoświadomość wczesnego Kościoła. Zatem ortodoksja widziana jako wierność „Pismu rozumianemu przez Kościół jako przestrzeni wieków” zachowuje charakter dynamiczny. W jednym z wywiadów hierarcha stwierdzał: „Tradycja żyje dalej. Era ojców nie skończyła się w V czy VII wieku. Moglibyśmy teraz, w XXI wieku, mieć świętych ojców równych ojcom starożytnym”.

Prawosławny teolog Bradley Nassif wyznał, że sam Kallistos jest w jego odbiorze właśnie takim współczesnym ojcem Kościoła. Dla innych wykazywana przez biskupa z Oksfordu świadomość pielgrzymiego charakteru wiary jako wędrówki w głąb Tajemnicy – w mrok na szczycie Synaju, w świetliste zaskoczenie Góry Tabor – była kamieniem obrazy. Tym ludziom trudno było przyjąć, że tłumacz i współwydawca klasycznych tekstów z dziedziny prawosławnej duchowości i ascetyki (Filokalia) może akceptować dyskusję o możliwości wyświęcania kobiet oraz rewizji podejścia do związków homoseksualnych. Tymczasem Kallistos nie uważał, żeby do wykluczenia jakiegś

Jeden z krytyków zarzucił mu bycie raczej kochającym dyskusje akademikiem niż posłusznym wierzącym.

Jakby samo Pismo nie wyrażało ludzkich zmagañ ze Słowem.

opcji wystarczyło stwierdzenie, iż „dotąd tego nie robiliśmy” – a wobec faktu, że natura ludzka wciąż stanowi dla nas zagadkę, pozostawał otwarty na rozwój antropologii seksualności.

Jeden z krytyków tej otwartości zarzucił mu bycie w większym stopniu kochającym dyskusje akademikiem niż posłusznym wierzącym. Jakby samo Pismo nie wyrażało ludzkich zmagañ ze Słowem i przedzierania się Ducha poprzez literę... Tymczasem w teologii Kallistosa Ware'a umysł mieszka w sercu, myślenie służy nieustannej modlitwie – trwaniu przed odnajdywanym wszędzie Bogiem z miłością, w której splatają się ze sobą respekt, ufność i uwielbienie. Uczony współistnieje w nim z towarzyszem duchowym, którego celtyccy chrześcijanie nazywali *anamchara*, „przyjacielem duszy”.

Mystyk z krwi i kości

Rosyjska tłumaczka ksiązek Kallistosa, Swietłana Panicz, pisze na Facebooku: „Czemu przekładanie jego tekstów daje taką satysfakcję, przyjemność niemal fizyczną, rozkosz dla umysłu? Pewnie dlatego, że wszystko w nich jest zdrowym rozsądkiem i zdumieniem, wszystko dotyczy piękna i prawdy. (...) To jest teologia zaskoczenia i wdzięczności. Jest jednocześnie teocentryczna i antropologiczna”.

Wspominając osobiste kontakty z władzą (jak tytułują biskupów Rosjanie), tłumaczka kreśli portret kogoś podobnego do Pana Pickwicka i stwierdza, że przy całym imponującym znanstwie bizantyjskiej patrystyki, jakim się legitymował, „żadna bizantyjskość do niego nie pasowała”. Po czym dzieli się anegdotą z pobytu Kallistosa na ekumenicznych Wykładach Uspienskich w Kijowie. Oto na terenie Ławry Peczerskiej do władzy podchodziły dwie kobiety w długich do ziemi suk-

niach i w chustkach dokładnie zakrywających włosy. Schylają się oczekując błogosławieństwa, a w odpowiedzi słyszą od uśmiechniętego hierarchy: „Hello, girls!”.

Jak to napisał sam Kallistos, w związku z chrześcijańską teologią pobożności i „modlitwą nieustanną”, zalecaną przez apostoła Pawła: „Nic nie powinno być pominięte jako nieodwracalnie świeckie, niezdolne do przeobrażenia w nabożeństwo. (...) Modlić się to widzieć Boga we wszystkim, ogarniać cały świat i z radością ofiarowywać go z powrotem Bogu. Modlitwa i nabożeństwo powinny (...) być częścią naszego istnienia, nie czymś, co robimy, mówimy czy też przemysłamy, ale czymś, czym naprawdę jesteśmy” (tłum. W. Misijuk). Duchowość wyraża się zarówno w okadzaniu ikon i zapalaniu świec w cerkwi, jak i w rowerowych przejażdżkach ulicami Oksfordu, wśród ujadania okolicznych psów.

Proroctwo imion

Choć uznanie każdego imienia za omen trąciłoby pogaństwem, to w przypadku Timothy'ego-Kallistosa Ware'a można odnieść wrażenie, że imiona faktycznie mają sens proroczy. Jego dzieciństwo upłynęło pod dachem pobożnych rodziców, a młodość naznaczyła fascynacja wiarą. Upodabnia go to jakoś do Tymoteusza z Nowego Testamentu, z jego wierzącą babką i mamą, oraz „znajomością świętych Pism od niemowlęstwa” (por. 2 Tm 1, 5; 3, 14).

Z kolei otrzymane wraz z mniszą tonsurą imię Kallistos znaczy po grecku „najpiękniejszy”. Ono towarzyszyło dojrzalym latom i konsekwentnej wędrówce ku osobistemu przemienieniu na wzór Chrystusa – do opromienionego Jego pięknem „królestwa wnętrza”. „The Inner Kingdom” to tytuł pierwszego tomu „Dzieł zebranych” Ware'a.

Metropolita Kallistos był świadkiem Chrystusa, Pięknego Pasterza (*ho Poimēn ho Kalos*, J 10, 11) i praktykował wiarę jako *philokalia* – ukochanie piękna. Niech go po tamtej stronie życia spotka to, co najpiękniejsze. Niech zamieszka w świetlistym obłoku, w Miłości, która jest wszystkim we wszystkich. © MAREK KITA

Autor jest teologiem zajmującym się myślą prawosławną, profesorem UPPII w Krakowie. Pracuje w Instytucie Teologii Fundamentalnej, Ekumenii i Dialogu tej uczelni.

WOJCIECH

Bonowicz:

Pazury



MIAŁEM PISAĆ, ALE MUSIAŁEM ZAJĄĆ SIĘ kotem: Leon chodził osowiały, nie miał apetytu, co chwilę się pokładał. Ożywiało go tylko szczotkowanie i bitwa na pięści. W końcu zwymiotował sporej wielkości kłaczek i wszystko wróciło do

normy. Zjadł małą saszetkę pasty, która pomaga oczyścić jelita, i pół porcji krojonego mięsa. Teraz leży obok na stole, blisko, ale nie za blisko, tak żeby czuć moją obecność i jednocześnie nie czuć dotyku.

Nasze bitwy na pięści wyglądają w ten sposób, że podsuwam Leonowi pod nos zaciśniętą dłoń, a on ją delikatnie gryzie i łapie, już mniej delikatnie, pazurami. Instynkt wojownika budzi się w nim mniej więcej dwa razy na dzień. Zrywa się wtedy, choć nikt go nie goni, chowa w dziurach, choć nikt go nie szuka, w końcu zmęczony naszą obojętnością przystępuje do ataku. Trzeba powiedzieć, że jest szybki, ale też, że na ogół umie odróżnić walkę od zabawy. Wciąż jego ulubionym miejscem jest szeleszczący, biało-zielony tunel. Wpełza do niego i czeka, aż podejść i zaatakuję od strony ogona; rozlega się wtedy bojowy miauk i po chwili cały tunel owija się wokół mojej ręki. Jeżeli pozwolę się gryźć i drapać, zabawa nie trwa długo. Leon gryzie tylko tę rękę, która się nie poddaje.

Problem tęsknoty za polowaniami rozwiązuje się sam, kiedy przez okno wpadnie mucha lub ćma. Niestety, w tym roku muchy zrobiły się leniwe i rzadko zaglądają na trzecie piętro. A i ciem też jakby mniej. Trochę mnie deprymuje, że dopadłszy ćmy, Leon bawi się nią dłuższą chwilę, zanim w końcu zdecyduje się ją zjeść lub zostawić. W jednej z krót-

kich próz szwajcarskiej pisarki Fleur Jaeggy jest znakomity opis takiego zachowania, które etologowie nazywają *Übersprung*. Kiedy kot schwytą upragnioną zdobycz, na moment jakby traci koncentrację: bawi się swoją ofiarą i porusza nią, jak gdyby była piórkiem, to znów „zaczyna się rozpraszać, oddala, spokojnie zmienia trasę. To jakby martwa chwila. Hipostaza. Kot sprawia wrażenie obojętnego, wydaje się, że zapomniał o drżących skrzydłach, które przed sekundą całkowicie pochłonęły jego uwagę (...). Patrzy gdzie indziej. Pocięra sobie łapką pyszczek, drapie się za uchem, przekręcając głowę. Ma mnóstwo rzeczy do zrobienia. Nie mają one nic wspólnego z jego poprzednim działaniem. Kot patrzy gdzie indziej. Znajduje się gdzie indziej. To ruch strategiczny. Jest częścią precyzyjnego mechanizmu”.

Zdaniem Jaeggy – której słowa cytuję tu w przekładzie Moniki Woźniak – ten ruch to swoiste kocie *delectatio morosa*, „melancholijne przecięcie związku z ofiarą”. Kot zachowuje się tak, jakby nie on spowodował agonii i nie on miał zadać śmierć. Rozproszone, odwrócone spojrzenie staje się osobliwym pożegnaniem: nie ma już łowcy i zdobyczy, sprawcy i ofiary, jest nagi fakt śmierci, za którą nikt nie ponosi odpowiedzialności.

Na szczęście balkon jest osiatkowany, więc nie ma mowy o polowaniu na ptaki. Leon od dawna już nie szczeka na gołębie; obserwuje je uważnie, ale nie próbuje płoszyć. Kiedy jedziemy na wieś, znajdujemy truchła ptasie, porzucone przez koty włóczące się po okolicy. To dowody wdzięczności przyniesione przez jedne z nich, ale wypatroszone przez inne. Kiedy wystawiamy kotom coś do zjedzenia, miski szybko zostają opróżnione. Leon nie lubi spotkań z tamtymi kotami, ale lubi obwąchiwać pozostawione przez nie ślady. Możliwe, że upokarza go to, iż musi po trawie chodzić w szelkach i na smyczy, podczas gdy one biegają wolno. Dlatego z domu przegania je z sykiem.

No tak, ale teraz zwinął się w kłębek i zasnął. Miły, dobry kotek. Znow jest najpiękniejszą rzeczą w całym domu: śpiący myśliwy, który nie musiał nigdy naprawdę polować, bo nigdy nie był głodny. ©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 69/22 postępowanie z wniosku Teresy Tomczyk o stwierdzenie nabycia udziału w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Jarocinie przy ulicy Chrobrego 39, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00019525/9.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle, pod sygn. akt I Ns 245/21 z wniosku Alior Bank S.A. w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Planecie, zm. 5 czerwca 2017 r. w Gdańsku, ostatnio przed śmiercią zamieszkałym w Jaśle.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 260/22, toczy się postępowanie z wniosku Gminy Miejskiej Jarosław z udziałem Elżbiety Kwiatkowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Marii Sękiewicz, c. Władysława i Franciszki, zm. 31 października 2019 r. w Jarosławiu, ostatnio stale zamieszkałej w Jarosławiu. W skład spadku wchodzi lokal mieszkalny położony w Jarosławiu.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

NIE ODPUŚCIMY

ELI ROSENBAUM I CHRISTIAN LEVESQUE,
CZŁONKOWIE AMERYKAŃSKIEGO ZESPOŁU DS. BADANIA ZBRODNI WOJENNYCH W UKRAINIE:

Byli już wcześniej tacy przywódcy,
którzy nie spodziewali się
postawienia zarzutów. A jednak do tego doszło.

MARTA ZDZIEBORSKA: Po lipcowym ataku na obóz w Ołtyni, w którym zginęło ponad 50 jeńców ukraińskich, sekretarz stanu USA Anthony Blinken zapowiedział, że „Rosjanie zapłacą za zbrodnie wojenne wobec Ukraińców”. Co to oznacza dla Pana zespołu?

ELI ROSENBAUM: Nie jesteśmy upoważnieni do wypowiadania się na temat konkretnych przypadków zbrodni wojennych lub ich sprawców. Ale chcę podkreślić, że prowadzimy śledztwa dotyczące przestępstw wobec amerykańskich cy-

wilów, a także osób mających amerykańsko-ukraińskie obywatelstwo. Oprócz tego wspomagamy ukraińską policję i prokuraturę generalną w prowadzonych przez nich śledztwach i dochodzeniach sądowych.

Na czym polega to wsparcie?

ER: Doradzamy ukraińskim kolegom w zakresie technik kryminalistycznych, zbierania i zabezpieczania materiału dowodowego, a także rozwiązywania problemów prawnych, jakie mogą pojawić się w tego rodzaju sprawach.

O jakich problemach mowa?

CHRISTIAN LEVESQUE: Chodzi o kwestie związane z zastosowaniem międzynarodowego prawa humanitarnego: definicji przestępstwa, do jakiego doszło, określenia, jaki materiał dowodowy będzie kluczowy dla śledztwa, a także tego, jakie przesłanki trzeba spełnić, by sprawą zajął się sąd krajowy lub międzynarodowy. Doradzamy również, jak dowieść odpowiedzialności za zbrodnie wieloosobowe. Przydatna tutaj jest tzw. koncepcja zmywu, czy też koncepcja wspólnego przestępczego przedsięwzięcia [ta druga



Bucza, 3 kwietnia 2022 r.

czytają ten wywiad w „Tygodniku Powszechnym” i dowiedzą się, że Ameryka wspiera Ukrainę w dochodzeniu sprawiedliwości.

Czy wspieracie ukraińskich śledczych także na miejscu?

ER: Mogę powiedzieć tylko tyle: niedawno byli tam nasi ludzie.

Od początku inwazji 24 lutego ukraińska prokuratura wszczęła tysiące postępowań w sprawie rosyjskich zbrodni. Ale niektórzy sprawcy zdążyli już zapewne wrócić do Rosji lub dalej walczyć na froncie. Jakie są szanse, że kiedykolwiek odpowiedzą za swoje czyny?

ER: To jest osiągalne, ale musimy mieć dużo cierpliwości.

Pytanie, czy mamy tyle czasu.

W jednym z prowadzonych przez Pana śledztw w sprawie zbrodni nazistowskich, żyjący w USA Friedrich Karl Berger został deportowany do Niemiec dopiero w 2021 r. To ponad 70 lat po tym, jak zakończył służbę w obozie koncentracyjnym w Neuengamme.

ER: Racja, to trwało bardzo długo. Szczególnie mówiąc, nie spodziewałem się, że po tylu latach trafię jeszcze do sądu z kolejną sprawą dotyczącą zbrodni nazistowskich. Berger jako strażnik pilnował Rosjan i Ukraińców, których wysyłano do Neuengamme za naruszenie przepisów w przymusowych obozach pracy. To dla mnie jest szaleństwo, że narody, które niegdyś razem umierały, dziś walczą ze sobą na froncie. A wracając do pytania: oczywiście, może się zdarzyć, że niektórzy sprawcy zbrodni w Ukrainie znajdą się poza zasięgiem jurysdykcji tego kraju lub jakiegokolwiek innego państwa. Ale powtórzę: po latach pracy jako prokurator wiem, że do osiągnięcia sukcesu potrzebna jest cierpliwość. Świat nie zapomni o zbrodniach wojennych w Ukrainie i nie pozwoli swobodnie podróżować ich sprawcom. Jeśli tylko znajdą się na terenie kraju, który ma podpisaną z Ukrainą umowę o ekstradycji, grozi im deportacja i oddanie w ręce ukraińskich śledczych.

Pamiętajmy też, że Putin nie będzie żył wiecznie. Być może po jego śmierci nastanie odpowiedzialny rząd, który

posłużyła do sądenia zbrodniarzy przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii – red.]. Niekiedy stosuje się też koncepcję odpowiedzialności dowództwa, umożliwiającą postawienie zarzutów przełożonym, na których zlecenie popełniano zbrodnie wojenne.

ER: Dodam, że jesteśmy w stałym kontakcie z ukraińskimi śledczymi. Nawet dziś rano rozmawialiśmy z nimi przez telefon. Będziemy również współpracować z innymi europejskimi krajami w sprawach, których sądenie jest poza naszą jurysdykcją.

Czy Wasz zespół jest w kontakcie z polskimi władzami?

ER: Razem z Beth Van Schaack, ambasadorką USA ds. światowego wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych, spotkałem się z polską delegacją podczas lipcowej konferencji w Hadze [dotyczyła odpowiedzialności za zbrodnie wojenne w Ukrainie – red.]. Na pewno będziemy współpracować również z polskimi organami ścigania. Chciałem dodać, że świat poruszony jest hojnością polskich rodzin, które przyjęły pod swój dach uchodźców. Mam nadzieję, że niektórzy z nich prze-

ODRIGO ABD / AP / EAST NEWS

→ śladem niemieckich władz po II wojnie światowej będzie współpracować ze śledczymi. Niemieckie sądy skazały do tej pory wielu nazistów, a niektóre sprawy trwają do dziś.

Czasem jednak niemieccy śledczy odpuszczają. Tak jak w przypadku Bergera: po jego deportacji do Niemiec uznano, że nie ma wystarczających dowodów, by skazać go za zbrodnie wojenne.

ER: To prawda. Jednak sama deportacja była już dla Bergera srogą karą. Długo wzbraniał się przed deportacją z USA, gdzie mieszkał od 1959 r. Niewykluczone zresztą, że jeszcze zainteresują się nim śledczy. Opowiem pani taką historię: jeszcze jako młody prokurator doprowadziłem do deportacji mężczyzny podejrzanego o zbrodnie wojenne w obozie Auschwitz-Birkenau. Tuż po jego powrocie do Niemiec w 1983 r. śledczy ogłosili, że nie mają wystarczających dowodów do postawienia zarzutów. Jednak 30 lat później aresztowali go i postawili w stan oskarżenia.

Wróćmy do ataku na obóz jeniecki w Ołeniwce, o który Kreml oskarża armię ukraińską. Jak zebrać materiał dowodowy w sytuacji, gdy siły rosyjskie utrudniają Czerwonemu Krzyżowi dostęp do obozu i rozmowę z jeńcami, którzy przeżyli ten atak?

ER: Zawsze powtarzam, że osiągnięcie na pozór nierealnego celu trwa po prostu dłużej. W przypadku śledztw dotyczących nazistów mieliśmy do dyspozycji mnóstwo dokumentów skonfiskowanych pod koniec II wojny światowej przez aliantów. W Ukrainie jest zupełnie inaczej: prawie nie mamy dokumentacji, a rozmowa ze świadkami zbrodni jest utrudniona.

Mamy za to rozwiązania, których istnienie trudno było sobie wyobrazić jeszcze 10 lat temu. Bazujemy na technologiach umożliwiających przechwytywanie rozmów i informacji oraz analizę materiałów wybuchowych. Posiłkujemy się też komputerową rekonstrukcją miejsca zbrodni, analizujemy zdjęcia satelitarne i korzystamy z geofencingu [polega m.in. na pozyskiwaniu od Google'a informacji na temat smartfonów, które były w okolicach miejsca zbrodni – red.]. Podczas czerwcowej wizyty w Ukrainie

prokurator generalny USA Merrick Garland zapowiedział, że będziemy nieustępliwi w dokumentowaniu zbrodni wojennych. I tak jest: obecna tu prokuratorka Christian Levesque ostatnio prawie nie śpi.

Nad jakimi konkretnie sprawami Pani teraz pracuje?

CL: To głównie przypadki amerykańskich dziennikarzy, którzy zostali zabici lub ranni w trakcie relacjonowania rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Czy prowadzone są też śledztwa w sprawie amerykańskich jeńców, którzy walczyli przeciw Rosji? Media donoszą o dwóch weteranach z Alabamy: Alex Druke i Andy Huynh w czerwcu trafili w ręce separatystów w Donbasie.

ER: Nie komentujemy konkretnych śledztw i nie potwierdzamy, czy takie są obecnie w toku. Ale podkreślę, że w przypadku Amerykanów, którzy przyjechali walczyć po stronie Ukrainy, ostrożnie oceniamy fakty i sprawdzamy, czy istnieją przesłanki, by wszcząć w ich sprawie śledztwo.

Czy w dokumentowaniu zbrodni wojennych jakąś rolę odgrywają media społecznościowe i publikowane w nich treści?

ER: To kolejny przykład materiału dowodowego, który kiedyś był nieosiągalny. Ukraińskie władze stworzyły specjalną stronę internetową, za pośrednictwem której obywatele mogą przysyłać zdjęcia i nagrania wideo przedstawiające okrucieństwa tej wojny. Materiały te mogą być przydatne dla potwierdzenia informacji, jakie śledczy mają z innych źródeł.

Kiedyś było o wiele trudniej. Gdy w 1982 r. szykowałem się do procesu w sprawie esesmana Hansa Lipschisa, chciałem pokazać zdjęcia z Auschwitz-Birkenau, gdzie był strażnikiem. Planowałem wykorzystać do tego fotografie, które w czasie wojny wykonali amerykańscy piloci. Ujawnione przez CIA kadry były dramatyczne: widać na nich ludzi stojących w kolejce do komór gazowych, na innych dym unosi się z komínów krematorium... Choć to dobry materiał dowodowy, obawiałem się, że podczas procesu w USA w sprawie deportacji obrońca Lipschisa może zagiąć analityka

CIA, którego poprosiłem o zeznawanie w sprawie tych zdjęć.

Dlaczego?

ER: Wystarczyłoby go spytać, jak jakość zdjęć wykonanych w czasie II wojny światowej ma się do jakości zdjęć pozyskiwanych przez USA za pomocą technologii satelitarnej. Analityk na to pytanie, rzecz jasna, by nie odpowiedział.

Z jakiego powodu?

ER: Jako urzędnik CIA nie mógłby ujawnić w sądzie informacji na temat technologii satelitarnej. Ostatecznie jednak do procesu deportacyjnego w USA nie doszło, bo Lipschis sam zgodził się na powrót do Niemiec.

Jaką lekcję wyniósł Pan po niemal 40 latach tropienia zbrodniarzy nazistowskich?

ER: Gdy zaczynałem tę pracę, nie dowierzano, że można zebrać materiał dowodowy w sprawach sprzed wielu dekad, i to tysiące mil od Stanów. Jednak nasz zespół skutecznie docierał do archiwów i rozmawiał ze świadkami w Niemczech, Polsce, Ukrainie, Izraelu czy Bośni i Hercegowinie. Współpracowaliśmy z prokuratorami z Niemiec i innych krajów europejskich. Uzyskaliśmy też duże wsparcie ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

W naszym zespole pracuje były prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Z kolei inni koledzy prowadzili śledztwa dotyczące nazistów odpowiedzialnych za zbrodnie popełnione w trakcie II wojny światowej w Ukrainie. Mamy duże doświadczenie w zbieraniu materiału dowodowego w Europie.

Podstawowa różnica jest teraz taka, że wojna w Ukrainie jeszcze się nie zakończyła. Codziennie umierają niewinni ludzie, jak 96-letni Borys Romanczenko, o którym wspominał Pan w jednym z wywiadów.

ER: Historia Romanczenki ukazuje szaleństwo tej wojny: w wyniku ostrzału budynku mieszkalnego w Charkowie zginął mężczyzna, który przeżył cztery obozy koncentracyjne. Pamiętajmy, że w wyniku ataków bombowych i ostrzałów giną też rosyjskojęzyczni cywile. Jednym z największych wyzwań w dokumentowaniu zbrodni w Ukrainie jest fakt, że

nie mamy do czynienia z odpowiedzialnym rządem rosyjskim. Czy Kreml będzie współpracował przy prowadzonych przez nas śledztwach? Myślę, że na to pytanie nie trzeba odpowiadać.

Kilka dekad temu władze Związku Sowieckiego współpracowały z Amerykanami przy tropieniu nazistów. Czy chodziło wyłącznie o wymiar propagandowy?

ER: W dużej mierze tak, choć nie można zapominać, że obywatele Związku Sowieckiego, w tym mieszkańcy wchodzących w jego skład krajów bałtyckich, doznali straszliwych krzywd podczas tamtej wojny. Moskwa widziała interes w wytykaniu palcami Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Kanady czy Australii, zarzucając nam, że rzekomo celowo ukrywamy nazistów. Taka retoryka nasiliła się w latach 70. i 80. w miarę ujawniania kolejnych przypadków łamania praw człowieka przez Sowietów.

Kreml do tej pory nie wyzbył się starych nawyków: moskiewska propaganda twierdzi dziś, że celem Rosji jest denazyfikacja ukraińskiego rządu.

Jaka była Pana reakcja, gdy po raz pierwszy Pan to usłyszał?

ER: Gdy tylko słyszę o denazyfikacji Ukrainy, czuję się tak, jakby ktoś uporczywie skrobał paznokciem po tablicy. Po spędzeniu niemal 40 lat na prowadzeniu śledztw w sprawie zbrodni nazistowskich, moi koledzy i ja dobrze wiemy, jak rozpoznać nazistę. Ukraiński rząd nie jest rządem nazistowskim. To absurdałne oszczerstwa ze strony Moskwy.

Putin twierdzi, że w Ukrainie trwa „operacja specjalna”, a nie międzynarodowy konflikt zbrojny, obwarowany przepisami prawa humanitarnego. Czy są szanse na to, że Putin odpowie za zbrodnie wojenne przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym – organem, którego jurysdykcji Rosja nie uznaje?

ER: Nie będę spekulować na ten temat. Ale pamiętajmy, że byli już tacy przywódcy, jak Slobodan Milošević, którzy nie spodziewali się postawienia im zarzutów. A tak się jednak stało [były prezydent Jugosławii Milošević, który w latach 90. rozpętał wojny bałkańskie, zmarł w haskim areszcie, nie doczekawszy się wyroku – red.].



CHRISTIAN LEVESQUE jest prawniczką w Departamencie Sprawiedliwości USA, główną prokuratorką w zespole ds. badania zbrodni wojennych w Ukrainie. Specjalizuje się w sprawach dotyczących zbrodni wojennych, tortur, ludobójstwa i przypadków obrzezania kobiet.



ELI ROSENBAUM jest szefem powołanego w czerwcu amerykańskiego zespołu ds. zbrodni wojennych w Ukrainie. Prokurator, na co dzień kieruje wydziałem Departamentu Sprawiedliwości USA zajmującym się śledztwami ws. pogwałcenia praw człowieka. Przez niemal 40 lat tropił zbrodniarzy z czasów II wojny światowej ukrywających się w Stanach. Współpracował przy ponad stu śledztwach, które doprowadziły do deportacji podejrzanych o zbrodnie wojenne. Przyczynił się m.in. do wydalenia z USA do Niemiec Johna Demjanjuka, emerytowanego pracownika fabryki samochodów w Ohio, który był strażnikiem w obozie zagłady w Sobiborze; w Niemczech Demjanjuk został skazany za udział w zamordowaniu 28 tys. Żydów.

Kijów apeluje o powołanie międzynarodowego trybunału ds. zbrodni wojennych w Ukrainie, którego zadaniem byłoby osądzenie rosyjskich władz, w tym Putina. Jakie są szanse na realizację tego postulatu?

ER: Po raz kolejny: nie będę spekulował, kto i gdzie będzie sądzony, oraz czy powstanie tego rodzaju trybunał. Trwają rozmowy w tej sprawie i jesteśmy nadal otwarci na taką dyskusję. Czas pokaże.

Wróćmy do tematu zbrodni z czasów II wojny światowej. Czy którykolwiek z namierzonych przez Pana sprawców przyznał, że żałuje swoich czynów?

ER: Nigdy.

W Stanach nazywany jest Pan „łowcą nazistów”. Jak udało się Panu namierzyć Friedricha Karla Bergera, który żył spokojnie w stanie Tennessee, a nawet pobierał niemiecką emeryturę?

ER: Duża w tym zasługa niemieckich śledczych. To oni natrafili na tysiące kart należących do strażników obozu koncentracyjnego w Neuengamme. Wydobyli je z wraku statku, zbombardowanego przez brytyjskie lotnictwo w maju 1945 r., kilka dni przed zakończeniem wojny w Europie. Niemiecka policja zarchiwizowała te dane i sprawdziła, czy któraś z wymienionych osób na tych kartach jeszcze żyje. Okazało się, że są dwa takie przypadki, jednym z nich był właśnie Berger. Gdy okazało się, że mógł on wyemigrować do USA, niemieccy śledczy przekazali nam jego sprawę.

Co wydarzyło się dalej?

ER: Dzięki tym informacjom oraz wiedzy historyków z naszego zespołu udało się zrekonstruować, gdzie i co dokładnie Berger robił podczas wojny. Ustaliliśmy to, choć żaden z jego obozowych współpracowników już nie żył. Prawie nie mieliśmy też – poza wspomnianymi kartami osobowymi – dokumentacji z obozu w Neuengamme. Opowiadam te szczegóły, żeby jeszcze raz podkreślić: potrafimy dokumentować zbrodnie wojenne, posiłkując się nawet niewielkimi skrawkami informacji. Reszta jest tylko kwestią czasu.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Łotysze stawiają na sprawdzone marki

TOMASZ OTOCKI

Mimo kryzysu energetycznego i drożyzny sondaże na Łotwie nie wróżą sukcesu partiom populistycznym. Także mniejszość rosyjskojęzyczna jest słaba – zburzenie stołecznego pomnika Armii Czerwonej nie wywołało zamieszek, na które liczył Kreml.

WYBORY NA ŁOTWIE ODBYWAJĄ SIĘ regularnie co cztery lata w pierwszą sobotę października, co jest tradycją od lat 90. XX w. Łotysze od lat chodzą do urn coraz mniej chętnie i prawie nigdy nie głosują „od serca”, ale bardziej „od rozumu” i na „mniejsze zło”.

Sondaże przedwyborcze nie zawsze się sprawdzają, ale jeśli im wierzyć, to największe szanse na zwycięstwo ma centroprawicowa Nowa Jedność (partnerka Platformy Obywatelskiej w Europejskiej Partii Ludowej), a premierem na kolejną kadencję zostanie były europoseł Krišjānis Kariņš. Na dobry wynik mogą mieć nadzieję nacjonałisci, Związek Zielonych i Rolników, prorosyjska Socjaldemokratyczna Partia „Zgoda”, a także liberalna koalicja Dla Rozwoju/Za! oraz mała partia, na którą głosuje głównie młode pokolenie miejskie pod nazwą Postępowi.

Sformować rząd może być równie ciężko, co w 2018 r., ale łotewska klasa polityczna jest zdecydowana: żadnych eksperymentów z populistami i partiami prorosyjskimi.

Zgoda niezgody

Tymczasem wcześniej, przez ostatnią dekadę, zwyciężczynią wszystkich wyborów do łotewskiego Sejmu była Socjal-

demokratyczna Partia „Zgoda”, reprezentująca głównie mniejszość rosyjskojęzyczną. Za każdym razem partię „łotewską” (centroprawicową; jeszcze do niedawna łotewskiej lewicy nie było) otaczały ją tzw. kordonem sanitarnym.

Politycy z Rygi przez lata wskazywali mi powody: brak uznania okupacji sowieckiej z lat 1940-91 za fakt historyczny, współpraca z putinowską Jedną Rosją, a także wsparcie dla referendum z 2012 r. o przyznaniu językowi rosyjskiemu oficjalnego statusu na Łotwie. Już bardziej nieoficjalnie mówiono, że Zgoda jest to tak duża partia, że po prostu trudno by-

łoby ją przetrawić establishmentowi. Politolog Jānis Ikstens wskazywał jednak w 2018 r. w rozmowie z „Przeglądem Bałtyckim”, że Zgoda zadowoliliby się trzema ministerstwami, nie marząc o stanowiskach premiera, obronności czy sprawach zagranicznych.

Decyzja klasy politycznej była jednak taka, by to ugrupowanie omijać szerokim łukiem – zwłaszcza że ciągnęły się za nim afery korupcyjne w radzie miejskiej Rygi. Choć często nikt nikogo za rękę nie łapał, to w 2019 r. Rygą wstrząsnęła afera związana ze spółką Transport Miejski, która kosztowała stanowisko byłego mera Niła Uszarkowa.

Z wyborów na wybory elektorat Zgody topniał, w międzyczasie partia straciła ostatecznie władzę w Rydze. Dziś na socjaldemokratów chce głosować zaledwie 9,5 proc. ankietowanych. Zaledwie nieco mniejszym poparciem (ok. 8,8 proc.) cieszy się partia Postępowi – łotewski odpowiednik partii Razem, który, inaczej niż polskie ugrupowanie, współpracuje w samorządzie z liberałami.

Poseł Zgody Iwan Klementiew, były sportowiec i były przewodniczący parlamentarnej grupy łotewsko-polskiej, mówi „Tygodnikowi”, że celem Zgody jest wygrana w wyborach i stworzenie takiego rządu, który będzie pracować dla narodu i nie dzielił ludzi na

Pomnik żołnierzy Armii Czerwonej w Rydze, który został wyburzony 25 sierpnia 2022 r.



„naszych” i „nienaszych”. Jest to delikatna sugestia wobec obecnej koalicji, która słynie z surowego podejścia do mniejszości rosyjskiej.

To jednak tylko dobra mina do złej gry. Żaden przedwyborczy sondaż nie przewidywał wygranej Zgody – najczęściej plasuje się ona na czwartym miejscu w rankingu.

Partia premierów

We wszystkich sondażach na czoło pelotonu wysuwa się centroprawicowa Nowa Jedność (ok. 15 proc. poparcia), na którą głoszą głównie elektorat łotewski.

Jest to „partia premierów”, którzy w ostatniej dekadzie rządili Łotwą: Valdisa Dombrovskisa (obecnie wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej), Laimdoty Straujumy oraz Krišjānisa Kariņša. Głoszą na nią głównie lepiej wykształceni i lepiej uposażeni mieszkańcy, którzy w polityce chcą widzieć „profesjonalistów”.

To także partia, która przeprowadziła Łotwę przez gigantyczny kryzys gospodarczy z lat 2008-10. Stanowi niekoniecznie kochaną, ale sprawdzoną markę, co do której mniej więcej wiadomo, czego się spodziewać.

Hosams Abu Meri – były poseł, a obecnie kandydat do parlamentu, z pochodzenia Libańczyk – wylicza mi priorytety Jedności (zarządzającej od lat także finansami i sprawami zagranicznymi): – Poprawa bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego, zwiększenie budżetu obronnego, zarządzanie kryzysem energetycznym, w tym całkowite uniezależnienie się od rosyjskiej ropy i gazu.

Ważna jest też reforma edukacji, czyli całkowite przejście na nauczanie w języku państwowym, która została przyjęta przez wszystkie partie zasiadające w Sejmie – rzecz jasna poza Zgodą.

W gruncie rzeczy pod tymi postulatami mogłyby się podpisać także inne partie koalicyjne: nacjonałści (ok. 13 proc. w sondażach), liberałowie (ok.

8 proc.) i konserwatyści (ok. 5 proc.). Liberalny poseł Gatis Zamurs mówi mi: – Te wybory będą oczywiście toczyły się w cieniu wojny i potencjalnego kryzysu energetycznego. Dla mnie ważne jest, aby dokonać wyraźnego zwrotu w kierunku niezależności energetycznej i produkcji energii odnawialnej na Łotwie.

Nacjonałści dodają do tego jeszcze swoją zdartą od lat płytę: wszystko na Łotwie ma być po łotewsku, bo ważny jest język, którym władza zaledwie dwa miliony mieszkańców.

Pragmatyczni konserwatyści

Elvis Burdājs jest młodym ryżaninem, pracownikiem branży *live dealer games*, i chętnie dzieli się z „Tygodnikiem” swoimi opiniami wyborczymi. Przed kilku laty zawierzył antysystemowej partii Do Kogo Należy Państwo.

Ugrupowanie to, założone przez kontrowersyjnego showmana i aktora Artusa Kaimiņa, w wyborach z 2018 r. zajęło drugie miejsce, a w latach 2019-21 było częścią centroprawicowego rządu Krišjānisa Kariņša, by później z hukiem wypaść z koalicji (partia, jak to często na Łotwie bywa, w ciągu dwóch lat straciła praktycznie cały swój elektorat, nie była już później nikomu potrzebna).

Dziś Burdājs mówi, że będzie głosować na Konserwatystów. To kolejna partia współrządzająca Łotwą. Wybiła się kilkoma postulatami: walką z korupcją (współtworzyli ją oficerowie biura antykorupcyjnego KNAB), walką z kasynami, którymi obsiana jest Ryga, a także programem „3 x 500 euro” (minimalna płaca miesięczna oraz nieopodatkowane minimum płacowe i emerytalne).

– Oni są pragmatyczni – mówi Burdājs, który jednocześnie wspiera cały kończący kadencję rząd. I chętnie wylicza jego sukcesy: – Premier Kariņš wykonał dobrą robotę, moim zdaniem jest

najlepszym premierem wolnej Łotwy. Mamy dobry rating kredytowy, zmniejszono wpływy oligarchów, odchudzono administrację lokalną, zreformowano system portowy, wprowadzono depozyt butelek, co sprzyja ekologii. I wreszcie poradzano sobie dobrze z covidem. Łotwa ma 75 proc. zaszczepionych.

Konserwatyści mogą jednak nie wejść do Sejmu, gdyż w sondażach mają zaledwie 4,7 proc. poparcia.

Populizm po łotewsku

Ze słowami Burdājsa o dobrze zarządzającym Łotwą gabinecie na pewno nie zgodziliby się przedstawiciele dwóch partii populistycznych, które powstały na fali walki z ograniczeniami koronawirusowymi.

Łotwa na Pierwszym Miejsu Ainārsa Šlesersa to wielki *comeback* jednego z trzech władających niegdyś krajem oligarchów o prorosyjskich poglądach. Šlesers to były minister komunikacji i wice-premier Rygi, który dopuścił w 2009 r. mniejszość rosyjską do rządów w stolicy. Niedawno dokonał politycznego rebrandingu, wyrzucając na wiosnę z partii dwie posłanki nie dość gorliwie popierające Ukrainę.

W apogeum pandemii Šlesers walczył na ulicach z „reżimem Kariņša-Levitsa”, obiecując rozliczenia klasy politycznej, rzekomo niszczącej naród wydumaną pandemią; klasy podporządkowanej – jego zdaniem – bez reszty euroatlantycznym sojusznikom.

Wśród postulatów partii znajdują się bezpośrednie wybory prezydenta (o tym akurat marzy wiele ugrupowań), wsparcie rodzin wielodzietnych, zdefiniowanie rodziny w konstytucji jako związku mężczyzny i kobiety (kwestia LGBT budzi na Łotwie wciąż emocje), „pragmatyczne” →



→ stosunki ze wschodem i zachodem Europy, a także przekształcenie Łotwy w „Dubaj Północy”.

Z kolei inny populistą Aldis Gobzems założył partię Dla Każdego i Każdej, obiecując zmniejszenie biurokracji, podniesienie jakości oświaty oraz ulepszenie systemu podatkowego.

Znakiem firmowym Gobzema są jednak postulaty programowe, lecz nieustający *show* medialny (ostatnio sfotografował śpiącego na kanapie w hallu parlamentu posła Jedności). Wcześniej nie robił sobie z ograniczeń panujących w Sejmie w dobie pandemii. Później zniknął z Łotwy i powiedział, że nie zamierza do niej wracać. Ten *show* zmęczył już nieco Łotyszy, a w każdym razie okazał się zbyt ciężki w dobie wojny w Ukrainie, która populistom pokrzyżowała szyki.

Dziś w sondażach trzy partie antysystemowe – bo do tego grona można także zaliczyć stworzone przez rosyjskojęzycznych ugrupowanie Dla Stabilności! – balansują na granicy prognozy wyborczej.

Czerwona kartka dla elit

Politolożka Simona Gurbo doradza jednak w rozmowie z „Tygodnikiem”, aby zbyt wcześnie się nie cieszyć. – Te trzy partie mają więcej zwolenników, niż pokazują sondaże. Po prostu ich wyborcy nie ujawniają swoich preferencji, a należą oni także do grup marginalizowanych, które są chaotyczne w swoich politycznych zachowaniach. Nie śledzą wiadomości, nie mają wykształcenia politycznego, ale mogą poczuć się wezwani do udziału w wyborach – mówi Gurbo.

Wejście Ślesersa i Gobzema do Sejmu byłoby czerwoną kartką dla establishmentu Łotwy, stwarzając o wiele większy problem niż rytualna obecność w parlamencie Zgody, która i tak nie miała nigdy większego wpływu na łotewski elektorat, zadowalając się swoją niszą.

Byłby to także prezent dla Kremla, który ma dla Łotyszy jeszcze jedną niespodziankę: reaktywowaną jakiś czas temu partię Rosyjski Związek Łotwy, na czele której stoi najbardziej prorosyjska europosłanka Tatjana Ždanok, wykluczona niedawno z frakcji Zielonych.

Ugrupowanie to, którego liderka jeździła wcześniej na Krym i do Syrii, najgłośniej broniła ostatnio sowieckich symboli przed ich zniszczeniem. Dziś Andriej

Populistom pokrzyżowała szyki wojna w Ukrainie.

Trzy łotewskie partie antysystemowe balansują na granicy prognozy wyborczej.

Pagor, radny Jelgawy i lider listy w Semigalii, mówi „Tygodnikowi”: – Społeczność rosyjskojęzyczna musi być reprezentowana w parlamencie i wysłuchana. Mamy prawo do edukacji w języku ojczystym, opowiadamy się za konserwacją pomników wyzwolicieli z 1945 r., a także za istnieniem mediów rosyjskich i położeniem kresu rusofobii.

Postulaty te w dobie pokoju w Europie nie musiałyby być kontrowersyjne, ale łotewska klasa polityczna już dawno podjęła decyzję: sowieckie pomniki burzymy, edukacja ma odbywać się tylko w języku państwowym, a kanały prokremlowskie trzeba całkowicie wyłączyć.

Partia Ždanok i Pagora prawdopodobnie nie wejdzie jednak do Sejmu. A nawet gdyby weszła, może czekać na nią niemiła niespodzianka: uchwalona wiosną ustawa przewiduje, że ugrupowania wspierające agresywne wojny i podważające integralność terytorialną krajów demokratycznych mogą zostać zdelegalizowane.

Pomnik na Zadzwiniu

Łotewskie wybory, w których głównym tematem teoretycznie powinna być wysoka inflacja, drożyzna w sklepach oraz problemy z energetyką, przesłoniły ostatnio kwestie tożsamościowe, związane z polityką historyczną.

Na wiosnę Sejm uchwalił prawo nakazujące lokalnym radom usunięcie sowieckich pomników z przestrzeni publicznej. Część samorządów decyzję wykonała, część się ociąga, by wspomnieć choćby Rzeżycę i Dyneburg, położone we wschodniej Łotwie i zarządzane przez Zgodę.

Realizując ustawę, w sierpniu zburzono stołeczny pomnik żołnierzy Armii Czerwonej – „wyzwolicieli sowieckiej Łotwy i Rygi z rąk okupantów niemiecko-faszystowskich”, jak brzmiała oficjalna nazwa tego odsłoniętego w 1985 r. monumentu. – On już dawno

powinien zostać wyburzony, podobnie jak pomnik Lenina 30 lat temu – mówi mi Danuta Szawdyn, działaczka polskiej mniejszości w Rydze.

Pod słowami Szawdyn podpisałby się Łotysze i tutejsi Polacy. Ale dla większości Rosjan, także tych sprzeciwiających się wojnie w Ukrainie, wyburzenie tego pomnika jest jak splunięcie w twarz. – Odczuwam smutek. Wraz z brudną wodą „pobiedobiesija” wylano dziecko: szacunek dla tych, którzy zginęli w wojnie z nazizmem, rodzinną pamięć setek tysięcy Łotyszy – mówi mi poseł Zgody Borys Cylewicz, najbardziej antyputinowski polityk mniejszości rosyjskiej.

Co będzie dalej? Łotysze nie cofną się choćby o krok, ani przed wyburzeniem pomników, ani wyłączeniem kanałów szerzących propagandę Kremla, ani przed likwidacją oświaty rosyjskiej. Nie wszystkie decyzje łotewskiej klasy politycznej wpłyną pozytywnie na integrację społeczną.

Co ciekawe, w roku wyborczym, w roku wojny w Ukrainie, mniejszość rosyjska na Łotwie jest słaba jak nigdy dotąd. Zburzenie pomnika na Zadzwiniu nie wywołało zamieszek, na które tak liczył Kreml. Rosjanie powoli się alienują, godzą z myślą, że „na Łotwie wszystko będzie po łotewsku”. Nacjonalistów nie pokochają, ale być może niedługo będą sobie szukać lepszej alternatywy niż zużyta Partia Zgoda czy ugrupowanie Taitany Ždanok, przewane złośliwie „partią watników” (w wolnym przekładzie: bezmózgowców).

Wybory odbędą się 1 października, wyniki znać będziemy jeszcze tego samego dnia. Po nich przyjdzie się zastanowić nie tylko nad kształtem koalicji i podziałem tek, ale również nad tym, jak przetrwać zimę w sytuacji wielkiego kryzysu energetycznego.

Gatis Liepiņš, młody kandydat Jedności do Sejmu, mówi, że to jego priorytet. – Wsparcie i długoterminowe rozwiązania dla wszystkich w kryzysie energetycznym, w szczególności pomoc seniorom i rodzinom z dziećmi. Rachunki za prąd i ogrzewanie muszą być adekwatne – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Łotysze w tej sprawie z ciekawością patrzą jednak nie tylko na Sejm, ale i na Europę. Na pewno coś wymyśli.

© TOMASZ OTOCKI



JOHN WESSELS / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy opozycyjnej partii UNITA podczas ostatniego wiecu przed wyborami, Luanda, 22 sierpnia 2022 r.

Pogoda dla bogaczy

ALEXIO RASHIRAI Z HARARE (ZIMBABWE), WOJCIECH JAGIELSKI

W Angoli partia rządząca „od zawsze” znów pokonała swą odwieczną rywalkę i utrzymała władzę. Ten kraj ma wszystko, aby być bogatym, a pozostaje ubogi, odkąd pół wieku temu ogłosił niepodległość.

Z WYCIĘŻĄ SIERPNIOWYCH WYBORÓW został, jak zawsze, Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli (MPLA) – niegdysiejszy ruch wyzwolenieczy, który najpierw wierzył w komunizm i wzorował się na bolszewikach z Moskwy, po czym przeszedł bez żalu na kapitalizm. Zwłaszcza gdy się przekonał, że wolny rynek w połączeniu z dyktatorską władzą dają rządzącym bogactwo wprost nieograniczone.

Tym razem jednak wygrana przyszła „ludowcom” trudniej niż zwykle. Zdobyli tylko 51 proc. i zaledwie o 7 punktów procentowych pokonali opozycję UNITę – inny niegdysiejszy ruch wyzwolenieczy, faworytkę Zachodu, która przegrywa z MPLA wszystkie batalie o rządy w Angoli.

„Ludowcy” utrzymają się więc u władzy i będą mieli większość w parlamencie, a także prezydenta i ministrów, których w Angoli wybierają posłowie (prezydentem zostaje automatycznie przywódca partii). Nigdy jednak nie odnieśli zwycięstwa aż tak nikłego. Stracili po raz pierwszy nie tylko większość dwóch trzecich, która pozwalała rządzić bez oglądania się na opozycję, ale także pewność, że nikt nie odbierze im władzy i będą rządzić wiecznie. Prestiżową wręcz porażkę „ludowcy” ponieśli w ich dotychczasowej twierdzy, stołecznej Luandzie (UNITA zdobyła tam dwie trzecie głosów), a także w roponośnych prowincjach Cabinda i Zaire.

Sukces jak porażka

Pokonana UNITA (Narodowa Unia na rzecz Całkowitego Wyzwolenia Angoli) oprotowała wynik elekcji w centralnej komisji wyborczej i zapowiedziała, że jeśli będzie trzeba, pójdzie także do sądu.

Szanse na korzystny wyrok w komisji oraz w trybunale konstytucyjnym miała jednak nikiel. Rządząca partia już dawno obsadziła swoimi ludźmi i gremia wyborcze, i trybunały – podobnie jak wszystkie urzędy, wojsko, policję oraz rządowo-dworską telewizję, która jeśli w ogóle wspomina o opozycji, to tylko po to, aby ją ludziom zożydzać.

UNITA mogłaby wezwać ludzi na ulicę. Młodzi, poniżej 30. roku życia, stanowią prawie dwie trzecie 35-milionowej ludności kraju. Wojna wyzwolenicza to dla nich stare dzieje – oni nie pamiętają nawet wojny domowej, w którą wyrodziła się zdobyta w 1975 r. wolność. Nie wzruszają ich kombatanckie opowieści, dawne bohaterskie czyny i zasługi, ani nie czują się dłużnikami partii, która pół wieku temu ogłosiła niepodległość Angoli i stanęła za sterami jej rządów.

To przeszłość – mówią młodzi. – Naszą codziennością jest zaś bieda, drożyzna i bezrobocie (bez pracy pozostaje połowa młodych Angolczyków), a przyszłością – brak widoków na lepsze życie.

Rozczarowani rządzącą partią, ruszyliby pewnie na uliczne demonstracje i starli z policją, gdyby wezwał ich do tego szef UNIT-y, inżynier-elektronik →

→ Adalberto Costa Junior, przekonując, że okradziono go ze zwycięstwa. Choć Costa Junior liczy sobie 60 lat, przekonywał, że rozumie problemy młodych, nie walczył w wojnie domowej i myśli o przyszłości, a nie ogląda się wciąż za siebie.

Ale UNITA wie, że rządzący tylko na to czekają. Natychmiast rozkazaliby policji i wojsku bezlitośnie rozpędzić antyrządowe pochody, a UNIT-ę oskarżaliby o działalność wywrotową, o zdradę i terroryzm, aresztowaliby jej przywódców, zakazali działalności partii.

Dlatego Adalberto Costa Junior wzywa swoich zwolenników, aby zachowali spokój. Lider opozycji woli czekać, bo czas jest sprzymierzeńcem jego, a nie rządzących.

Udręczenia rytualną polityką

W sierpniowych wyborach zanotowano też rekordowo niską frekwencję: ponad połowa wyborców nie pofatygowała się głosować. Angolczycy są już udręczeni trwającą ponad pół wieku rywalizacją między „ludowcami” a UNIT-ą. Są rozczarowani obiema partiami, których stali się zakładnikami. Są znudzeni brakiem jakiegokolwiek alternatywy.

Historia rywalizacji „ludowców” i UNIT-y to całe dzieje współczesnej Angoli. W latach 60. XX stulecia najpierw „ludowcy”, a po nich UNITA podnieśli zbrojne powstania przeciwko kolonialnym rządowi Portugalii. „Ludowcy” działali na ziemiach ludu Mbundu (jedna czwarta ludności), w centrum kraju, a zwłaszcza wśród mulatów ze stołecznej Luandy. Z kolei królestwem UNIT-y było południe, zamieszkane przez lud Ovimbundu, jedną trzecią ludności kraju.

Była jeszcze trzecia partia, Narodowy Front Wyzwolenia Angoli, reprezentująca lud Bakongo – z rozciągających się na północy kraju ziem dawnego królestwa Kongo, rozdzielonego między Portugalczyków, Francuzów i belgijskiego króla Leopolda.

W 1974 r., gdy młodzi oficerowie z Lizbony dokonali „rewolucji goździków” i obalili prawicową dyktaturę, a Portugalia przyznała wolność swoim koloniom, w Angoli zaczął się wyścig partyzantów po władzę. Najbliżej do stolicy mieli „ludowcy”, wspierani dodatkowo zbrojnie przez Związek Sowiecki i Kubę, która przysłała 5 tys. żołnierzy (w świecie trwała w najlepsze „zimna wojna”). „Ludowcy” wyprowadzili „frontowców”, ulubieńców USA i Mobutu Sese Seko, dykta-

tora ówczesnego Zairu (czyli Konga-Kinshasy), a także UNIT-ę, której pomocy udzielały apartheidowskie białe władze Południowej Afryki.

Wojna bez końca

W 1975 r. to „ludowcy” ogłosili więc niepodległość Angoli. Ale wojna o wolność zaraz przerodziła się w domową wojnę o władzę. Z rywalizacji szybko wypadli „frontowcy”, a Amerykanie przerzucili swoje sympatie na UNIT-ę i jej przywódcę Jonasza Savimbiego. Odtąd o władzę w Luandzie walczą już tylko „ludowcy” i UNITA.

Angolska wojna, jak niemal wszystkie „zastępcze wojny” Wschodu z Zachodem, skończyła się wraz z końcem „zimnej wojny” i upadkiem komunizmu. Nie mogąc liczyć na dalszą pomoc Kremla, prezydent Angoli i przywódca „ludowców” José Eduardo Dos Santos bez szczególnego żalu wyrzekł się komunizmu, zgodził wprowadzić wielopartyjną demokrację i wolny rynek. Odprawił Kubańczyków (ich wyjazd, a także rozmowy, jakie nawiązali Rosjanie z Amerykanami, przyczyniły się też do zakończenia wojny w sąsiedniej Namibii, zajętej przez Południową Afrykę, która w 1990 r. ogłosiła niepodległość). Dos Santos zgodził się na wynegocjowany przez ONZ rozejm z UNIT-ą i wybory pod nadzorem „błękitnych hełmów” ONZ.

Wybory przeprowadzono w 1992 r. Pierwszą rundę prezydenckiej elekcji wygrał Dos Santos. Do drugiej nie doszło, bo pokonany w pierwszej Savimbi, nie wierząc już, że zdobędzie władzę w wyborach, zerwał je i wrócił do partyzanckiej wojny. Toczyła się jeszcze długich dziesięć lat, aż do dnia, gdy w 2002 r. Savimbi zginął w potyczce z rządowym wojskiem. Po śmierci swojego naczelnego wodza partyzanci komendanci podpisali pokój, a Dos Santos zapewnił im amnestię.

Bogaty kraj biednych ludzi

Tak zwykło się mówić o Indiach, Brazylii czy RPA – państwach, w których garstkę bogaczy z elity dzieli od nieprzebranych rzesz biedaków przepaść najgłębsza i najszersza. Jednak pod tym względem Angola mogłaby z nimi z powodzeniem rywalizować.

Wojny trwające od początku lat 60. ubiegłego wieku sprawiły, że Angola, opływająca w ropę naftową i diamenty, stała się nędzarzem. Zginęło co najmniej pół miliona ludzi, a ponad 3 miliony stra-

ciły dach nad głową. Kraj czterokrotnie większy niż Polska, pozbawiony niemal nowoczesnej infrastruktury, został przerobiony na największe na świecie pole minowe.

Dopiero kiedy wojna się skończyła, Angola wpuściła zachodnie koncerny na swoje pola naftowe – najbogatsze w Afryce obok tych nigeryjskich, libijskich i algierskich. Do zachodnich nacierających na początku XXI w. przyłączyli się Chińczycy, którzy w zamian za dostawy surowców energetycznych pożyczali Angoli pieniądze, budowali drogi, mosty, koleje, elektrownie i szkoły. Na petrodolarowej mannie Luanda wyrosła w nowoczesną metropolię, jedno z najdroższych miast świata, oazę drapaczy chmur i luksusu pośród slumsów.

Ale dostęp do bogactw mieli tylko cudzoziemcy i stołeczna elita władzy, zwłaszcza dwór prezydenta Dos Santosa. Reszta mieszkańców Angoli po starciu klepie biedę, ponad połowa stara się przeżyć za dwa dolary dziennie, a bogata w skarby Angola wciąż zalicza się do najuboższych i najbardziej zacofanych krajów świata.

Zachodni księgowi oceniają, że z powodu korupcji i zwykłego złodziejstwa za panowania Dos Santosa państwo angolskie zostało okradzione na co najmniej 24 mld dolarów. Do największego bogactwa doszła rodzina Dos Santosa, a jego córka Isabel – przezywana „księżniczką”, z majątkiem szacowanym na ponad 3 mld dolarów – została okrzyknięta najbogatszą kobietą w całej Afryce. Z namaszczenia ojca szefowała państwowemu koncernowi naftowemu Sonangol. Z kolei syn, José Filomeno, zarządzał funduszem rezerw strategicznych, na którym zgromadzono 5 mld dolarów.

Rządzące elity zawłaszczyły też angolską demokrację. Przekonani, że „państwo to my”, „ludowcy” dopełniali narzuconego im przez Zachód wyborczego rytuału i demokratycznej formy, pozbawiając ją jednocześnie jakiegokolwiek demokratycznej treści. Wykorzystując bez skrupułów pełnię politycznej władzy, wygrywali wybory w roku 2008, 2012 i 2017, za każdym razem mając za przeciwnika UNIT-ę. Jedyne, co się zmieniało, to coraz niższe rozmiary odnoszonych zwycięstw. W 2008 r. rozgromili przeciwniczkę stosunkiem głosów 81,5 proc. do 10,5 proc., w roku 2012 było to 72 proc. do 18,5 proc., a pięć lat temu już tylko 61 proc. do 27 proc.



LOIC VENANCE / AFP / EAST NEWS

Z majątkiem ok. 3 mld dolarów Isabel Dos Santos uchodzi za najbogatszą Afrykankę.
Na zdjęciu: na festiwalu filmowym w Cannes, 27 maja 2022 r.

Zmiana warty

Do wyborów w 2017 r. „ludowców” poprowadził już João Lourenço, wierny minister wojny, którego stary władca Dos Santos osobiście wybrał na swojego następcę, sam zaś, po prawie 40-letnim panowaniu, przeszedł na polityczną emeryturę.

Wraz z emeryturą Dos Santosa skończyły się dobre czasy, gdy petrodolarów starczało na wszystko, na rozwój i luksusy, dla bogatych i biednych, a mieszkańcy Angoli wychwalali swojego prezydenta jako przywódcę, który wygrał wojnę domową, pogodził się z wrogami i zaprowadził w kraju spokój.

Już w 2014 r. ceny ropy na światowych rynkach poleciały w dół o ponad połowę. Dwa lata później, po zadziwiającym rozwoju gospodarczym, w Angoli zaczęła się trwająca do dziś recesja, a zyski ze sprzedaży ropy ledwo starczały na spłatę długów zaciąganych u Chińczyków.

Obejmując władzę, João Lourenço – przezywany w kraju JLo od przydomku, jaki nosi sławna amerykańska celebrytka Jennifer Lopez – obiecywał wielkie po-

rządki. Zerwał z Chińczykami, u których Angola zadłużyła się po uszy, nawiązał przyjaźń z Zachodem, obiecał położyć kres korupcji, a także pożyczać pieniądze wyłącznie od Międzynarodowego Funduszu Walutowego i słuchać podpowiedzi jego ekspertów.

Pierwszą i najbardziej spektakularną – o to właśnie chodziło – szarżę przypuścił przeciwko rodzinie Dos Santosa. W 2018 r. aresztowany, a dwa lata później skazany na 5 lat więzienia za kradzież pół miliona dolarów został syn eksprezydenta José Filomeno (złożył apelację i wciąż pozostaje na wolności). W 2020 r. o przestępstwa gospodarcze oskarżona została Isabel, którą zaraz po objęciu prezydentury JLo zwolnił z pracy w koncernie Sonangol. Uniknęła aresztowania, bo wyjechała z Angoli, jak tylko jej ojciec przestał być prezydentem (on również wyjechał – do Barcelony). Poselski mandat straciła i wyjechała z Angoli także inna córka Dos Santosa, Welwitschia (zwana „Tchize”).

Igrzyska nie ożywiły jednak gospodarki, nie zapewniły biedocie chleba. Prezyden-

towi udało się odzyskać 5 mld dolarów skradzionych z państwowej kasy, ale zalecane przez Zachód reformy sprawiły, że biedacy jeszcze bardziej musieli zacisnąć pasa, a przez niskie ceny ropy zyski z jej sprzedaży niemal w całości szły na spłatę długów i odsetek. Kiepską sytuację pogorszyła jeszcze epidemia covidu. Doszło do tego, że Angolczycy zaczęli wzdychać za czasami Dos Santosa, a dygnitarze z rządzącej MPLA – występować przeciwko JLo i jego antykorupcyjnej krucjacie.

Śmierć patriarchy

O marnej kondycji „ludowców” świadczył skandal z pogrzebem Dos Santosa.

JLo za wszelką cenę próbował ściągnąć zwłoki zmarłego 8 lipca poprzednika z Barcelony do Luandy, by uroczystym pochówkiem przyćmić ostatnie dni kampanii wyborczej oraz przypomnieć Angolczykom, komu winni są wdzięczność za niepodległość i pokój po ponad ćwierćwiecznej wojnie.

Wykorzystaniu zmarłego w kampanii wyborczej JLo sprzeciwiły się córki Dos Santosa, Isabel i Tchize, które chciały pochować go w Barcelonie – ścigane listami gończymi, nie mogłyby pojechać do Angoli na pogrzeb. „Ludowcy” w Luandzie oskarżyli je nawet, że kierując się żądzą zemsty zawarły przymierze z UNIT-ą. W stolicy plotkowano, że Isabel i Tchize targują się z JLo i domagają się, by w zamian za zgodę na pochówek ojca w Angoli wycofał się ze wszystkich oskarżeń, wysuwanych przeciw dzieciom Dos Santosa.

Ostatecznie ciało zmarłego prezydenta sprowadzono do kraju półtora miesiąca po jego śmierci, a pogrzeb urządzono tuż po wyborach, na dzień przed planowanym ogłoszeniem wyników. Policja pogroziła Angolczykom, by tego dnia uszanowali powagę żałoby i nie przyszło im do głowy protestować na ulicy przeciwko wynikowi wyborów.

Wygraną ułatwiła „ludowcom” rosyjska inwazja przeciwko Ukrainie, wskutek której ceny ropy naftowej znów poszły w górę, a Angola zaczęła zarabiać. Co więcej, wojna w Ukrainie skupiła na sobie całą uwagę Zachodu, który potrzebuje ropy, aby zastąpić nią tę rosyjską, przynajmniej na wyborcze szwindle „ludowców” w Angoli, byle w nowej „zimnej wojnie” między Wschodem i Zachodem odpowiedzieli się tym razem po zachodniej stronie.

© ALEXIO RASHIRAI,

WOJCIECH JAGIELSKI

CIEPŁY DOTYK KAMIENIA

Być może po raz pierwszych widzą wykute w kamieniu imiona bliskich. „Czuję, jakbym trzymała babcię za rękę” – mówi ktoś. W Nowym Sączu upamiętniono 80. rocznicę śmierci tutejszych Żydów.

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN

BERTA KORENMAN I STEFAN MAZUR poznali się tuż przed II wojną światową. On był czeladnikiem u nowosądeckiego zegarmistrza, ona pracowała w herbaciarni, którą prowadził jej ojciec. Stefan przychodził tam po pracy. Choć wcale nie na herbatę. Cienka okupacyjna lura smakowała lepiej w towarzystwie Berty. Ona dawała mu więcej cukru niż innym, a on obiecał, że ożeni się z nią, jak tylko zacznie pracować na swoim.

W 1940 r. Berta wraz z całą rodziną trafiła do getta w Nowym Sączu.

Dziś jej historię opowiadają mi Ewa i Danuta, córki jej przyjaciółki, Heleny Szancer.

– Nasza mama przyjaźniła się z Bertą – wspominają. – Stefan przerzucał przez mur getta paczki z jedzeniem, którym Berta dzieliła się z naszą przyszłą mamą. Potem pomógł im obu w ucieczce. Najpierw swojej ukochanej Bercie, a potem naszej mamie. Mama podsadzała Bertę na ramionach, żeby mogła przejść przez mur. Mazur przekupił policjanta, który udawał, że niczego nie widzi, a później kupił bilet na pociąg naszej mamie. Ryzykował życiem. A Bertę ukrył w wieży ratusza, pod zegarem, do którego musiał codziennie przychodzić, żeby go nakręcać. W ten sposób mógł jej przynosić jedzenie i wodę. Mama ukrywała się

u jakichś ludzi w Gromniku pod Tarnowem.

Po kilku tygodniach spędzonych na wieży Berta dołączyła do przyjaciółki. W tym też pomógł Stefan Mazur, który potem kilkakrotnie odwiedzał je w podtarnowskiej wsi. Miłość Berty i Stefana przetrwała okupację, ślub wzięli w 1945 r. w Sosnowcu.

Helena ukrywała się potem we Lwowie. Zatrzymana w łapance, trafiła na roboty w Niemczech. Przeżyła wojnę.

W 1992 r. Stefan Mazur za uratowanie Berty i Heli otrzymał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Zmarł w 2006 r.

Dziewczyny miały wtedy podwójne szczęście: dwa dni po ich ucieczce z getta, 23 sierpnia 1942 r., Niemcy zaczęli jego likwidację w ramach akcji „Reinhardt” [patrz ramka – red.]. Rodzina Berty trafiła do obozu zagłady w Bełżcu. Stąd nikt nie wracał. Przez kolejne dni, do 28 sierpnia, przez Nowy Sącz szły marsze śmierci. Tysiące dzieci, kobiet i mężczyzn, Żydów z miasta i okolic, pojechały w kolejowych transportach do Bełżca.

Ciarki przechodzą

80 lat po tamtych wydarzeniach mieszkańcy Nowego Sącza mają miejsce, w którym mogą upamiętnić dawnych sąsia-

dów. Na skwerze w obrębie dawnego getta, na rogu ulic Tymowskiego i Kazimierza Wielkiego, stanął symboliczny monument, na którym wypisano 12 tys. nazwisk żydowskich mieszkańców zamordowanych podczas II wojny światowej.

Wkopany w ziemię mur z surowego betonu ma przytłaczać i dawać poczucie oddzielenia od świata pozostającego po drugiej stronie. To tak, jak mur getta oddzielał zamkniętych w nim Żydów od reszty miasta.

Aby odczytać tablice z nazwiskami, trzeba zejść kilka stopni w dół, do przestrzeni przypominającej ciasną piwnicę. Autor projektu Paweł Kurzeja opisuje to





Potomkowie sądeckich Żydów odnajdują imiona swoich krewnych na kamiennych tablicach, Nowy Sącz, 28 sierpnia 2022 r.

tak: – To symboliczna przestrzeń piekła, życie jest na powierzchni, a tu schodzimy w dół, pod jego powierzchnię.

– Czuję się tutaj, jakbym zesłała do grobu, aż ciarki przechodzą po skórze – dzieli się wrażeniami Zofia Kalemba, mieszkająca nieopodal monumentu. – To się nie mieści w głowie, że coś takiego mogło się wydarzyć, tylu ludzi... – dodaje łamiącym się głosem.

Skwer Pamięci Ofiar Zagłady został odsłonięty w niedzielę 28 sierpnia 2022 r. Inicjatorem jego powstania był Dariusz Popiela – sportowiec, olimpijczyk, twórca projektu „Ludzie, nie liczby” i założyciel Fundacji Rodziny Popielów „Centrum”, których zadaniem jest przywracanie pa-

mięci o żydowskich mieszkańcach miast i wsi w południowej Polsce.

Listę nazwisk przez 10 lat zbierał Łukasz Połomski, historyk, członek stowarzyszenia Sądecki Sztetl. W jej ostatecznej weryfikacji pomagali Karolina Panz i Artur Franczak oraz wolontariusze. – 12 tysięcy to jeszcze nie wszyscy – mówi Połomski. – Niemcy wywieźli z getta blisko 17 tysięcy Żydów. Ale prace wciąż trwają i wierzę, że tych nazwisk będzie jeszcze więcej. Już mam nowe tropy.

Wygraliśmy

Choć był wczesny ranek, tuż po wschodzie słońca, niedziela 23 sierpnia 1942 r. zaczynała się od upału i duchoty. Łąka

nad Dunajcem od godzin nocnych wypełniała się Żydami wyprowadzonymi z getta przez Niemców. Obiecano im podróż na wschód, do pracy. Pozwolono zabrać po 15 kilogramów bagażu. Ustawieni byli według adresów i numerów domów. Kto oddalał się od tłumy, już nie wracał – padał zastrzelony. Nie pozwolono pić wody, nawet tej z rzeki. Niektórzy tracili siły, mdleli. Tych też dobijano.

W końcu na łąkę przyjechał Heinrich Hamann, szef sądeckiego gestapo. Uderzeniem harapa w twarz wyznaczał ludzi do oddzielnej grupy, która potem pojechała na roboty do Niemiec. Ci mieli szansę przeżyć. Pozostali, ogromna większość, ruszyli w ostatnią podróż.

→ Po wojnie Albin Tobiasz Kac w książce „Nowy Sącz. Miasto mojej młodości” pisał tak: „Po wielu latach od tych wydarzeń byłem na tej łące tak, jak ktoś idzie na groby swoich najbliższych. A łąka była podobna do owej z okresu mojego dzieciństwa. I rozmyślałem: kto z przechodniów zerknie chociażby na to miejsce, na którym dokonywały się sceny poprzedzające kaźnie tysięcy matek, ojców i dzieci? (...) Kto z tych przechodniów uwierzy i dosłyszy, że miejsce to krzyczy lamentem tysięcy dobijanych na żywo ludzi winnych jedynie tej zbrodni, iż urodzili się Żydami?”.

– Ten pomnik zrodził się z mojego wstydu – mówi Dariusz Popiela. – Jako chłopak trenowałem tu na Dunajcu, obok łąki, o której pisał Kac, z której jedną trzecią mieszkańców mojego miasta wywieziono na śmierć. Gdy się o tym dowiedziałem, byłem w szoku. Myślałem, że przecież musi być w mieście jakieś miejsce, które o tym przypomina, które każe nam pamiętać o tych ludziach. Niestety nie było, nie znalazłem. Poczułem wstyd. I postanowiłem wtedy – wspomina Popiela – że jeśli nie ma takiego miejsca, to muszę zrobić wszystko, żeby powstało. Dziś możemy powiedzieć, że symbolicznie wygra-



Sara Melzer, ostatnia żyjąca ocalała z Holokaustu przedstawicielka sądeckich Żydów. Nowy Sącz, 28 sierpnia 2022 r.

liśmy z nazistami. Nie udało im się zetrzeć pamięci o Żydach z Nowego Sącza. Wygraliśmy z nimi po raz kolejny. „Ziemio, nie kryj mojej krwi, izby mój krzyk nie ustawał” – ten cytat z Księgi Hioba, widniejący na nowosądeckim monumencie, łączy nas symbolicznie z miejscem pamięci w obozie w Bełżcu, gdzie w większości życie tracił sądecki Żydzi.

Z jednej Niemcy, z drugiej Sowietci

Przed rokiem 1939 Żydzi stanowili ponad jedną trzecią mieszkańców 30-tysięcznego Nowego Sącza. Po wojnie wrócili tu nieliczni, by ostatecznie opuścić Polskę w latach 1968-69. Teraz na uro-

czystość odsłonięcia pomnika przyjechali ich rozproszeni po całym świecie potomkowie.

Obecna była więc Sara Melzer, urodzona tu w 1927 r., jedyna żyjąca z ocalałych sądeckich Żydów. – Przed wojną żyliśmy razem, my Żydzi i chrześcijanie – wspominała. – Miałam przyjaciółkę Stefkę, chodziłam z nią czasami do kościoła w niedzielę. Mój ojciec, który był religijnym Żydem, mówił, że wierzy w to, iż moja wiara jest tak silna, że chodzenie do kościoła mi nie zaszkodzi. Ta jego wiara mnie uratowała, bo we wrześniu 1939 r. uciekaliśmy w sobotę, ojciec się nie chciał zgodzić, żebyśmy uciekali pociągiem, bo to szabas, bo Żydzi nie mogą w szabas pociągiem jechać. Znalazł wóz konny, zapakował nas, pięcioro dzieci i naszą mamę, i kazał nam jechać do ciotki, która, o ironio losu, mieszkała w Bełżcu.

– Mieliliśmy się spotkać w Przemyśle, ale Przemyśl był cały w ogniu i woźnica nie chciał dalej jechać – wspominała Melzer. – Matka wyrzuciła wszystkie nasze rzeczy z wozu, żeby było jak najlżej. Udało nam się dotrzeć na miejsce, to był 17 września 1939 r., kiedy Rosjanie napadli na Polskę. Byliśmy okrążeni – z jednej strony Niemcy, z drugiej Sowietci, ojcu

80 lat temu: akcja „Reinhardt”

TO, CO W SIERPNIU 1942 R.

stało się w Nowym Sączu, było częścią większej całości. Celem operacji, którą Niemcy nazwali kryptonimem „Reinhardt”, było wymordowanie Żydów z okupowanej centralnej Polski (wg niemieckiego podziału administracyjnego – z pięciu dystryktów Generalnego Gubernatorstwa: warszawskiego, radomskiego, krakowskiego, lubelskiego i galicyjskiego). Pod koniec 1942 r. akcję rozszerzono na okręg białostocki, wcielony do III Rzeszy. Operacja zaczęła się w nocy z 16 na 17 marca 1942 r., gdy Niemcy rozpoczęli deportację Żydów do obozu zagłady w Bełżcu z getta w Lublinie.

Tu mieścił się sztab operacji, a jego szefem był Odilo Globocnik, komendant lubelskiego SS. Kryptonim „Reinhardt” nadano na cześć Reinhardta Heydricha, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i protektora (zwierzchnika administracji) okupowanych Czech oraz Moraw, zabitego w Pradze przez czeski ruch oporu.

Na potrzeby akcji utworzono specjalne obozy natychmiastowej zagłady, gdzie śmierć zadawano głównie w komorach gazowych. Wielu ludzi umierało jednak już w czasie deportacji prowadzonej w nieludzkich warunkach; wielu innych było rozstrzeliwanych w egzekucjach, prowadzonych przez oddziały policji (np.

na Lubelszczyźnie). Oprócz Bełżca funkcjonowały obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Majdanku.

Największą jednorazową operacją w ramach akcji „Reinhardt” była deportacja do obozów zagłady Żydów z warszawskiego getta: w ciągu dwóch miesięcy (od 22 lipca do 21 września 1942 r.) Niemcy wywieźli stąd do Treblinki ponad ćwierć miliona ludzi.

Dla III Rzeszy istotny był też wymiar ekonomiczny tej akcji: przynosiła ona olbrzymi dochód za sprawą rabunku własności pomordowanych. Według raportu Globocnika zarobiono 179 mln marek, podczas gdy koszty całej operacji szacowano zaledwie na 12 mln. Łącznie podczas akcji „Reinhardt” od 17 marca 1942 r. do 4 listopada 1943 r. zginęło ok. dwóch

milionów Żydów, głównie obywateli polskich.

■ ■ ■

Częścią obchodów 80. rocznicy zagłady Żydów na Sądecku i Podhalu były pokazy wyprodukowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu „Ukos światła” (reż. Wojciech Szumowski). Opowiada on o przywracaniu pamięci o Żydach z Czarnego Dunajca przez wolontariuszy zrzeszonych wokół projektu „Ludzie, nie Liczby”. Po sądeckiej projekcji Popiela mówił: „Zaczęto się od tego, że chciałem tylko wykosić trawę na cmentarzu w Krościenku, a okazało się, że projekt rozrósł się na cały świat”. © © JT

Na podstawie materiałów Muzeum POLIN



Kamienne tablice z nazwiskami pomordowanych sądeckich Żydów na ścianie symbolizującej mur getta, Nowy Sącz, 28 sierpnia 2022 r.

nie udało się do nas dołączyć. Zostaliśmy w domu ciotki w Bełżcu.

Uratowali ich sowiecki szofer, Żyd, który wjechał na ich podwórko, by naprawić auto. Sara Melzer: – Od razu poznał, że jesteśmy Żydówkami. Ostrzegł nas, że za kilka godzin będą tu Niemcy i powinniśmy uciekać. Matka nie chciała, nie wiedziała mu, mówiła, że nie ma już siły, że czeka na męża. Nakrzyczał na nią, że powinna ratować dzieci, obudził nas, zapakował do auta i wywiózł do Rawy Ruskiej. To nas uratowało, zawdzięczamy mu życie.

Trauma przeszła na nas

Wśród potomków ocalałych jest też Karolina Lawitz – córka Jakuba Müllera, jednego z najdłużej mieszkających w Nowym Sączu Żydów.

– Wyjechaliśmy z Polski dopiero w 1969 r., kiedy coraz trudniej było tu żyć, kiedy wołano za nami na ulicy różne antysemitki przyśpiewki – opowiada. – To był pomysł mamy. Ojciec nie chciał się zgodzić na żaden wyjazd. Mówił, że Nowy Sącz to jego miasto, to jego życie całe. Zgodził się w końcu, ale pod warunkiem, że to nie będą Stany Zjednoczone, że to nie będzie Izrael, tylko gdzieś blisko. Dlatego wyjechaliśmy do Szwecji, gdzie mieszkam do dziś z mężem i dziećmi, mam już wnuki.

Karolina Lawitz opowiada, że ojciec nigdy nie chciał zbyt wiele mówić o czasach okupacji. Chciał chronić swoje dzieci przed traumą, przed wspomnieniami obrazów, które odebrały mu młodość. – Ale przez to milczenie właśnie ta trauma przeszła też na nas. Miałam często takie

poczucie, że ojciec czuł się winny tego, że przeżył. Dlaczego on? Dlaczego ze 140 osób z jego dużej rodziny przeżył tylko on jeden? Rzadko widywałam go szczęśliwego. Był szczęśliwy tylko wtedy, kiedy wracał do Nowego Sącza. Więcej o jego historii dowiedziałam się od Łukasza Połomskiego ze stowarzyszenia Sądecki Sztetl niż od niego samego.

Połomski mówi, że Jakub Müller był przez wiele lat sądeckim strażnikiem pamięci o Żydach: – Nam chętnie opowiadał o tym, jak wyglądało to życie. To dość charakterystyczne dla osób ocalałych z Holokaustu, że swoją potrzebę podzielenia się pamięcią realizują poza rodziną. Gdy dziś rano spacerowałam po mieście z Sarą Melzer i jej dziećmi, gdy opowiadała mi o Nowym Sączu ze swoich młodych lat, to mówiła do mnie, nie do swoich, dorosłych już dzieci.

To samo mówią siostry Ewa i Danuta, córki ocalałej z sądeckiego getta Heli Szancer: – Mama nie chciała nigdy mówić o tym, co się działo tutaj w czasie wojny, nigdy nie powiedziała nam, jak wyglądało życie w getcie. Nawet historię o jej ucieczce poznaliśmy dopiero od Łukasza Połomskiego.

– Dzisiejsza uroczystość, budowa i odsłonięcie pomnika pamięci sądeckich Żydów to spełnienie marzenia mojego ojca – mówi Karolina Lawitz. – On całe życie zabiegał o pamięć o swoich sąsiadach i tamtym żydowskim świecie. Zmarł w Malmö w 2010 r. Bardzo chciał, żeby pochować go w Nowym Sączu. To się nie udało. Pochowaliśmy go w Izraelu, w Kiryat Sanz, takim małym izraelskim Sączu.

Długimi kolumnami

Sara Melzer, w wygłoszonym podczas odsłonięcia pomnika przemówieniu, przywołała pamięć pomordowanych członków rodzin, przyjaciół, sąsiadów: – Na miejscu, na którym tutaj stoję, nie jestem sama. Stoję w myślach i uczuciach 12 tysięcy braci i sióstr, których krew krzyczy, ale ich głos nie będzie słyszany.

Zgromadzeni odczytali wspólnie nazwiska ofiar. 12 tysięcy imion i nazwisk, jak apel pamięci, zabrzmiały wypowiedziane ustami potomków, gości i mieszkańców Nowego Sącza.

Potem jeszcze złożenie kamieni pamięci, wieńców, zniczy.

A potem zaczyna się chyba najbardziej wzruszająca chwila. Potomkowie pomordowanych schodzą w głąb pomnika, by odnaleźć na tablicach imiona krewnych. Nazwiska całych rodzin ciągną się tu długimi kolumnami. Czasami po kilkanaście, kilkadziesiąt osób. Kilka pokoleń. Drżącymi dłońmi przesuwają po tablicach, palce dotykają imion babć, pradiadków. Większości z nich nie mogli poznać osobiście. Być może po raz pierwszy widzą ich imiona wykute w kamieniu, bo bezimienne dotąd ofiary nie mają grobów. – Ten kamień jest taki ciepły, czuję, jakbym trzymała ją za rękę – mówi ktoś z głębi pomnika.

Modlitwy za zmarłych poprowadzą rabin Avi Baumol, rzymskokatolicki biskup pomocniczy z Tarnowa Stanisław Salaterski oraz pastorzy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego i zielonoświątkowego.

Rachunek

Podobne upamiętnienia, organizowane przez wolontariuszy projektu „Ludzie, nie liczby”, odbyły się także w Czarnym Dunajcu i Nowym Targu. Obecni tam potomkowie podkreślali, jak istotne jest dla nich to, że kiedy wracają do miast przodków, mogą zobaczyć ich imiona wykute w kamieniu.

– Wiedziałem tylko, że 23 sierpnia 1942 r. mój dziadek Zygmunt Kaufer dostał ponaglenie z urzędu, że zalega sześć złotych za prąd – mówił na cmentarzu w Nowym Targu Moti Kaufer. – Być może wtedy już jechał w pociągu do Bełżca albo leżał z kulą w głowie. Dzięki historyczce Karolinie Panz poznałem imiona i historię moich przodków, dopełniłem czarną dziurę. Mogę wrócić tu i symbolicznie zwrócić dług mojemu dziadka.

© JACEK TARAN



MACIEJ JĄZWIĘCKI / MUZEUM POLIN 42

Jest nas coraz więcej

RADOSŁAW WÓJCIK, KIEROWNIK NAGRODY POLIN:

Przywracanie pamięci, szczególnie w przypadku historii polskich Żydów, to proces, który z definicji nie może zostać ukończony. Ciągłe odkrywamy nowe rzeczy, co pokazuje, jak wiele jeszcze pracy przed nami.

MICHAŁ SOWIŃSKI: W tym roku Nagroda POLIN odbywa się w cieniu wojny w Ukrainie. Zygmunt Stępiński, dyrektor Muzeum POLIN, tydzień temu na naszych łamach pisał o „skrwawionych ziemiach” Europy, w które znowu wsiąka krew.

RADOSŁAW WÓJCIK: Od zeszłego roku zmieniło się dużo. Ledwo udało nam się uporać z trudnościami związanymi z pandemią, gdy zaczął się ten przerażający konflikt. Pojawił się strach i poczucie niepewności, które znamy aż za dobrze z historii naszej części Europy.

Muzeum POLIN od początku swojej działalności stawia sobie za cel budowanie porozumienia między społeczeństwami, ta sama idea stoi też za naszą nagrodą. Dlatego z ogromną radością, choć bez większego zdziwienia, obserwujemy teraz, jak bardzo w pomoc uchodźcom angażują się laureaci poprzednich edycji. Na przykład Katarzyna Winiarska, która bardzo aktywnie włącza się w ratowanie ludzi na granicy polsko-białoruskiej. Albo Dariusz Popiela – od lat zajmujący się „odpominaniem” imion i nazwisk pomordowanych Żydów – nie tylko organizował zbiórki, kupował i dostarczał niezbędne do przeży-

cia w niskich temperaturach rzeczy, ale także doprowadził do pochówku i budowy kamiennego grobu dla nieznanego z imienia i nazwiska uchodźcy, który zmarł z wychłodzenia i wycieńczenia w okolicach Sokółki.

Z kolei liczba działań pomocowych, akcji, zbiorów, jakie organizowali finaliści konkursu dla uchodźców z Ukrainy, jest tak ogromna, że nie sposób ich wszystkich wymienić. Widać więc wyraźnie, że nagradzani przez nas osobom przyświecają wartości znacząco wykraczające poza regulamin nagrody.

Czyli jakie?

Nagroda jest związana z przywracaniem pamięci o historii polskich Żydów. Jednakże należy to rozumieć możliwie szeroko – to nie tylko poszukiwanie śladów po ludziach, których już nie ma, ale przede wszystkim budowanie mostów między przeszłością a teraźniejszością, czyli tym, co dotyka nas tu i teraz. To wyciąganie wniosków z historii, ciągłe odrabianie tej lekcji.

Dlatego kandydaci do nagrody działają na najróżniejszych polach. Jedni dbają o materialną spuściznę, np. opiekując się zapomnianymi i zniszczonymi

Cmentarz żydowski w Mszanie Dolnej, o który dba Urszula Antosz-Rekucka, wyróżniona w konkursie w 2021 roku.

cmentarzami żydowskimi, zabytkami czy pomnikami. Inni z kolei szukają bardziej ulotnych śladów: fotografii, listów, dzienników, które bez ich zaangażowania zapewne nigdy nie ujrzalyby światła dziennego.

Wśród laureatów i nominowanych z poprzednich lat jest sporo nauczycieli.

Edukacja to ważna płaszczyzna dbania o pamięć, bo w ten sposób uczymy kolejne pokolenia wrażliwości i empatii, rzeczy kluczowych dla budowania wspólnot opartych na dialogu. I nie chodzi tu wyłącznie o nauczycieli w szkołach, choć im należy się szczególnie szacunek za ich pracę, ale też o historyków, pracowników naukowych czy kuratorów wystaw. Rok 2022 jest też szczególnie z innego powodu – w wielu polskich miastach przypadają teraz 80. rocznice likwidacji gett. Przy tych okazjach powstają niezwykle formy upamiętniania ofiar Holokaustu.

W jaki jeszcze sposób można dbać o pamięć o polskich Żydach?

Na przykład tak, jak robi to Urszula Rybicka, wyróżniona w zeszłorocznej edycji nagrody, która działa przede wszystkim w internecie. Udało się jej poprzez media społecznościowe stworzyć dużą wspólnotę, skupioną wokół literatury żydowskiej. Prowadzi także stronę Żydowski Wrocław. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że taka praca wymaga mniej wysiłku niż np. renowacja cmentarza, ale to nieprawda, bo tu niezbędne są nie tylko szczególne kompetencje, ale też konsekwencja w działaniu, często żmudnym i bardzo czasochłonnym.

Kryzysy, jak choćby wojna w Ukrainie, potrafią czasem dać impuls do nowego działania. Gdy już sytuacja się unormuje, Nagroda POLIN rozszerzy się także na naszych wschodnich sąsiadów?

Nagroda nigdy nie miała geograficznych ram, bo chodzi o dbanie o pamięć o polskich Żydach, gdziekolwiek by mieszkali. Dobrze to widać na wystawie stałej w Muzeum POLIN. Niemniej teraz wszyscy w Polsce czują szczególnie silną więź z Ukrainą, co z pewnością w przy-

szłości ułatwi nam współpracę przy wielu projektach.

Lata istnienia Nagrody POLIN pokazały, jaki ogrom pracy wykonują ludzie w całej Polsce, by dbać o pamięć o polskich Żydach. Ale zapytam z drugiej strony: czy da się, chociaż w przybliżeniu, określić, ile zostało jeszcze do zrobienia?

To chyba niemożliwe, choćby z tego powodu, że przywracanie pamięci to proces, który z definicji nie może zostać ukończony. O pamięć, szczególnie w tym wypadku, należy dbać nieustannie. Z drugiej strony wciąż odkrywamy nowe rzeczy. Z roku na rok coraz więcej ludzi, szczególnie w małych miejscowościach, zaczyna się interesować lokalną historią. Zbierają opowieści, zdjęcia, dokumenty – za każdym razem ze zdumieniem dowiadujemy się, jak wielu rzeczy nie wiedzieliśmy.

Odchodzą ostatnie osoby, które jeszcze widziały na własne oczy ten przedwojenny świat. Wkraczamy w nowy etap dbania o pamięć?

Zdecydowanie tak, choć trzeba podkreślić, że jest on równie ważny. Dziś z pomocą przychodzą nowe technologie i internet. Jeszcze 10-15 lat temu wiele rzeczy było niemożliwych do zbadania – np. porównywanie olbrzymich archiwów fotograficznych, co pozwala na identyfikację osób na zdjęciach. W archiwach na całym świecie znajdują się ich tysiące, wciąż czekających na opisanie. Inna rzecz to szybko rozwijające się technologie badania DNA. Kiedyś były bardzo drogie, dziś są stosunkowo łatwo dostępne. One także mogą być wykorzystywane do przywracania pamięci o historii polskich Żydów.

Jak przez lata zmieniała się Nagroda POLIN?

Gdy siedem lat temu przygotowywaliśmy pierwszą edycję, baliśmy się, że dostaniemy ledwie kilka zgłoszeń, a w kolejnych latach w ogóle nie będziemy mogli znaleźć kandydatów. Okazało się, że bar-

dzo się myliliśmy, bo już w pierwszym roku otrzymaliśmy ponad sto aplikacji. Na początku po prostu nie zdawaliśmy sobie sprawy, ile osób, instytucji czy samorządów działa, i to od lat, na własną rękę.

I co roku pojawia się tyle nowych projektów?

To chyba największe osiągnięcie nagrody – prezentując kolejne postaci i nagradzając ich wysiłek, inspirujemy inne osoby do działania. To też wielka zasługa laureatów i nominowanych z poprzednich lat – ludzi, którzy nie tylko mają energię do realizowania wciąż nowych pomysłów, ale również pociągają za sobą innych.

Dobrze widać to na zdjęciach. Jeszcze kilka lat temu np. w akcję porządkowania cmentarza włączało się kilka osób, dziś jest to już kilkadziesiąt. Właśnie w ten sposób od początku myśleliśmy o nagrodzie. To podziękowanie osobom szczególnie zasłużonym w przywracaniu pamięci o polskich Żydach, ale przede wszystkim zachęta do działania dla innych.

Co jeszcze laureatom daje nagroda?

Wsparcie symboliczne, które bardzo się przydaje w kontaktach z samorządami czy innymi instytucjami. Gdy taka instytucja jak Muzeum POLIN, mająca na swoim koncie dziesiątki nagród, w tym dla europejskiego muzeum roku, stawia przy czyichś działaniach swój „znak jakości”, wiele rzeczy po prostu łatwiej załatwić.

Zmienia się atmosfera wokół projektów przywracania tej pamięci?

Z pewnością tak. Wciąż się zdarza, że docierają do nas sygnały o niechęci, z jaką spotykają się osoby związane z nagrodą, jednak jest ich zdecydowanie mniej niż jeszcze parę lat temu. Kiedyś – a wynikało to prawie wyłącznie z niewiedzy czy dezinformacji, a nie autentycznie złej woli – pojawiały się głosy, że np. renowacja synagogi odbywa się kosztem innych dzia-

łań samorządowych. Dziś, i nasza nagroda zapewne też ma w tym zasługę, ta „zła atmosfera” pojawia się coraz rzadziej.

A zmienia się stosunek Polaków do przeszłości?

Myślę, że wojna w Ukrainie przyspiesza ten proces. Historia coraz częściej przestaje być redukowana do prostych haseł, np. „Wołyń”, które rzuca się wyłącznie po to, aby osiągnąć jakieś bieżące cele polityczne. Przybywa ludzi, którzy chcą się więcej dowiedzieć – nie tylko lepiej poznać przeszłość swoich rodzinnych stron, ale też zrozumieć mechanizmy, które ją kształtowały.

Ostatnie zmiany w szkolnym programie nauczania historii nie nastrajają optymistycznie. Nie boi się Pan, że przez to zostanie zmarnowany dorobek edukacyjny ostatnich dekad?

Nie, bo widzę na co dzień setki osób, w tym także nauczycieli, i to z mniejszych miejscowości, które nie przejmują się tymi chwilowymi zawirowaniami politycznymi. Realizują autorskie projekty, angażują młodzież w działania, które wychodzą poza 45-minutową lekcję i szkolną salę. Nasza nagroda docenia nie tylko konkretne, zrealizowane już projekty, ale przede wszystkim ludzi, którzy konsekwentnie dążą do celu. Idą jasną stroną ulicy. I jest ich coraz więcej.

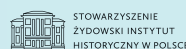
© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



RADOSŁAW WÓJCIK od 2016 r. jest kierownikiem Konkursu Nagroda POLIN. W Muzeum POLIN zajmuje

się organizacją i komunikacją wydarzeń kulturalnych, głównie muzycznych i literackich. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej i studiów podyplomowych na kierunku dyplomacja kulturalna na Uniwersytecie Jagiellońskim.

ORGANIZATORZY:



Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

Nagroda POLIN zostanie przyznana w tym roku już po raz ósmy. 30 listopada trafi do osoby lub organizacji aktywnie działającej na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Łączna wysokość nagród pieniężnych wynosi co najmniej 60 tys. złotych. Do 30 września każdy może zgłosić swojego kandydata poprzez formularz umieszczony na stronie internetowej www.polin.pl/nagroda



PTASIA INTELIGENCJA

Rodzinę krukowatych tworzą nietuzinkowe gatunki.
Potrafią wytwarzać narzędzia i uczyć się przez obserwację.
A o budowane przez nie gniazda rywalizują inne ptaki.

JUSTYNA KIERAT

JUŻ WKRÓTCE SPADAJĄCE Z DRZEW ORZECHY nie będą niczym zaskakującym. Chyba że akurat przechodzić będziemy pod klonem czy latarnią. Ale gdy spojrzymy w górę, zapewne dostrzeżemy sprawcę tego zdarzenia – siedzącego nad nami czarnego ptaka.

Samochód jako narzędzie

Orzechy smakują nie tylko ludziom. Ich amatorami są m.in. wiewiórki i krukowate. Te pierwsze poradzą sobie ze sforsowaniem twardej skorupki przy pomocy mocnych zębów, ale ptaki muszą kombinować inaczej. Wyszukują miejsce z twardym podłożem – w miastach nietrudno o skrawek betonu, asfaltu czy bruku – i zrzucają swoją zdobycz. Czasem pod nogi zdziwionych przechodniów.

Część ptaków wykorzystuje możliwości oferowane im przez miasto jeszcze bardziej – siadają na sygnalizacji świetlnej i zrzucają orzechy wprost pod koła samochodów. Te spełniają rolę dziadków do orzechów, kołami krusząc skorupy. Pozbieranie pożywnej zawartości może wydawać się niebezpieczne, ale przecież wystarczy poczekać na zmianę świateł i sfrunąć po posiłek, gdy samochody się zatrzymają.

Niektórych przedstawicieli krukowatych trudno z kimkolwiek pomylić. Czarno-biała sroka ze swoim długim ogonem jest w naszej awifaunie niepowtarzalna, podobnie sójka z charakterystycznym czarnym wąsem i błękitnym lusterkiem na skrzydle. Tylko część spośród żyjących w Polsce krukowatych ma jednolite, eleganckie czarne upierzenie. Czarne ptaki przechadzające się po miejskich trawnikach wiele osób błędnie bierze za kruki lub wrony. Ale kruk to bardzo duży ptak (o rozpiętości skrzydeł przekraczającej metr), który wciąż jeszcze w miastach jest rzadkim gościem i jak dotychczas nie spoufalił się zbyttnio z ludźmi. Spotkanie go na miejskim trawniku jest mało prawdopodobne. Wrony z kolei w miastach czują się dobrze, ale... wcale nie są całe czarne. Ich tułów ma jasny, szary odcień, a czerń znajdziemy tylko na

głowie, skrzydłach i ogonie. Nieduże czarne ptaki z delikatnymi dziobami i hipnotyzująco niebieskimi tęczówkami to kawki. Z kolei również czarne, ale sporo większe, dysponujące potężnymi, zaostrozonymi dziobami, kroczące dumnie po trawnikach, to gawrony. Zazwyczaj to właśnie one są mylone z wronami i krukami.

Posłańcy złych wieści

W kulturze krukowate nie cieszą się zbyt dobrą opinią. Ponieważ są wszystkożerne i nie gardzą padliną, zyskały sławę zwiaśtunów śmierci i posłańców złych wieści. Bywały bezlitośnie tępione i chociaż dzisiaj są objęte ochroną gatunkową, to niechęć do nich nie zniknęła całkowicie.

Gatunkiem, który wydaje się szczególnie często wywoływać w miastach konflikty, jest gawron. Gniazduje on w dużych koloniach, liczących nawet kilka tysięcy osobników. Gniazda zakłada wysoko na drzewach, w miastach możemy je więc spotkać np. w parkach i na cmentarzach. Sąsiedztwo takiej kolonii może być uciążliwe. Począwszy od wczesnej wiosny, panuje tam ggiełk i wrzask, kiedy dziesiątki i setki ptaków nawołują partnera czy kłócą się z sąsiadami o podkradane sobie wzajemnie gałązki. Jeszcze mniej sympatii przysparza gawronom fakt, że – jak to zazwyczaj u ptaków – nie zwracają większej uwagi na to, gdzie lądują ich odchody.

Z powodu tych uciążliwości gawrony bywają przepędzane z miast. Są płoszone przez hodowane do tego celu ptaki drapieżne, ich gniazda są zrzucane, stosuje się też armatki hukowe, a nawet drony. Takie działania wymagają uzyskania zezwoleń, bo gawrony są objęte ochroną gatunkową.

Być może właśnie zwyczaj kolonijnego gniazdowania, a także ogólna hałaśliwość i rzucanie się w oczy sprawiły, że gawron długo był uważany za ptaka pospolitego, a nawet szkodnika wymagającego kontroli populacji. Jednak dwa lata temu na Czerwonej liście ptaków Polski gawron został umieszczony ze statusem „narażony na wyginięcie”. Populacja gawrona wciąż jest u nas całkiem liczna, ale trend spadkowy jest alarmujący, w ciągu 15 lat liczebność zmniejszyła się o ponad połowę. Spadki zaczęto notować już w latach 90., a później proces ten przyspieszył. Tępienie i płoszenie to niejedyny zmartwienie gawronów. Intensyfikacja rolnictwa i zanikanie łąk oraz pastwisk spr-

wiają, że ptakom tym kurczą się obszary, na których mogą zdobywać pożywienie. W dalszej perspektywie ważnym zagrożeniem prawdopodobnie będą również zmiany klimatu.

Ptasia deweloperka

Co stracimy, jeśli gawron zniknie z naszego otoczenia? Powiedzenie, że przyroda to sieć wzajemnych powiązań, brzmi jak banał, ale jest prawdziwe. Wypadnięcie jednego elementu z tej sieci pociąga za sobą konsekwencje dla reszty. Czasami strata jest szybko zastępowana przez inne gatunki i brak staje się niemal niezauważalny. Czasem zniknięcie jakiegoś gatunku odczuwają inne, które wchodziły z nim w interakcję. Bywa, że następują zmiany dotyczące całego ekosystemu – to przypadek tzw. gatunków zwornikowych. Pojęcie to pojawiło się w ekologii w latach 60. za sprawą Roberta Paine’a, który przesiedlił z pewnego obszaru część populacji niepozornej rozgwiazdy, co doprowadziło do gwałtownego wzrostu liczebności małżów – będących przysmakiem tej rozgwiazdy – oraz zaniku populacji wielu innych organizmów, z którymi małże rywalizowały o siedliska.

Możemy próbować wywnioskować, jak istotny jest dany organizm, na podstawie jego biologii i powiązań z innymi mieszkańcami danego ekosystemu. Jest to jednak na tyle skomplikowana sieć, że o znaczeniu rośliny czy zwierzęcia możemy się czasem przekonać dopiero na podstawie szkód spowodowanych jego nieobecnością.

Ze zniknięcia gawrona najpewniej nie ucieszyłoby się kilka innych gatunków ptaków. Kolonia gawronów jest bowiem niezłym miejscem do założenia gniazda. Jej hałaśliwi i liczni mieszkańcy, gotowi bronić swojego potomstwa przed wrogami, przy okazji zapewnią ochronę również sublokatorom. W aktywnych koloniach gawronów lub w ich sąsiedztwie obserwowano takie gatunki jak gołębie grzywacze, sierpówki czy pustułki. Wprawdzie gołębie jaja mogą paść ofiarą gawronów, ale najwyraźniej potencjalny zysk jest większy niż to ryzyko, bo gniazdowanie gołębi w gawronich koloniach zdarza się nie tak rzadko.

Opuszczone gawronie gniazdo jest także cenną nieruchomością. Sowy w ogóle nie budują własnych, zamiast tego mogą zajmować stare gniazda ➔

Krukowate można spotkać niemal na całym świecie. Na zdjęciu: kruk zwyczajny, Rumunia, 2022 r.

Na kolejnej stronie: kruk z meksykańskiej wyspy Clarión na Pacyfiku, styczeń 2022 r.

→ krukowatych (lub ewentualnie czynne, zjadłszy uprzednio pierwotnego właściciela). Chociaż sowy kojarzą się raczej z dzikimi ostępami i leśną głuszą, to niektóre gatunki, np. uszatki, można spotkać nawet w miejskich parkach. To właśnie one chętnie korzystają z gawroniej deweloperki. Wspomniana Czerwona lista ptaków Polski wymienia jeszcze innego, rzadkiego beneficjenta kolonii gawronów – kobczyka. To nieduży sokół, którego możemy w Polsce zobaczyć w trakcie przelotów, ale jego jedyne udokumentowane lęgi miały miejsce w naszym kraju na początku XX w. Autorzy Czerwonej listy jako jedno z zagrożeń dla tego gatunku wspominają właśnie spadek populacji gawrona – dostarczyciela miejsc na gniazdo.

Spryt Betty

Gdy mówimy o krukowatych, musimy pamiętać o ich inteligencji. Podobnie jak papugi, należą one pod tym względem do ptasiej śmietanki, a ich umiejętności nie kończą się na sprytnym wykorzystywaniu miejskich skrzyżowań do własnych celów.

Wrony brodate z Nowej Kaledonii (*Corvus moneduloides*), od dawna będące częstym obiektem badań nad inteligencją, używają znalezionych patyczków, gałązek czy liści do wydobywania pożywienia z miejsc, gdzie dziobem nie byłoby w stanie dosięgnąć. Potrafią je modyfikować (np. obłamać lub zagiąć) tak, by nadawały się do tego celu. W 2016 r. w „Royal Society Open Science” Christian Rutz z zespołem opisali osiągnięcia wrony brodatej o imieniu Betty, która, choć nigdy wcześniej w swoim życiu nie widziała drutu, zagięła go w haczyk, by ułatwić sobie dobranie się do schowanego jedzenia.

Ptakizymane w niewoli poddaje się rozmaitym testom, w których mogą one udowodnić swoją godną podziwu zdolność do rozwiązywania problemów. Np. Auguste von Bayern wraz z zespołem dali wronom brodatym proste urządzenie, z którego można było wydostać pokarm, popychając go odpowiednio długim patyczkiem. Tym, co zaoferowano ptakom, były tłoki strzykawek, zbyt krótkie, aby sięgnąć pokarmu, ale możliwe do połączenia ze sobą w jedno dłuższe narzędzie. Połowa spośród badanych wron poradziła sobie z tym zadaniem. Jedną była w stanie stworzyć narzędzie nawet z czterech połączonych części. Tworzenie narzędzi poprzez łączenie ze sobą elemen-



CLAUDIO CONTRERAS / B&W

Ponieważ są wszytkożerne
i nie gardzą padliną,
krukowate zyskały sławę
zwiastunów śmierci.

tów było wcześniej obserwowane tylko u ssaków naczelnych, i to (nie licząc oczywiście człowieka) bardzo rzadko.

Krukowate potrafią nauczyć się wykonywania narzędzi bez niczyjej pomocy, jednak mogą też korzystać z doświadczenia innych – co oznacza, że dochodzi u nich do transmisji kulturowej. Zjawisko to u dziko żyjących nowokaledońskich wron brodatych badali Gavin Hunt i Russell Gray. Zebrali oni ponad 5 tys. liści pandanu, z których wrony odrywały wąskie paski, żeby użyć ich do wydobywania owadów z różnych szczelin i zakamarków wśród roślinności. Kształt tych pasków różnił się nieco pomiędzy populacjami. Ponieważ trudno było przypisać te różnice jakimkolwiek względem praktycznym, to autorzy w swojej publikacji z 2003 r. wysnuli wniosek, że ptaki musiały się nawzajem podpatrywać i uczyć od siebie, czasami modyfikując i ulepszając technikę swoich nauczycieli.

Gawrony należą do gatunków, które narzędzi nie używają, ale w niektórych testach spisywały się niewiele gorzej od naczelnych. W jednym z badań, opublikowanym w „Proceedings of the Royal Society” w 2008 r., Amanda Seed wraz ze współpracownikami postawili przed trzymanymi w niewoli ptakami zadanie polegające na ciągnięciu za sznurki, tak aby przyciągnąć oddaloną platformę zawierającą smaczne jedzenie. Sznurki były dwa i aby dostać się do nagrody, trzeba było je ciągnąć jednocześnie. Kiedy gawrony opanowały tę sztukę, zmodyfikowano test tak, że do uzyskania jedzenia trzeba było

współpracy dwóch ptaków ciągnących każdy za jeden sznurek. Gawrony i z tym sobie poradziły. Najlepiej szło im wtedy, kiedy za partnera miały osobnika, z którym dobrze się dogadywały na co dzień.

Taniec na pocieszenie

Relacje społeczne odgrywają zresztą dużą rolę w życiu gawronów. Samce i samice łączą się w pary na całe życie. W przyrodzie takie zjawisko należy raczej do rzadkości. Nawet wśród ptaków, gdzie wychowanie potomstwa wymaga zaangażowania obojga rodziców i w związku z tym samiec z samica solidarnie dbają o potomstwo, więzi małżeńskie nie trwają zwykle dłużej niż sezon. U gawronów są one trwałe, podobnie jak u ich większych kuzynów, kruków, czy symboli wierności – łabędzi i gołębi. Kiedy jedno z pary wda się w sprzeczkę z innym członkiem stada, później szuka pocieszenia u swojego partnera. Zespół wspomnianej Amandy Seed przyglądał się i tym zachowaniom u trzymanyh w niewoli gawronów. Ciekawym odkryciem było to, że równie często uczestnik konfliktu przychodzi po pociechę, jak jego małżonek sam wychodzi z tą inicjatywą. Ptaki dotykają się wtedy dziobami, a także wykonują wspólnie rodzaj tańca z ukłonami, rozkładaniem ogona i krakaniem.

Para gawronów w kolejnych latach powraca w to samo miejsce, żeby zbudować gniazdo i wychować młode. To kolejny mało znany fakt – krukowate mogą migrować. Spośród polskich gawronów niektóre pozostają z nami przez cały rok, jednak większa część odlatuje na zimę na południe. Nie są to wędrówki porównywalne do naszych najbardziej długodystansowych migrantów, bo gawrony zatrzymują się we Francji, Niemczech czy Czechach. Do Polski z kolei przybywają ptaki z północy i wschodu. Podobnie jest u kawek i sójek. Wbrew znanemu powiedzeniu część z nich skutecznie wybiera się, może nie „za morze”, ale na jesiennozimową wędrówkę.

Rzeczywistość bywa więc bardziej skomplikowana i bogatsza niż w przysłowia i popularnych przekonaniach. Nielubiane ptaki okazują się przy bliższym poznaniu niezwykle inteligentne, a te uznawane za pospolite nagle znajdują swoje miejsce w czerwonej księdze. Musimy się nauczyć doceniać je, zanim na dobre znikną z naszych miast.

© JUSTYNA KIERAT

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście
rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podkast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego



WŁADCA SNÓW

Fantastyka to opowieść o rzeczach nieprawdziwych, które pozwalają lepiej zrozumieć to, co najbardziej prawdziwe. Neil Gaiman jest jej współczesnym wirtuozem.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

CHOĆ KAŻDEGO Z NAS NAWIEDZIŁ KIEDYŚ sen, który narracyjnie się rozpadał – nie składał się z działań powiązanych w logiczną całość, lecz z dziwacznych obrazów, postrzępionych myśli czy trudnych do nazwania uczuć – to sny i opowieści są zbudowane z tej samej materii. Pokazują rzeczywistość nie taką, jaka jest, lecz taką, jaka mogłaby być. Ukazują światy, których byśmy pragnęli, i te, których najbardziej się boimy; alternatywne wersje przeszłości, w której nie popełniliśmy naszych najgorszych błędów, i wszelkie możliwe scenariusze przyszłości. To właśnie w tej zdolności do widzenia tego, czego nie ma, kryje się istota bycia człowiekiem. Może i twarde reguły jawy na co dzień determinują nasze poczynania, ale sny i opowieści są tym, co w nas najbardziej ludzkie.

Nikt nie ujawnia pokrewieństwa między nimi lepiej niż Neil Gaiman. Brytyjski twórca fantastyki przez ponad trzy dekady tytanicznej pracy powołał do życia dziesiątki niesamowitych światów, stale poszerzając grono czytelników, a właściwie fanów. Choć niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, wciąż ma w sobie coś z gwiazdy rocka: burza włosów, czarny strój, hipnotyzujący głos. Historie omdleń na spotkaniach autorskich stały się już częścią otaczającego pisarza folkloru. On sam zresztą, z wyraźnie fałszywą skromnością, przypisuje



ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES



te niedomagania raczej wielogodzinnym kolejkom niż własnej charyzmie.

Serialowa adaptacja komiksów „Sandman” właśnie zadebiutowała na platformie Netflix. I jak właściwie wszystko, czego dotknął ten autor, od razu zmieniała się w złoto. Serial stał się najpopularniejszą produkcją serwisu w 89 krajach. Zgodnie z oczekiwaniami fani Gaimana zasiedli przed ekranami, najwyraźniej zaciągając przed nie także rodzinę i znajomych. Czego szukali?

Rodzina Nieskończonych

Gaiman przypomina protagonistę swego najpopularniejszego dzieła. Sandman też zawsze ubiera się na czarno, a jego znakiem rozpoznawczym jest burza niesfornych ciemnych włosów. Oczywiście w świecie fikcji literackiej nie jest to nic nowego ani zaskakującego – wielu bohaterów stanowi lepiej lub gorzej zamaskowane *alter ego* autora. Tym razem nie mamy jednak do czynienia ze zwyczajną postacią literacką. Sandman, znany też jako Morfeusz, Oneiros albo po prostu Sen, jest bóstwem (ściślej: alegoryczną personifikacją). To prastara istota należąca do dziwacznej rodziny Nieskończonych (ang. Endless) – nieśmiertelnych bytów kierujących ludzkim życiem i odpowiedzialnych za różne jego aspekty. Nie trudno odgadnąć, kto się czym w tej rodzinie zajmuje. Do rodzeństwa Snu należą m.in. Przeznaczenie, Śmierć, Pożądanie i Rozpacz (w wersji angielskiej imiona całego rodu zaczynają się na literę „D” – Dream, Destiny, Death, Desire, Despair itd.).

Sen wyróżnia się w rodzinie kilkoma cechami. Przede wszystkim jest wyjątkowo nadęty i nieźnośnie przekonany o własnej wartości. Jesteśmy mu to jednak w stanie wybaczyć, po pierwsze dlatego, że ma wspaniały styl, a na jego widok naprawdę trudno nie zemdleć. Po drugie zaś dlatego, że historia, którą opowiada nam Gaiman, zaczyna się od okrutnego upokorzenia tego najdumniejszego z Nieskończonych.

Sandmana poznajemy w roku 1916, gdy zostaje schwytany przez adepta okultyzmu, popularnego wśród brytyjskiej arystokracji początku XX wieku. Mag zamierzał wprawdzie uwięzić Śmierć, ale skoro już błędnie rzucone zaklęcie sprowadziło do jego piwnicy Sen, nie pogardził i takim gościem. Licząc na sowity okup od Nieskończonego, zamknął Sandmana w szklanej

kuli, gdzie bohater – nagi, bezbronny i pozbawiony insygniów swej władzy – spędził ponad sto lat. To pewna zmiana w stosunku do komiksowego pierwowzoru. Tam Władca Snów wymyka się na wolność już w roku 1988, a więc gdy powstawał scenariusz. Twórcy serialu postanowili jednak uaktualnić fabułę, co oznaczało dla Morfeusza dodatkowe 30 lat niewoli.

W tym czasie świat ludzi pustoszy śpiączka (ciekawostka: Gaiman nawiązuje tu do rzeczywistej i wciąż nie w pełni wyjaśnionej epidemii *encephalitis lethargica*, opisanej m.in. w fascynującym „Przebudzeniu” Olivera Sacksa). Jeszcze poważniejsze skutki niewola Sandmana ma dla jego własnego królestwa. Pod nieobecność władcy świat snu się rozpada. Zza jego murów wymykają się fantastyczne stwory, marzenia, a także koszmary karmiące się ludzkim strachem.

Gdy wreszcie tytułowemu bohaterowi udaje się uwolnić, jego zadaniem jest odzyskanie sił, posprzątanie bałaganu i przywrócenie równowagi między światami. Kolejne podróże w poszukiwaniu utraconych artefaktów i zbiegłych koszmarów napędzają akcję, dostarczając jednocześnie pretekstu do rozważań na temat roli w naszym życiu snów i marzeń (angielskie słowo „dream” oznacza obydwie domeny ludzkiej aktywności). Rozważania te Gaiman uzupełnia pytaniami o naturę opowieści, które, jak tu już była mowa, łączą ze snami wiele podobieństw.

Równoległe światy

Bogaty dorobek Gaimana obejmuje komiksy, powieści adresowane do różnych grup wiekowych, opowiadania i scenariusze. Za imponującą różnorodnością uniwersów, które powołuje do życia Brytyjczyk, kryje się jednak powtarzalność motywów i rozwiązań strukturalnych. Wszystkie kosmosy Gaimana są bez wątpienia tworem tego samego demiurga. Jednym z jego znaków rozpoznawczych jest współistnienie równoległych światów.

Doskonale widać to w „Nigdziebądź” – współczesnej „opowieści o dwóch miastach”. Oto pod Londynem, który znamy, rozciąga się dziwaczna karykatura stolicy Anglii, nazwana dość mało pomysłowo „Londynem Pod”. To kraina zamieszkiwana przez fantastyczne stwory, niepokojących intrygantów, a także pewnego anioła. Protagonista serialu i stworzonej na jego podstawie powieści (nietypowa kolejność mówi wiele o wszechstronności

Neil Gaiman. Paryż, 24 października 2014 r.



Tom Sturridge jako Sen w serialu „Sandman”, 2022 r.

→ Gaimana) trafia do tego równoległego świata, ratując napotkaną na ulicy dziewczynę. Odpowiedź na przypadkowe wezwanie czyni go bohaterem i prowadzi na ścieżkę przygody, z której nie ma powrotu. W trakcie podróży heros, a wraz z nim my, dowiaduje się też o nieoczywistych związkach łączących dwa miasta.

To stary koncept. Wielu badaczy, w tym Joseph Campbell, autor „Bohatera o tysiącu twarzy”, twierdzi wręcz, że stanowi on najgłębszą esencję każdego mitu. Wizję wielu światów czy „planów” wytropimy w niemal każdym eposie. W „Iliadzie” zmagania bogów toczą się równolegle do potyczek śmiertelników. W „Jerozolimie wyzwolonej” Torquata Tassa armia aniołów gromi legiony piekła, odbijając w kosmicznym zwierciadle toczącą się równolegle walkę krzyżowców z żołnierzami Solimana. Za każdym razem cel takiego zabiegu jest ten sam – nadać sens ludzkiej wojnie, usprawiedliwić ją, wpisać szal morderstwa i przerażenie ofiar, zwycięstwo i porażkę w ramy jakiegoś kosmicznego planu.

Mit bohaterski, o którym pisze Campbell i który Gaiman ożywia na kartach swych dzieł, idzie o krok dalej. Tu równoległe plany przecinają się gwałtownie, gdy heros przekracza granicę między światami.

Może się to wydarzyć w specjalnym miejscu, takim jak Yggdrasil, czyli prastary Jesion, będący *axis mundi* – osią świata w mitologii nordyckiej. Taka oś działa jak winda, pozwalając na przemieszczanie się między ludzką rzeczywistością a domenami bogów lub demonów. Yggdrasil wspomniany jest wprost w „Amerykańskich bogach” Gaimana. Jednak równie dobrze przejściem mogą się okazać zapomniane drzwi w starym domu („Koralina”) albo telefon z automa-

tyczną sekretarką, który pozwoli uwięzić na taśmie niebezpiecznego demona („Dobry omen”). Portalem między światami może być także osoba. To nie przypadek, że tajemnicza dziewczyna, uratowana przez bohatera „Nigdziebądź”, ma na imię... Drzwi.

Sandman jest pod tym względem bardzo interesującą postacią. To nie tylko władca królestwa snów, lecz także przewodnik – jak Hermes czy Charon – którego zadaniem jest przeprowadzanie śmiertelników między światami. Takim przewodnikiem jest także sam Gaiman. Oczywiście autotematyzm w literaturze nie jest niczym szczególnym – spora część pisarzy uwielbia wewnątrzpowieściowe rozważania na temat tego, czym są powieści i jak trudna jest dola ich autora. W sposobie, w jaki Gaiman wplata w swoją twórczość refleksję nad naturą opowieści, jest jednak coś szczególnego. Rozważania nad rolą historii w naszym życiu nigdy nie są tu zewnętrznym dodatkiem. Wynikają organicznie z treści utworów lub – co jeszcze ciekawsze – z ich formy.

Nie chcę tu psuć przyjemności wynikającej z lektury „Amerykańskich bogów”, ale esencją tej powieści jest przekręt (trochę jak w „Żądle” czy „Vabank”), a jej forma odzwierciedla treść. Jak gdyby całą historię snuł dla nas Loki – nordycki bóg oszustwa i jeden z bohaterów książki. I to właśnie z nim, jak się wydaje, utożsamia się autor.

Niedawno w podkaście „New Yorkera” Gaiman mówił o swoim rzemiośle w ten sposób: „Opowiadasz ludziom różne rzeczy. Zmyślasz rzeczy, które nie są prawdziwe. Tworzysz wielkie, pojemne, przestrzenne rzeczy, które nie są prawdziwe. A potem dajesz je ludziom z nadzieją, że dostrzegą w nich głębszą prawdę”. Fan-

tastyka (jak każdy mit) jest więc opowieścią o rzeczach nieprawdziwych, które pozwalają lepiej zrozumieć to, co najbardziej prawdziwe. Ale diabeł tkwi w tym przypadku w szczegółach, konkretnie w nacisku, jaki Gaiman kładzie na połączenie „nieprawdziwego” i „obszernego”. Jego historie naprawdę są „przestrzenne”, „wielkie”, „pojemne”. Niezależnie od medium imponuje w nich ogrom miejsca pozostawionego wyobraźni odbiorcy.

Ma to sens, bo nie da się stworzyć przekonującego kłamstwa. Gaiman, Loki i Sandman wiedzą to doskonale. Prawdziwy artysta oszustwa zastawia wyłącznie pułapkę. Tworzy pustą przestrzeń, którą ofiara wypełnia własnymi marzeniami, pragnieniami, wizjami. Ten, który przeprowadza między światami – pisarz lub władca snów – jest zawsze przewodnikiem, nigdy tyranem.

Trwałość i zmiana

Natalie Haynes, autorka książki „Pandora’s Jar” („Słój Pandory”), w przekonujący sposób śledzi ewolucję, jaką w ciągu ponad dwóch tysięcy lat przeszły najważniejsze kobiece figury z greckiej mitologii. Dziś większość odbiorców poznaje Helenę czy Meduzę poprzez dalekie powidoki utrwalone w literackich aluzjach, hollywoodzkich blockbustach i wytartych metaforach, zwraca uwagę Haynes. Nasz stosunek do kobiecych bohaterów starych opowieści coraz rzadziej wynika z tego, co faktycznie było w nich zapisane, coraz częściej zaś z rzutowania na materiał naszych własnych wyobrażeń, uprzedzeń i fantazji. Zarazem jednak istnieje jądro mitycznej opowieści, które pozostaje niezmiennie – zdolne nas poruszyć, zafascynować czy przerazić tysiąclecia, a może i dziesiątki tysięcy lat po tym, jak opowiedziano je po raz pierwszy.

W tym sensie mity są jak kamienie porzucone na dnie rzeki czasu. Płynące stulecia wygładzają je, szlifują, zmieniają ich kształty. Proces ten odbywa się jednak zbyt wolno, by dostrzegły go oczy śmiertelników. Dla każdego pokolenia jego własne mity wydają się niezmiennie – odwieczne i wieczne.

Dlatego tyle powabu mają narracje Gaimana, niemal zawsze prowadzone z punktu widzenia istot nieśmiertelnych. „Wielkie opowieści zawsze wrócą do ory-

ginalnej formy” – słyszymy w „Sandmanie”. Widzimy zarazem, że „oryginalna forma” może mieć tysiąc oblicz. Każde z nich prawdziwe, każde z nich odpowiednie dla czasu i miejsca, w którym historię opowiedziano. To nie przypadek, że wielu Gaimanowskich bohaterów, żyjąc przez eony wśród śmiertelników, musi się stać mistrzami kamuflażu, z fascynacją lub odrazą podążającymi za zmieniającymi się modami, językami i kulturowymi normami.

Anioł Azirafal, bohater napisanego wraz z Terryem Pratchetem „Dobrego omenu”, jest zawsze troszkę z tyłu, odrobinę retro, spóźniony o dekadę albo i stulecie, otoczony starymi książkami i niemodnymi ubraniami. Jego najlepszy przyjaciel, diabeł Crowley, ubiera się zawsze modnie (choć nie u Prady), jeździ sportowym samochodem i nieźle radzi sobie z technologią.

Sandman idzie jeszcze o krok dalej. Nie tylko nosi czarne szaty odpowiednie do epoki (w jednym z odcinków obserwujemy rewię mody, towarzysząc mu w odbywających się raz na stulecie spotkaniach), ale też zmienia wygląd zewnętrzny, dopasowując go do oczekiwań rozmówców. Np. w oczach uwięzionej w piekle Afrykanki jest czarnoskórym bóstwem o imieniu Kai’ckul.

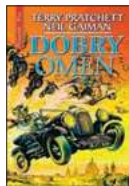
Opowieści i sny mają zawsze proteuszowy charakter. Im bardziej trwałe chcą pozostać w głębi, tym szybciej muszą się zmieniać na powierzchni, by w oczach śmiertelników zachować powab i zrozumiałość. Ta proteuszowa natura zwykle jednak pozostaje przed nami ukryta, w jednym czasie widzimy bowiem tylko jedną wersję mitu. Specyfiką dzieł Gaimana jest uchwycenie nie tylko konkretnej formy mitów, lecz także ich nieodzownej zmienności.

Marzenia...

Proza Gaimana uczy nas doceniać wartość specyficznego rodzaju nieprawdy. Pokazuje też, że relacja między „prawdą” i „nieprawdą” jest bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. To kolejne ważne podobieństwo między opowieściami i snami.

Jednym z powracających w „Sandmanie” tematów jest szczególnie rodzaj snów i opowieści, jakimi są marzenia. Marzenia są w jakiś sposób nieprawdziwe – przedstawiają nie świat rzeczywisty, lecz taki, jakiego byśmy pragnęli. Za ich nie-

CZTERY RAZY GAIMAN



■ Dobry omen (1990)

– wspólne dzieło Gaimana i Terry’ego Pratchetta, łączące to, co najlepsze u obu pisarzy. Azirafal i Crowley –

zaprzyjaźnieni anioł i diabeł – świetnie czują się wśród śmiertelników, postanawiają więc zrujnować zapisany w księgach przeznaczenia plan na koniec świata. Po drodze spotykają wiedźmę, łowcę czarownic, a także 11-letniego antychrysta, który nieświadom swej misji cieszy się w najlepsze dzieciństwem w idyllicznym angielskim miasteczku (w 2019 r. na podstawie powieści powstał serial).



■ Nigdziebądź (1996)

– po przeprowadzce do Londynu biznesmen wplątuje się w przedziwną awanturę w równoległym

wszechświecie, gdzie znane miejsca stolicy Anglii zmieniają się nie do poznania (na podstawie powieści nie powstał serial, ponieważ tym razem to powieść narodziła się na kanwie scenariusza do serialu).



■ Amerykańscy bogowie (2001)

– jak starzy bogowie radzą sobie we współczesnej Ameryce, do której trafili wraz z pokoleniami

imigrantów? Polegną w starciu ze światem technologii i rozrywki czy – przeciwnie – przejmą nad nim kontrolę? (serial powstał w 2017 r.)



■ Koralina (2002)

– Nastolatka przeprowadza się z wiecznie zajętymi rodzicami do starego domu. Znużona

szwenda się po piętrach, aż wreszcie odkrywa tajemnicze drzwi prowadzące do lustrzanego świata. Tam poznaje alternatywną wersję swojej matki, która ma dla córki znacznie więcej czasu, świetnie gotuje, lecz zamiast oczu ma czarne guziki (nie ma serialu, jest za to film animowany). © MN

prawdziwością kryje się jednak głęboka prawda: o samym marzącym, o naszym człowieczeństwie, o świecie, który bez marzeń byłby przecież zupełnie inny.

W jednym z odcinków nasz bohater trafia do piekła mocno inspirowanego tym Dantejskim. „Twoja moc tutaj nie sięga – sztydzi z niego Lucyfer. – Jaką niby moc mają sny w piekle?”. Sandman reaguje na to kolejnym ze swoich irytujących, zarozumiałych uśmiechów, po czym odbija pytanie: „Jaką niby siłę miałoby piekło, gdyby uwięzieni w nim nie mogli wciąż śnić o niebie?”. W ten sposób Gaiman i jego bohaterowie naprowadzają nas na nieoczywisty związek snów i opowieści z cierpieniem, ale też z nadzieją. Zarówno ból, który odczuwamy zderzając się z okrucieństwem jawy, jak i siła do przetrwania go, mają swe źródło w naszej zdolności do życia równolegle w lepszych, fikcyjnych światach.

Nie godzi się z tym inny serialowy antagonistą. John to nieślubny syn złego maga, który przed laty uwięził Sandmana w szklanej kuli. Choć nigdy nie poznał ojca, całe życie spędził pod równie destruktywnym wpływem matki i potężnego amuletu skradzionego Władcy Snów. Gdy dowiaduje się o sieci kłamstw, którą opłótł go jedyna bliska mu osoba, postanawia wykorzystać magiczny artefakt, by stworzyć świat, w którym istnieje tylko prawda. Szybko okazuje się, że oczyszczenie ludzkiego świata z nieprawdy pozbawia nas nie tylko oszustw, zdrad i podstępów, lecz także marzeń i nadziei. Spełniony sen Johna zmienia się w koszmar.

...i koszmary

Granica między pięknymi marzeniami i odrażającymi koszmarami w ogóle często okazuje się u Gaimana nieostra. Bohaterami snutych przez niego opowieści często są niezbyt dobre anioły lub całkiem sympatyczne diabły. Protagonisci historii mają mnóstwo wad, antagonisci zaś okazują się zaskakująco sympatyczni. Światło i mrok łączy olbrzymia liczba zwyczajów: nawyków, obsesji, przyzwyczajzeń, upodobań... Najciekawsze jest zaś to, że każdą z setek osobliwych postaci zaludniających Gaimanowskie światy jesteśmy w stanie z łatwością zrozumieć i polubić. Troszczymy się o ich losy. Być może dlatego, że za galerią cudacznych demonów, zbiegłych koszmarów i stworów z innych

→ wymiarów kryje się zawsze istotne pytanie o Koszmar przez wielkie „K”. Ten, do urzeczywistnienia którego nie potrzebujemy pomocy żadnych nadprzyrodzonych istot.

„Ludzie nazywają jawę »rzeczywistością«, jak gdyby sny nie były rzeczywiste”. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to stwierdzenie, wprowadzające nas głosem samego Snu w świat serialowego „Sandmana”, opisuje jedynie stworzony przez Gaimana kosmos, w którym koszmary mogą uciec i zamordować kogoś na ulicy. Kiedy jednak uważniej wczytamy się w prozę Gaimana, okazuje się, że w tej intuicji kryje się głęboka prawda.

Owszem, to realne, nie wyśnione lub opowiedziane, kule zabijają ludzi na polach bitew. Ale tworzywem wojen są idee, wyobrażenia, marzenia i opowieści. Sny, zwykle chore, o innym świecie, rodzą się w głowach dyktatorów, a następnie dzięki snutom przez nie opowieściom infekują umysły poddanych albo wyborców, oddanych propagandzistów i sceptycznych szeregowców. W jakimś sensie to zbiegłe z krainy snów koszmary mordowały pod Ypres, w Auschwitz, w Kigali i w Buczy.

Właśnie dlatego musimy studiować sny i opowieści tak jak studiuje biologię i fizykę. Tworzywo naszych marzeń i koszmarów może być niematerialne, lecz podobnie jak cykle rozwojowe mikrobów i trajektorie pocisków, sny i opowieści podlegają pewnym możliwym do zrozumienia prawom. Możemy tworzyć szczepionki przeciw nienawiści, projektować tarcze, które osłonią nas przed lękiem czy uprzedzeniami. Mityczne artefakty, których poszukiwał Sandman, istnieją, choć nie mają formy hełmu, sakiewki z piaskiem czy lśniącego dziwnym blaskiem amuletu.

„Jeśli dostatecznie wielu z nas będzie o tym marzyć, to się wydarzy” – ogłasza jeden z pobocznych bohaterów ostatniego odcinka serii (to bardzo, bardzo nietypowy ostatni odcinek, coś jak piosenka-niespodzianka ukryta po kilkunastu minutach ciszy na kasecie magnetofonowej!). „Sny kształtują świat”. To spostrzeżenie jest prawdziwe nie tylko w baśniowych uniwersach wykreowanych przez Gaimana.

Sny się spełniają. Niestety. Na szczęście.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Pokolenie wrażliwych

PIOTR KOSIEWSKI

Oto pierwszy od dawna tak obszerny pokaz młodej twórczości. Trudno się dziwić, że budzi wielkie zainteresowanie i wielkie kontrowersje. Zwłaszcza że pokazuje, jak bardzo zmieniła się sztuka w ostatnich latach.

NOWA WYSTAWA W ZACHĘCIE, „NIEpokój przychodzi o zmierzchu”, imponuje rozmiarami. Znalazły się tu prace blisko 90 artystek i artystów: od urodzonych w 1985 r. Hanny Krzysztofiak i Pawła Olszczyńskiego po rocznik 2000. Czy jednak pokoleniowość jest tym, co łączy zgromadzone tu dzieła? I na ile wystawa pokazuje obraz sztuki tworzonej przez młodych? Mimo liczby nazwisk uderzająca jest nieobecność pewnych zjawisk i nurtów, by wymienić np. twórczynię odwołującą się do tradycji abstrakcji i poszukiwań czysto formalnych, jak Emilia Kina (ur. 1990) czy Paulina Włostowska (ur. 1987).

Niekompletność jest wpisana w koncepcję tej ekspozycji. „Niepokój przychodzi o zmierzchu” nie ma być – jak zaznaczono w tekście towarzyszącym wystawie – prezentacją „kluczowych twórców, zjawisk i postaw”, a jedynie „dostrzeżeniem pewnej wspólnej wrażliwości”, którą reprezentują artystki i artyści znani, ale też dopiero odkrywani. Mamy tu więc wiele postaci ostatnio głośniejszych, jak członkowie Grupy Potencja czy Karol Palczak, oraz prace pokazywane już na innych wystawach, brak natomiast spektakularnych odkryć i nowych twarzy. Ostatecznie jednak pewna przewidywalność nie jest tylko słabością wystawy, bo daje możliwość zobaczenia w jednym miejscu tego, o czym w ostatnich latach tyle się mówiło.

Co więcej: broni się sam wybór wieku jako kategorii wyróżniającej. Oglądamy tu bowiem pierwsze pokolenie, dla którego PRL i czas transformacji są daleką przeszłością albo wspomnieniem z wczesnego dzieciństwa. Ludzi, którzy dorastali w kompletnie innej sytuacji politycznej, społecznej, ekonomicznej, a także artystycznej, z wolnym rynkiem sztuki, systemem galerii publicz-

nych i prywatnych, z otwarciem na świat, w tym na edukację poza Polską. Ludzi, dla których wspólne było przeżycie pandemii, protestów w sprawie praw kobiet i mniejszości czy ostatnio wojny w Ukrainie.

Siła słabości

Wszystko to sprawia, że – jak przekonuje kuratorka Magdalena Komornicka w wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” – są oni wrażliwi nie tylko na to, co się dzieje dookoła. Jest to „pierwsze pokolenie, które mówi o wrażliwości i związanych z nią wartościach tak otwarcie, mierząc się z problemami związanymi z emocjonalnością”. I jeżeli – co widać w wielu pracach zgromadzonych w Zachęcie – prowadzi to do „skupienia się przede wszystkim na sobie, swojej biografii, przeżyciach, emocjach”, a nawet do postaw narcystycznych (częsty zarzut wobec najmłodszych roczników), to młodzi zdejmują tabu z kwestii, o której w Polsce od dawna nie potrafiono mówić, czyli kwestii zdrowia psychicznego.

Nieprzypadkowo przed wejściem na wystawę położono dywanik-wycieraczkę Karoliny Balcer (ur. 1988), na którym zamiast zwyczajowego „Welcome” znalazło się słowo „Help” – artystka nawiązuje tu do doświadczeń brata, który z powodu problemów psychicznych był bezdomny. I być może wystawa pokazuje ważną zmianę, która nie dotyczy jedynie artystek i artystów, lecz w ogóle młodego pokolenia: uznania przez nie, że trauma, depresja czy choroba psychiczna nie mogą być tematami tabu, a mówienie o nich jest przejawem siły, nie słabości. Sam tytuł wystawy zaczerpnięto zresztą z książki niebinarnego, używającego męskich zaimeków holenderskiego pisarza Marieke Lucasa Rijnewelda, opowiadającej o dziew-



GALERIA ZACHĘTA / DZIĘKI UPRAWNIENIOM FUNDACJI SZTUKI POLSKIEJ ING

Mikołaj Sobczak, „The Smiths”, akryl na płótnie, 2019 r.

czynce o imieniu Jas, wychowanej w religijnej rolniczej rodzinie, która mierzy się z żałobą po śmierci brata, testując granice własnego ciała i ciał innych w wytrzymałości na cierpienie i ból.

Otwartość, z jaką Rijneweld opisuje przeżycia swoich bohaterów, ale też osoba samego autora i jego biografia dobrze korespondują z emocjonalnością wielu prac zgromadzonych w Zachęcie. Ich autorzy i autorki nie mają problemu z nazywaniem tego, co przeżywają. Mówią o tym wprost, bez ogródek. Nie ukrywają pragnień i potrzeb, jak Patryk Różycki (ur. 1992), który oznajmia: „Najbardziej na świecie chciałbym być kochanym przez kogoś obcego”.

Powrót przeszłości

Wiele prac dotyczy przemocy, zarówno systemowej, np. związanej z patriachatem, jak też indywidualnej, w tym wy-

mierzonej przeciwko sobie samemu. Zaskakująco często pojawiają się motywy zaczerpnięte z futurologicznych opowieści: roboty i cyborgi, ale również rozmaite postaci z mitów i legend: centaury, wampiry czy kościotrupy. Na wystawie udało się więc wychwycić zwrot nie tylko w kierunku surrealizmu (ogłoszony już wcześniej), ale też symbolizmu, powrót do sztuki przełomu XIX i XX wieku, a nawet do romantyzmu.

Stosunek do przeszłości to jeden z najciekawszych wątków wystawy. Artystki i artyści sięgają do wzorca, stylistyki i techniki, które często uchodziły za martwe. Agata Słowak (ur. 1994) nawiązuje do malarstwa figuratywnego z pierwszej połowy XX w., ale też do sztuki renesansu. Tworzy tajemnicze, dziwne, chwilami przerażające przedstawienia kobiet, świadomych swej cielesności i seksualności. Łukasz Stokłosa (ur. 1986) w pracach wyrafino-

wanych kolorystycznie, a jednocześnie utrzymanych w ciemnej, bliskiej dziełom niektórych starych mistrzów tonacji, wykorzystuje fragmenty kadrów z filmów i seriali. Obrazy Leny Achtelek (ur. 1989) przypominają zaś dawne portrety, z zatarłymi przez czas wizerunkami postaci.

Czy te kolejne zwroty do przeszłości nie prowadzą do pustego formalizmu i nie grożą popadnięciem w banał powtórzeń? Oglądanie kolejnych obrazów z kościotrupami, wampirami i innymi stworami tak mocno obecnymi dziś w kulturze masowej może być nużące, jednak są w Zachęcie także dzieła pokazujące zainteresowanie dawnymi wierzeniami czy obrzędami, słowiańszczyzną i odkrywaniem na nowo ludowej tradycji; dzieła, które przywracają wątki długo skazywane na marginalizację lub zapomnienie.

Jedną z najciekawszych prac jest wideo Kingi Michalskiej (ur. 1990), ⇨



KADR WIDEO DZIĘKI UPRZEŹMOŚCI ARTYSTYKI

Kinga Michalska, „Wampiry, nie ma się z czego śmiać”, trzykanałowa instalacja wideo, 2022 r.



GALERIA ZACHĘTA / DZIĘKI UPRZEŹMOŚCI FUNDACJI SZTUKI POLSKIEJ ING

Hanna Krzysztosiak, „Burza”, akryl na płótnie, 2020 r.

⇒ opowiadające o kobiecie mieszkającej w latach 60. ubiegłego wieku w polsko-kaszubskiej wiosce Wilno w Kanadzie, która wyjawiała, że urodziła się jako... wampir. To jeden z przykładów innego postrzegania przeszłości, skrajnie odmienny od polityki historycznej obecnie rządzących. Jednocześnie po raz pierwszy od lat pojawiło się tu nowe spojrzenie na wiarę, traktowaną jako jednostkowe doświadczenie. W Zachęcie znalazła się np. praca urodzonej w 1990 r. Oli Tubielewicz „Krucyfiks”: prosta, nieoczywista i przejmująca. Drewnianemu, rozłożonemu na części krzyżowi towarzyszy – podobnie jak w Ikea (wszystko jest utrzymane w stylistyce produktów szwedzkiej firmy) – instrukcja, w której zaznaczono: „Krzyż został rozłożony ponad 2000 lat temu. Nie należy go składać. Wykonało się”.

Czas teraźniejszy

Skupienie na sobie, na własnych przeżyciach i emocjach, nie oznacza jednak odwrócenia się od rzeczywistości. Przeciwnie: niektórzy nieustannie odwołują się do świata, w którym dorastali. Małgorzata Myceć (ur. 1993) opowiada w swych pracach, utrzymanych chwilami w estetyce dziecięcych rysunków, o życiu na polskiej wsi, a Karol Palczak

(ur. 1987) odwołuje się do rzeczywistości Podkarpacia po czasach transformacji.

Spory o sztukę polityczną to dla młodego pokolenia przeszłość, co nie oznacza braku prac o politycznym charakterze. Wystarczy wymienić obraz urodzonej w 1997 r. Anny Grzymały „Zdejmij mundur, przepraszam”. W pierwszej wersji przedstawiał mundur policyjny, w obecnej zastąpił go mundur straży granicznej. Tuż obok tego płótna znalazło się inne – „The Smiths” urodzonego w 1989 r. Mikołaja Sobczaka, jeden z najważniejszych obrazów ostatnich lat, polemizujący z oficjalną polityką historyczną. Malarz odwołał się w nim do „Kucia kos” Artura Grottgera, jednego z ikonicznych dzieł polskiej kultury, by opowiedzieć o marginalizowanych kobietach i społeczności LGBT+. Miejsce powstańców styczniowych zajęły tu aktywistki: *drag queen* Charlotte, *drag king* Magdalena Farat oraz działaczki historycznej Solidarności, m.in. Alina Pienkowska, Henryka Krzywonos i Anna Walentynowicz.

Do spraw najbardziej aktualnych odwołują się prace zgromadzone w ostatniej, największej sali. Wypełniają ją dźwięki topiących się lodowców, wspólna praca audio Diany Lelonek (ur. 1988) i Denima Szrama (ur. 1990). Dodatkowo zamieszczono tu duży wybór dzieł dotyczących katastrofy klimatycznej. Niektóre świetne (jak „Czerwone olbrzymy” urodzonej w 1990 r. Zuzy Golińskiej – rzeźba przedstawiająca słońca, które docierają do kresu swego czasu), jednak ich natłok sprawia wrażenie, jakby artystki i artyści poculi się w obowiązku zrobić przynajmniej jedną pracę o życiu po końcu antropocenu. Dobrym, choć może niezamierzonym komentarzem jest w tym sensie umieszczona także w tej sali autoiro-

niczna rzeźba Kaspra Lecnima „Świat się wali, a ja walę konia”.

Na rynku

Wystawa w Zachęcie próbuje więc mapować najistotniejsze zjawiska w twórczości młodego pokolenia. Jednak najważniejsze jest to, że pokazuje dwie kluczowe zmiany, jakie zaszły w polskiej sztuce ostatnich lat. Jedną z nich jest zwrot ku malarstwu. Po 1989 r. działali wprawdzie artyści oddani temu tradycyjnemu medium, np. Grupa Ładnie, ale ono samo było traktowane jako anachronizm. Teraz jest inaczej: to ono dominuje.

Zwrot ku tradycyjnym mediom nie dotyczy zresztą jedynie malarstwa, ale też rysunku – na wystawie można zobaczyć świetne prace urodzonego w 1997 r. Iwona Panasiewicza, a także tkaniny czy ceramiki. Jednak obok są fotografie, filmy wideo, a nawet komiks „Słodkie chłopaki” autorstwa Piotra „Zealota” Marca (ur. 1993). Od września zaś zaczyna się program performatywny.

Druga zmiana dotyczy mechanizmów polskiego świata sztuki. Wystawa „Niepokój przychodzi o zmierzchu” została zaplanowana przez Hannę Wróblewską, ale otwierał ją nowy dyrektor Zachęty, którego nominacja wywołała protesty. Wernisaż zgromadził tłumy artystów, kuratorów, kolekcjonerów czy po prostu widzów, których obecność odebrano jako sprzeciw środowiska wobec nowych władz galerii, ale można było też uznać za formę legitymizacji Janusza Janowskiego. Niejednoznaczność tej sytuacji dobrze odczytał artysta Kamil Wnuk, który podczas wernisażowych przemówień zaczął rozsypywać przyniesiony przez siebie cukier, wołając do zgromadzonych „Słodzisz! Słodzisz!”.

Ale różnica w sposobie funkcjonowania młodych artystek i artystów dotyczy nieco innej kwestii. Pandemia i *lockdown*, jak pisze Michalina Sablik w tekście opublikowanym przez „Magazyn Zachęta”, przypieczętowały „proces zlewania się rzeczywistości *online* i *offline*”. Dziś trudno być artystką bez kont w mediach społecznościowych, przede wszystkim na Instagramie. Co więcej: większość młodych artystów została zauważona przez prywatne galerie i kolekcjonerów, a ich prace już są sprzedawane za kwoty, na które nie mogli liczyć poprzednicy. Jednym z powodów tego sukcesu jest wspomniany zwrot ku (nadal najchętniej nabywanemu) malarstwu.

Rynek, przy wszystkich ograniczeniach, stwarza przestrzeń wolności, której zaczyna brakować w instytucjach publicznych. Wielu z uczestników wystawy w Zachęcie pojawiło się po raz pierwszy i zapewne (jeżeli zostanie zrealizowany program, który zapowiedział Janusz Janowski) na długo ostatni. Tyle że dziś to nie wielkie galerie publiczne decydują o tym, co ważne w polskiej sztuce, a ich wpływ będzie się jeszcze zmniejszał, czego dobrym przykładem jest postępująca marginalizacja przejętego przez nominatów obecnej władzy Zamku Ujazdowskiego. Szkoda tylko, że ofiarą tej sytuacji pozostaje publiczność, której proponuje się twórczość może „śluszną”, ale często kompletnie nieistotną.

© PIOTR KOSIEWSKI

NIEPOKÓJ PRZYCHODZI O ZMIERZCHU

Warszawa, Narodowa Galeria Sztuki Zachęta, wystawa czynna do 16 października br., kuratorka: Magdalena Komornicka.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **TRÓJMIASTO**, środa 7 września
Spotkanie z Adamem Kompowskim,
Dorotą Próchniewicz, Małgorzatą Rybicką,
Krzysztofem Tokarskim, „Doroślność na dwóch krańcach
spektrum autyzmu” / hybrydowe /

- **GLIWICE**, czwartek 15 września
Spotkanie z Kazimierzem Tischnerem,
„Mój brat – ks. prof. Józef Tischner”
/ stacjonarne /

REZERWUJ
CZAS!



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na [KlubTygodnika.pl/wydarzenia](https://klubtygodnika.pl/wydarzenia)

Taki mamy klimat

JAN BŁASZCZAK

Multimedialna opera „NeoArctic” opowiada o globalnym ociepleniu, odrzucając moralizatorstwo i dydaktyzm. Zamiast nawoływać do natychmiastowego działania, daje publiczności przestrzeń do kontemplacji swojego lęku i poczucia winy.

DWANAŚCIE KOLEJNYCH ZIM SPĘDZIŁEM z dala od domu – wspomina łotewski kompozytor Krists Auznieks. – Cztery lata studiowałem w Królewskim Konserwatorium w Hadze, a następnych osiem spędziłem w amerykańskiej Yale School of Music. Dopiero w ubiegłym roku wróciłem do Rygi. Łotewskie zimy zapamiętałem jako cztery-pięć miesięcy nieustających śnieżyc. A teraz śnieg to towar luksusowy. Popada kilka dni i koniec.

Podjęcie tematu katastrofy klimatycznej to jeden z powodów, dla których 30-letni kompozytor podjął się pracy przy „NeoArctic” – multimedialnej quasi-operze powołanej do życia przez reżyserkę Kirsten Dehlholm i jej producencki kolektyw Hotel Pro Forma. Choć duńska artystka ma na koncie ponad sto spektakli, przyznaje, że ten należał do najtrudniejszych. – Wyzwaniem był temat, jego złożoność – tłumaczy. – Trudności nie wynikały jednak tylko z tematyki. Postanowiliśmy po prostu za wszelką cenę nie moralizować.

Zamiast epatować katastroficznymi wizjami i przypominać o konieczności sortowania śmieci, twórcy „NeoArctic” odwołali się do nauki. Ich opowieść jest też zapośredniczona przez symbole, metafory i formalne zabiegi muzyczne. Wszystko po to, by uniknąć dosłowności. Jak nie trudno się domyślić, największe wyzwanie stanowiło to dla twórcy libretta. – Wszystkie pozostałe komponenty „NeoArctic”: wizualizacje, ruch, muzyka, rozgrywają się w strefie, która pozwala na abstrakcyjne myślenie i dowolność interpretacji – tłumaczy Sjón, islandzki poeta, tekściarz i scenarzysta. – Kiedy jednak pojawiają się słowa, zaczyna się bezpośredni przekaz. Bardzo zależało mi na tym, aby nie popaść w ton kaznodziejski. Co jest oczywiście trudne, bo jak tu mówić półsłówkami o katastrofie?

DROBINY, OPARY I PROMIENIE | Z pomocą przyszła Sjónowi Dehlholm i naukowcy związani z berlińskim Domem Kultur Świata, gdzie w latach 2013-2014 realizowano „Projekt Antropocen”. – Jego pojedyncze programy przypominały przesłuchania, w ramach których różni gracze epoki antropocenu: zwierzęta, teorie, emocje, przedmioty mogły zabrać głos, a jednocześnie były poddawane naukowemu procedurom – opowiada o niekonwencjonalnym podejściu badaczki reżyserka. – Raport „Projektu Antropocen” składał się z trzech rozdziałów: „Drobiny”, „Opary” i „Promienie”. W „NeoArctic” wychodzimy od tego podziału.

Dzieło, które 11 września doczeka się polskiej premiery podczas krakowskiego festiwalu Sacrum Profanum, składa się z 12 pieśni pogrupowanych w trzy wspomniane wyżej kategorie. „Drobiny” to np. „Plastik” i „Minerały”, „Opary” reprezentują m.in. „Oddychanie” i „Nieskończoność”, a „Promienie” – „Temperaturę” czy „Kolory”. Te 12 słów kluczy Dehlholm przesłała Sjónowi z prośbą, by napisał do nich 12 wierszy. Utwory wchodzące w relację z problematyką globalnego ocieplenia, ale nigdy bezpośrednią.

Kiedy pytam Islandczyka, czy takie dość abstrakcyjne zamówienie nie wprowadziło go w zdumienie, tylko się uśmiecha. Po chwili dodaje, że jako poeta nie widzi trudności w ubraniu w słowa jakiegokolwiek zjawiska. W jego ustach takie deklaracje nie brzmią jak przechwałki. Sjón to współtwórca największych przebojów Björk („Joga”, „I’ve Seen It All”, „Bachelorette”), a także laureat nagrody literackiej Rady Nordyckiej za powieść „Skugga Baldur”. Opowieść islandzka” i scenarzysta głośnego „Wikinga” Roberta Eggersa.

Pracując nad „NeoArctic”, Islandczyk obierał różne strategie. Czasem zanurzał

się w poetyckości, starając się przeniknąć do podświadomości czytelnika. Innym razem zwracał się w stronę nauki. Tak jest np. we wspomnianej pieśni „Plastic”, która daje wgląd w świat polimerów. „Poli-ester, poli-ten, poli-amid, poli-metyl, poli-akryl” – śpiewa Chór Radia Łotewskiego pod batutą Kasparsa Putniņa. Choć od strony muzycznej nie następuje tu jakaś gwałtowna wolta, sam tekst ostаточно się rozpada. Po chwili echem wracają do nas jedynie fragmenty nazw kolejnych polimerów. W ten symboliczny sposób Sjón wskazuje na destrukcyjny wpływ plastiku na naszą planetę. – Bo cóż jeszcze można napisać o plastiku? – pyta. – Od zawsze wszyscy mówią dokładnie to samo: Wielka Pacyficzna Plama Śmieci, stuletni rozkład, mikroplastik w ciałach noworodków... Dlatego uznałem, że zamiast pisać o plastiku, będę pisać plastikiem.

I pisze. „Poli-styren, poli-uretan, poli-etylen, poli-butylen” – jeśli zapomnieć o kontekście, można w tym znaleźć ukojenie.

ZŁUDNA KONTROLA | Wykorzystanie raportu z naukowych badań jako bazy dla libretta to tylko jedna z nieszablonowych decyzji artystycznych podjętych przez twórców „NeoArctic”. Dość powiedzieć, że Dehlholm zleciła napisanie muzyki dwóm kompozytorom. Przy czym kluczowe było dla niej, by reprezentowali różne światy i pracowali oddzielnie. – Już wcześniej stosowałam ten sposób w celu zdynamizowania warstwy muzycznej – tłumaczy dyrektorka Hotel Pro Forma. – W „Operacja: Orfeo” sięgnęłam do twórczości Johna Cage’a i duńskiego kompozytora Bo Holtena, a w przypadku „War Sum Up” pracowałam z Santą Ratniece i brytyjskim popowym składem The Irrepressibles. Do „NeoArctic” zaprosiłam klasycznie wykształconego kompozytora Kristsa Auznieksa i producenta muzyki elektronicznej Andy’ego Stotta. Przy czym kluczowe jest to, że oni nie mogą współpracować. Nie mogą słuchać nawzajem swoich utworów. Wtedy to naprawdę działa! W materiałach festiwalu Sacrum Profanum „NeoArctic” figuruje jako „eko-opera w rytmie techno”, warto jednak wiedzieć, że dzieło w reżyserii Dehlholm pozostaje w takiej samej relacji do klasycznej opery, w jakiej Stott przystaje do stereotypowego wizerunku producenta techno. Jego „Luxury Pro-



MATERIAŁY PRASOWE

Scena z opery „NeoArctic”

blems” czy „Faith in Strangers” łączyły w zachwycie krytyków z całego świata, mieszając mięsiste dub techno z ambientowym chłodem, a chropowaty industrial z delikatną barwą głosu Alison Skidmore. Jeśli Stott występował wcześniej w Polsce, to raczej na wydarzeniach takiej rangi jak Unsound czy OFF Festival.

– Nasza twórczość zdaje się być kompletnie różna, dwa przeciwległe bieguny – mówi Auznieks. – A jednak po zakończeniu prac nad muzyką okazało się, że niektóre rozwiązania Andy’ego brzmiały zaskakująco podobnie do moich. Może dlatego, że w mojej edukacji dużą rolę odegrał minimalizm. Zawsze destylowałem moje koncepcje do tego stopnia, by możliwie najskromniejszy muzyczny materiał mógł je nieść bez końca. Myślę, że to pogląd bliski też Andy’emu.

Zdaniem łotewskiego kompozytora za myśl zaproszenia dwóch kompozytorów nie ogranicza się jedynie do budowania dynamiki. Auznieks widzi w nim komentarz do sytuacji człowieka w obliczu zbliżającej się katastrofy klimatycznej. – Akceptuję artystyczną decyzję Kirsten, ale ona stanowi dla mnie wyzwanie – tłumaczy kompozytor. – Jako twórca nie mam

bowiem kontroli nad najbardziej istotnymi aspektami mojego dzieła. Nad czasem, nad jego całościowym przebiegiem. Myślę, że to idealna analogia do tematu dzieła. To poczucie utraty kontroli nad tym, co przecież powinno być w naszym władaniu.

POETYCKIE WYZWALACZE | Zaproszenie do współpracy Auznieksa było oczywistym wyborem. Łotewski kompozytor pracował już wcześniej z Putniņš, a muzyka choralna stanowi trzon jego artystycznej tożsamości. Zresztą mieszkańcy krajów bałtyckich z jakiegoś powodu ją sobie upodobałi; wystarczy wspomnieć twórczość łotewskiego kompozytora Pēterisa Vaska czy dorobek Estończyków: Arvo Pärt i Veljo Tormisa. Pytany o popularność chórów w tej części świata Auznieks zaczyna od wpływów Kościoła luterańskiego, ale ma jeszcze jedną teorię.

– Podczas pandemii wśród Łotyszów krążył żart na temat przepisu nakazującego utrzymywanie dwumetrowego dystansu. Śmiałyśmy się, że chyba nie damy rady tak bardzo się do siebie zbliżyć. Myślę, że nie ma wielu tak introwertycznych narodów jak nasz. Musieliśmy się jednak

jakoś ze sobą komunikować. Znaleźć sposób, który okaże się bardziej komfortowy. Mam wrażenie, że śpiewanie, które ma jasno określone funkcje i zasady, pozwala ludziom zbliżyć się do siebie bezpieczniej niż w trakcie spontanicznej rozmowy na ulicy.

Mając doświadczenie pracy z chórem prowadzonym przez Putniņša i znając jego niemal nieograniczone możliwości, Auznieks poświęcił dużo uwagi utworom nadesłanym przez Sjóna i zagadnieniu, które poruszają. 12 wybranych przez Kirsten słów to jego poetyckie wyzwalcze. – Drobiną to te maleńkie połączone za sobą szczegóły, które składają się na błoto czy pył – tłumaczy Auznieks. – Pisząc te utwory skupiałem się na poszukiwaniu muzycznego materiału, który mógłbym potraktować podobnie. W oparach ważniejsza niż sama budowa wydał mi się ruch. One w samej swojej istocie mają unoszenie. Promienie rentgenowskie czy podczerwień to z kolei zjawiska, których nie możemy zaobserwować gołym okiem. Tutaj myślałem więc o tym, co transcendentalne. Także w tym wymiarze, w jakim ludzkość przez lata nie dostrzegała problemu globalnego ocieplenia.



→ **ZROZUM I ZAREAGUJ** | Kiedy rozmawiam ze Sjónem o roli, jaką może odegrać artysta w uświadamianiu społeczeństwu konsekwencji zmian klimatu, wypowiada się ostrożnie. Z jednej strony mówi, że jako poeta musi pozostać wierny swojej dziedzinie. Przypisanym jej formom i narzędziom. Wzbrania się przed rolą aktywisty, a tym bardziej polityka. Zaraz jednak wspomina swoją rezydencję w Poczdamskim Instytucie Badań nad Wpływem Klimatu. Poruszyły go teorie o krytycznym punkcie ludzkości i absolutnym braku mechanizmów obronnych człowieka.

– Widzieliśmy wyginiecia innych gatunków: zwierząt, roślin, innych naturalnych zjawisk – zaczyna poeta. – Zawsze jednak tłumaczyliśmy sobie, że one nie potrafiły zrozumieć, co im się przytrafia. I dlatego, że nie pojmują tego, co się dzieje, nie potrafią odpowiednio zareagować. Ale teraz wiemy już, że to tak nie działa.

Zdaniem naukowców, których Sjón spotkał w Niemczech, żeby poradzić sobie z nadciągającą katastrofą, trzeba zmienić nie tylko świat, ale przede wszystkim człowieka. Wpłynąć na logikę, którą on się posługuje. To zadania, w których pisarz może odegrać niebagatelną rolę. M.in. dlatego Islandczyk przystał na propozycję Dehlholm: bo porusza kluczowy temat, a przy tym nie zmusza go do wykonywania politycznych gestów. – Myślę, że w 2016 r., kiedy „NeoArctic” miało światową premierę, nasi odbiorcy byli świadomi sytuacji, z jaką mamy do czynienia – twierdzi Sjón. – Wystarczyło więc, że tym utworem stworzyliśmy im pewną przestrzeń. Ludzie wchodzi w nią ze swoimi lękami, swoim poczuciem winy. Nie musimy ich generować. Nie musimy ich podkręcać. Te uczucia już tam są.

© JAN BŁASZCZAK

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE TVP

Kadr z filmu „Orlęta. Grodno '39”

Jak zostać Polakiem

ANITA PIOTROWSKA

„Orlęta. Grodno '39” to średni film o wielkim żydowskim marzeniu i o jeszcze większym poświęceniu. Na szczęście nie czuć, by był robiony na polityczne zamówienie.

DZIŚ MAŁO KOMU W GŁOWIE WOJENNE widowiska, nawet jeśli ten miesiąc szczególnie obfituje w ważne daty. Tymczasem Krzysztof Łukaszewicz („Lincz”, „Karbala”) w swoim nowym filmie „odpomina” mniej znane wydarzenie z września 1939 r., na dodatek jakoś korespondujące z wojną w Ukrainie – czyli aktywny udział młodzieży szkolnej w obronie Grodna podczas sowieckiej inwazji na Kresy. Trzeba przyznać, że wobec rodzimej biedabatalistki, wielkoekranowych rekonstrukcji historycznych i czytankowych fabuł wpiśniętych na rympał w politykę historyczną „Orlęta. Grodno '39” to jakoś ciociowy krok do przodu. Szkolne wycieczki, które niewątpliwie zasilą widownię, nie będą z nudów ziewać ani z zażenowaniem chichotać. Natomiast dość oryginalnym, o ile nie prowokacyjnym pomysłem w przypadku tej współprodukcji TVP jest uczynienie głównym bohaterem żydowskiego chłopca po uszy zakochanego w polskości.

Zarzuciwszy polaryzację, uprzedzenia i wzmożenia, można dopatrywać się w tym znacznych intencji. Oto bowiem film próbujący włączyć wątek żydowski w naszą patriotyczną narrację. Odtwarzany przez Feliksa Mateckiego 12-letni Leoś, który marzy o zagranju jasnowłosego Zbyszka z Bogdańca w szkolnym spektaklu, po czym zamienia koszulkę Makabi na harcerski mundur (nie w imię przetrwania, to jeszcze nie ten czas), jest typowym bohaterem w przebraniu. Aż się prosi, by wpisać tę postać w stereotyp „naszego Żyda”, zasymilowanego i prawie przechrzty, który – niczym filmowy Zelig – pragnie być bardziej polski od etnicznie polskich kolegów. Zwłaszcza gdy z powodu komunistycznych sympatii starszego brata nie zostaje przyjęty do harcerstwa, a falangiści odmawiają mu polskości na każdym kroku. Lecz choć w domu Leona stoi na półce i ukochany Sienkiewicz, i Marks, scenarzysta Łukaszewicza podpowiada także inną, sentymentalną wykładnię: osierocony przez ojca chłopak polko-

chuje się w koleżance z klasy, córce oficera, wcieleniu sienkiewiczowskiej Danuśki.

Chociaż film bazuje na różnych uproszczeniach, unika tępego politycznego młotka. Stara się raczej pokazać, jak uwodzieli siłą dla małego Żyda z przedwojennego Grodna mogła mieć polska kultura, zwłaszcza mowa (gwoli ścisłości, z ekranu słychać również jidysz). Wybór takiego, a nie innego bohatera z jednej strony komplikuje więc dominujący dyskurs, z drugiej zaś i nas trochę tą polskością uwodzi.

„Orlęta. Grodno '39” to średni film o wielkim żydowskim marzeniu i o jeszcze większym poświęceniu, ażeby zasłużyć na bycie Polakiem. Z czasem sowizdrzalski ton tego rozdarcia radykalnie się zmienia. Sceny z nauką „Bogurodzicy”, wizytą w kościele i chłopackimi pojedynkami mają jeszcze sztubacki humor. Początek roku szkolnego przynosi koniec starego świata, a wojna z dwoma wrogami szybko przestaje być przygodą. Zanim Leos przejdzie swój chrzest (*nomen omen*) bojowy, doświadczy smaku głodu, widoku zniszczenia i masakry. Wreszcie, pod wodzą plutonowego Grenia (Bartłomiej Topa), chłopiec zamieni się w stuprocentowego żołnierza walczącego z krasnoarmiejcami. Niepodziwianie jego żydowskość okaże się militarnie przydatna, aczkolwiek prawdziwa próba tożsamości przyjdzie wtedy, gdy w czasie walk ulicznych Leon napotka swojego brata po drugiej stronie barykady. Dlatego szkoda, że dla twórców filmu od konfliktu tragicznego zdecydowanie ważniejsza jest opowieść heroiczna, by nie rzec: martyrologiczna. Być może znajduje ona dzisiaj, w obliczu realnych zagrożeń ze Wschodu, kiedy wszelkie hamletyzowanie odeszło na dalszy plan, sensowne brzmienie, lecz na pewno ze stratą dla dramaturgii. Pojawia się zresztą problem jeszcze innej natury – główny bohater dopiero ukończył szóstą klasę.

Filmy wojenne kręcone z dziecięcej perspektywy mają w historii kina bogatą tradycję. Zazwyczaj ustawione na pierwszym planie „dziecko wojny” bywa postrzegane jako bezbronna ofiara, a jego wzrok, czasem wycelowany wprost do kamery, to najsurowsze oskarżenie, czego przykładem może być powstała niedawno hardkorowa adaptacja „Malowanego ptaka”, dokonana przez Václava Marhoulę. Dziecko w tego rodzaju kinie zazwyczaj „idzie i patrzy” (niczym w biblijnym tytule głośnego filmu Elemę Klimowa z 1985 r.), pokonując piekielne kręgi i stopniowo przestając

być dzieckiem. Albo rozpaczliwie próbuje nim zostać poprzez ucieczkę w świat fantazji. W filmie Łukaszewicza – wiemy przecie, że największy horror dopiero się zaczyna, wraz z „ostatecznym rozwiązaniem” – dziecko żydowskie w nieżydowskim kostiumie zyskuje na moment siłę i sprawczość. Jednakże, niezależnie od etnicznego pochodzenia, od słuszności wojny obronnej czy patriotycznych uniesień, posyłanie 12-latków na śmierć musi budzić opór. Co prawda bohater „Orląt” sam rwie się do walki, wbrew woli dorosłych, podobnie jak wielu jego kolegów, jak wcześniej na stoletni ochotnicy ze Lwowa czy ich warszawscy rówieśnicy niespełna pięć lat później, film zaś trzyma się faktów i chciałby złożyć zasłużony hołd małodetnim bohaterom, ale heroizowanie dziecięcej ofiary wydaje się mocno ryzykowne. Nawet wtedy, a może właśnie szczególnie wtedy, kiedy historia z grubsza wydaje się powtarzać.

Zwłaszcza że wojna w „Orlętach” jeńców nie bierze. Jest strach, są bebechy i nawet polskie wojsko to nie żądni chłopcy malowani, wystarczy posłuchać ich mięśnistej mowy. Mimo to wiele z tych przedstawień traci sztafeta. Dlatego lepiej, gdy film nie stara się epatować, a groza zostaje ledwie zasugerowana. Np. w scenie, gdzie radziecki człowiek z kamerą filmuje triumfalne wejście do miasta Armii Czerwonej i mimowolnie rejestruje przerażenie w oczach kobiet. Wiadomo, co wydarzy się poza kadrem.

Na szczęście, w przeciwieństwie do telewizyjnej serii „Kto ratuje jedno życie, ten ratuje cały świat”, która miała ocieplać relacje polsko-żydowskie, a wyszło jak zawsze, nie czuje się, żeby „Orlęta. Grodno '39” robione były na polityczne zamówienie. I jest to film zdecydowanie bardziej dopięty niż inne tego typu polskie produkcje: nie widać dziur w budżecie, pirotechnika działa, dawna rzeczywistość posiada należytą patynę. Bywa, że bezpośrednio starcie totalitaryzmów czy ideologii na stosunkowo niewielkim odcinku dezorientuje. Ale w końcu patrzymy na to oczami dziecka, które z tej wojny rozumie tyle, ile wyczytało w patriotycznych lekturach. To ono opowiada nam tę romantyczną bajkę o synu ubogiej żydowskiej krawcowej, który ku chwale polskiej ojczyzny palił bolszewickie czołgi. ©

ORLĘTA. GRODNO '39 – reż. Krzysztof Łukaszewicz. Prod. Polska 2022. Dystryb. TVP. W kinach od 9 września.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Odbicie



Dramat, reż. Walentyn Wasjanowicz, Ukraina 2021, Cinemax 2, 10 IX, 20.30, 11 IX, 11.25, HBO Max, od 10 IX

Twórca „Atlantydy” raz jeszcze przypatra się ziemi jałowej, zmasakrowanej przez wojnę w Donbasie. Bohaterem filmu jest ukraiński lekarz, który trafia do rosyjskiej niewoli, jest tam świadkiem upadku człowieczeństwa, po czym już na wolności próbuje zbudować swoje życie na nowo.

2. Gorbaczow. Raj



Dokumentalny, reż. Witalij Manski, Czechy/Lotwa 2020, vod.mdag.pl, CDA Premium

W domu na przedmieściach Moskwy dożywa samotnie swoich dni jeden z najważniejszych architektów geopolitycznych przemian drugiej połowy XX w. Kamera podchodzi tak blisko, jak to możliwe, a stojący za nią reżyser przepytuje „Gorbiego” z historii jego kariery, z jego poglądów na Rosję i na świat.

3. Men



Horror, reż. Alex Garland, Wielka Brytania 2022, MOJEKINO. Jedni widzą w tym popis mizoandrii, inni

brawurową rozprawę z patriachatem. Grana przez Jessie Buckley bohaterka zaszywa się w wiejskiej posiadłości, lecz nie ucieknie od swoich demonów. A reżyser „Ex Machina” nadaje im wyjątkowo perwersyjną i atrakcyjną oprawę. Plus Rory Keanner w zwielokrotnionej roli.

4. Po miłości



Dramat, reż. Aleem Khan, Wielka Brytania 2020, HBO Max, CANAL+, Player, Play Now

Aniela w średnim wieku i zarazem pobożna muzułmanka po śmierci pakistańskiego męża odkrywa, że przez wiele lat wiódł równoległe życie, kursując między Dover a Calais. Kiedy bohaterka podąża tropem tej tajemnicy, doświadczenie zdrady i straty będzie dużym wyzwaniem dla jej poczucia tożsamości.

JAN

Klata:

Czterej pancerni i kot



PIERWSZEGO WRZEŚNIA ROKU PAMIĘTNEGO Naczelnik napadł na Niemców, że są mu winni pieniądze. Można spojrzeć na sprawę rozpętania wojny z Krzyżakami pod kątem powszechnej dziś retromanii. Wtedy powrót do popkultury z cza-

sów dzieciństwa i młodości Naczelnika określa mentalny stan państwowości polskiej Anno Domini 2022. Blockbuster Aleksandra Forda o złowrogich knowaniach Kuna von Lichtenstein i Konrada von Plauen jest benchmarkiem postrzegania Europy XXI stulecia. Przy okazji wyznacza pułap wymarzonego poparcia partii dożywotnio rządzącej: 30 mln Polaków i Polek obejrzało „Krzyżaków” (w ciągu 50 lat, co prawda, ale zawsze). Taka kupa ludzi nie może się mylić.

Zbyszko, Maćko, Danusia, Jagienka i Jurand to oczywiście spory kapitał kulturowy, który można rzucić na szalę, ale przecież kolubryn mamy więcej. Taki Hans Kloss, na przykład. Z kim walczył? Wiadomo. W czasie gdy „Stawka większa niż życie” wchodziła na małe ekrany, Naczelnik robił maturę. Z pewnością sataniczno-sardoniczny sadyzm Brunnera odcisnął niezapomniane piętno na mentalności kilku pokoleń Polek i Polaków.

Teraz z grubej rury: jakiś czas przed Klossem, w pamiętnym tysiącletnim 1966 roku, do Berlina z pomocą Marusi dochodzą „Czterej pancerni” – dając nam przykład słusznej odpłaty i asertywności wobec teutońskiej nawały. Oto podwaliny kolein reparacyjnych powinności! Boysband z T-34 ciągle gra do tańca naszym seniorom, zakreślając granice ich świata. I tutaj Jarosław Kaczyński jest akurat bardzo szczerzy w obnażaniu swego generacyjnego lęku. Przecież on z Niemcem/Niemką pewnie w życiu słowa nie zamienił.

Oczywiście, przekaz „Nie wierz w Niemca” nie dotrze do młodego pokolenia, dla którego „Zakazane piosenki” to po prostu ewentualny tytuł nowego albumu Billie Eilish. Ale młode pokolenie do wyborów nie pójdzie. Pójdą pancerni. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



 **audioteka**

PAWEŁ

Bravo:

Brukiew i jej Julia



O DZIEWIĘDZIESIĄT PROCENT MOŻE SPAŚĆ różnorodność zapyłaczy na obszarach zainfekowanych nawłocią kanadyjską. Tę inwazyjną, niszczącą ekosystemy łąk i zarośli roślinę lekceważymy po części dlatego, że jest tak ładna. Z początku

obecna w niewielkiej ilości, jakże miło podmalowywała nam płowo-bure pejzaże późnego lata. Ale jej pędu nic nie zatrzyma, tylko ludzka ręka, działaniem roztropnym, choć brutalnym. Idzie o naszą przyszłość, ale taką przyziemną, niesprzedawalną w postaci sloganowej papki z jakichś kampusów czy gospodarskich wizyt wodza.

A może lepiej, żeby panowie politycy nie angażowali przyrody w swoje kampanie, skoro tak nieodpowiedzialnie rozgrywali kwestię zatrutej Odry? Ryby potrafią być problemem dla polityków nie tylko, gdy śnięte, ale i żywe, aż za bardzo żywe. W Białym Domu, przynajmniej za Obamy, był umocowany etatowo i budżetowo specjalny doradca ds. inwazyjnych karpi. Nie tych znanych nam z wigilijnego stołu, tylko ich kuzynów z rodziny karpowatych – tołpygi białej oraz pstrej. Sprowadzono je w latach 70. z Azji do oczyszczania z glonów zbiorników hodowlanych i ściekowych w Arkansas, ale tak im się spodobało w nowym kraju, że wkrótce zadomowiły się w rzekach Środkowego Zachodu, z Mississippi na czele. Wypierając przy okazji mnóstwo lokalnych gatunków i burząc równowagę w ekosystemach. Padł błąd strach, że wkrótce zdominują Wielkie Jeziora. Armia USA dostała specustawę i specpieniądze na prace hydrologiczne, żeby do tego nie dopuścić.

Amerikanin, człek praktyczny, doszedł zarazem do wniosku, że pomocna byłaby tu niewidzialna ręka rynku. Jak sprawić, żeby opłacało się tołpygi łowić na sprzedaż? Wszak są jadalne, nawet całkiem smaczne. Sęk w tym, że Amerykanie obejmują je potoczną nazwą *Asian carp*, a to podwójnie odstręcza ich od jedzenia. Raz, że w ogóle karp, który nie jest tam ceniony kulinarnie, bo „zalatuje mułem”; dwa, że azjatycki, co budzi mnóstwo uprzedzeń, jeszcze wzmocnionych przez pandemię „chińskiego wirusa”. Odławiane dotąd niewielkie ilości tołpyg szły więc głównie na karmę dla niedźwiedzi w parkach narodowych albo do kocich puszek.

Ale praktyczny, jak się rzekło, Amerykanin nie takie przeszkody pokonywał. Pewna Julia z jego lektury szkolnej nauczyła, że większość problemów da się załatwić w warstwie słów. Jedyną wadą jej Romea było wszak to, że nazywał się Montecchi. „Cóż znaczy nazwa? To, co zwiemy różą, pod inną nazwą nie mniej by pachniało (...) odrzuć nazwisko, a za ten dźwięk, który nie jest nawet częścią ciebie, weźmiesz mnie całą” (przeł. S. Barańczak). Zarząd dróg wodnych stanu Illinois zlecił agencji brandingowej z Chicago pracę nad nową nazwą. Właśnie niedawno konsumentom z tego i sąsiednich

stanów przedstawiono na billboardach i w reklamach ich nową ulubioną rybę: *copi*. Nazwa fonetycznie odnosi się do *copious* (obfity, płodny) i została przetestowana na licznych fokusach jako intrygująca, z lekką egzotyczną, „świeża”. Zangażowane w kampanię restauracje i firmy dystrybucyjne już wciągnęły do swych ofert copiburgery.

Czy to coś zmieni, wkrótce się okaże, w ciekach wodnych Illinois czeka na spożycie ze 20 mln ton *copi*. Ale czemu miałyby się nie udać? Kiedyś w Ameryce przemianowano patagońską rybę zębatą (w polskich atlasach to kłykacz) na chilijskiego labraksa, choć Chile to ona nie widziała nawet przez lornetkę. No i w ogóle zmiana nazwy to skuteczny sposób na ominięcie uprzedzeń i manipulację w każdej dziedzinie, czego np. cały katalog słownych sztuczek związanych z „zabobami ludzkimi” jest najlepszym dowodem.

Znam ja i w Polsce parę rzeczy, które czekają na swoją Julię, by przyszła i odmieniła im źle kojarzone nazwy. Pierwsza w kolejce to bardzo cenna smakowo brukiew, warzywo nieodwracalnie spaskudzone przez wojnę. A gdyby tak ją z angielska nazwać *rutabaga*? Krem z pieczonej rutabagi z oliwą truflową i orzeszkami laskowymi... Prawda, że elegancko? Nutria: najlepiej byłoby nie hodować w ogóle, ale skoro na razie jest wśród nas, dobrze byłoby zjadać jej ponoć niezłe mięso, a nie tylko mordować ją na futro. Gdybyśmy od Francuza pożyczili nazwę *ragondin*, byłoby chyba rażniej.

Ale metodę Julii chciałoby się zastosować też w drugą stronę. Ogłaszam konkurs na obrzydliwą, budzącą strach nazwę dla nawłoci kanadyjskiej, która oprócz tego, że ładnie wygląda, to jeszcze zdradliwie zapożycza sympatycznie brzmiące imię od niegroźnej nawłoci pospolitej, zwanej też złotą różgą. Jeśli rząd by dosypał milion czy dwa na propagandę (a wiemy, że na propagandę nie skąpi), to następnego lata naród własnoręcznie upora się z problemem. Słowa to broń, jak wiemy z historii, i nie ma powodu, by strzelali z niej tylko źli ludzie w złych zamiarach. ©P

Brukiew nie dość, że ma nazwę z przeszłością, to wychodzi po obróbcie szarobura, przez co trudno z niej zrobić gwiazdę Instagrama. Na razie jeszcze trudno się do niej przekonać, gdy tyle innych świeżych rzeczy dookoła. Ale już niedługo na zimny, wilgotny wieczór może wam się bardzo przydać taki prosty przepis na sycący krem: zagotowujemy ok. **litra mocnego bulionu warzywnego**, wrzucamy **50 g ryżu** i gotujemy do miękkości. Na dużej patelni na **2 łyżkach masła** dusimy pod przykryciem **0,75 kg brukwi** pokrojonej w małą kostkę – do miękkości, podlewając ewentualnie wodą. Przekładamy porcjami brukiew do wywaru z ryżem, stale miksując, aż osiągniemy gęstą konsystencję. Doprawiamy **pieprzem**, a na użytek Instagrama zabarwiamy na żółto **kurkumą w proszku**.



OSTATNIA SERENADA

Zawsze ją rozsadzało, przepełniało,
chciała wykroczyć daleko poza siebie.
Tak to wyglądało na korcie, tak wyglądało
w jej ciele i w wizerunku. Na zawsze zostanie
ikoną tenisa i nowej Ameryki.

MAREK BIEŃCZYK

SZCZERZE? KOCHAĆ TO KOCHAM TENIS MAI CHWALIŃSKIEJ. Patrzenie na jej grę podczas turnieju na Wimbledonie było czystą estetyczną rozkoszą. Nawet gdy przegrywała. Coś hipnotycznego; zauważyłem po wpisach, że magii uległo paru komentatorów na całym świecie. Ta elegancja ruchów, te piłki wysyłane z precyzyjną gracją, ten dziwny, urokliwy forehand, ten pieszczotliwy slice z połowy kortu zamiast atomowego drive'a. Tenis w dużej mierze taneczny czy pantomimiczny, szkoda, że liczy się przy nim punkty. Tenis obronny, bezszelstny, melancholijny, od czasu do czasu wypuszczający jakby ironiczne żądło. Efektowny, piękny, nieco marginalny, niczym Choromański przy Żeromskim. Szczerze do końca: więcej Choromańskiego!

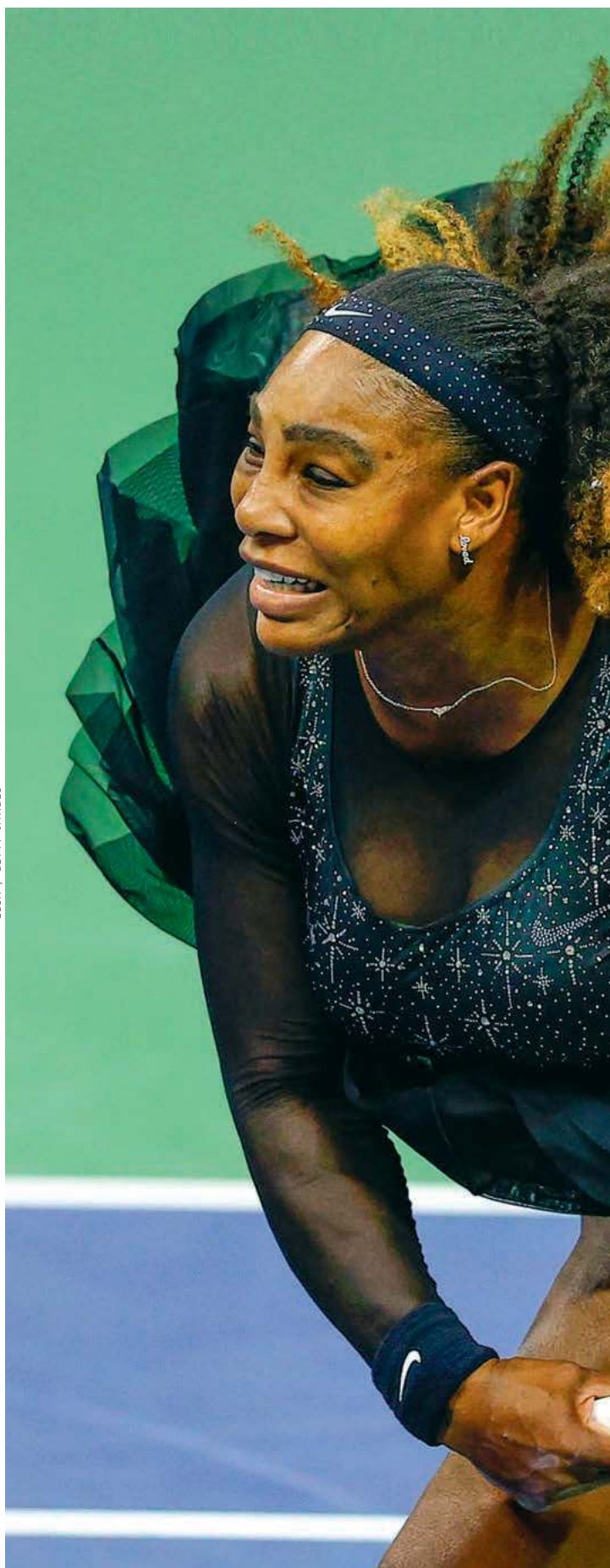
Tak, to jest tekst o Serenie Williams. Idealnym przeciwieństwie Mai Chwalińskiej. O championce przy aspirantce do pierwszej setki. O tytanie przy skromnej sylwetce, rakiecie przy passing shotach, piorunie przy serwisie. I o ryku przy szepcie.

Rodzinka Williamsów

Jakże trudno było do Sereny się przyzwyczaić. Najpierw Geniusz Tenisa (bóstwo międzynarodowe) zesłał nam na próbę jej starszą siostrę, Venus. Jako pierwszą dawkę szczepionki na nadmiar. Początkowo na barokowy przerost wokół, na rodzinę Williamsów skąpaną jeśli nie w złocie, to w jego podróbkach, nadobecną w kamerach, pletoryczną, zadowoloną ze swojego miejsca na grzędzie. Na klan dowodzony przez tyrańskiego, jak mówiono, ojca. Wraz z matką Venus i Sereny przez długi czas coacha córek, menedżera i szefa codziennych rozkładów jazdy. Na trybunie klan rozsiadał się jak do uczt bogów.

Zwycięstwa Venus, bezwzględnie zasłużone, wpisywały się w tę przepyszną wspólnotę Williamsów i traciły aurę →

ELSA / GETTY IMAGES





*Serena Williams w meczu z Anett Kontaveit
podczas US Open.
Nowy Jork, 31 sierpnia 2022 r.*

→ indywidualnego wyczynu. A później coraz to wymyślniejsze stroje, sukienki z modowych wybiegów, dodawały splendoru, epatowały high life'em i czyniły z występów Williams dodatkowy show, który młodsza siostra doprowadzi za jakiś czas do apogeum.

Serena pojawiła się nieco później; była o wiele drobniejszej postury niż obecnie, grała inaczej niż siostra, której poruszanie się po korcie, sposób uderzania i technika były bardziej klasyczne. Najgorszym, co mogło się przytrafić kibicowi – kiedy już Serena weszła na najwyższy pułap – okazywały się półfinały i finały turniejów, zwłaszcza wielkoszlemowych, w których spotykały się obie. Męczyli się wszyscy, zawodniczki i oglądający, tylko maszyny do liczenia rodowej kasy wydzwaniały radosne crescendo.

Z czasem różnice między siostrami stawały się coraz wyraźniejsze, tak w stylu gry, jak w wyglądzie. Tym bardziej że Venus w pewnym momencie poważnie się rozchorowała i wróciła na korty szczuplejsza, a teraz, gdy ma już swoje lata, wygląda, jakby zapadła się w sobie. Serena rosła tymczasem w siłę i w mięśnie, na niektórych zdjęciach widać bicepsy kulturysty, którym dorównać dzisiaj mogą co najwyżej ręce Greczynki Marii Sakkari, nowego wcielenia Atlasa. Z roku na rok szanse jej pokonania malały; nie znajdowano antidotum na jej serwis i kończące uderzenia po linii.

Księżniczka na ziarnku grochu

W przypadku Sereny nie można mówić o absolutnej tenisowej rewolucji, jak ta Fosbury'ego w skoku wzwyż, który całkowicie odmienił tę dyscyplinę, no ale z pewnością wzmocniła ona i doprowadziła do ekstremum siłowy trend. Gdy zaczynała, widać już było jego pierwsze oznaki, później nawałanka zdominowała kobiecy tenis. Piłka leciała z nadzwyczajną szybkością i szybko przełamywała obronę; zapewne wcześniejsza dominatorka Steffi Graf ze swoim backhandowym slice'em też by musiała ulec nawałnicy. Dzisiaj, podczas tegorocznych turniejów, widać jeszcze lepiej gołe fundamenty tego stylu. Serena nie porusza się już tak sprawnie, psuje więcej piłek, lecz kiedy rąbnie, to już rąbnie: niekiedy z miejsca i bez wyraźnie zaznaczonej pętli rakietą, obowiązkowej dla pełnego uderzenia, sam zamach wystarczy.

Czułe jest serce kibica, mieszkające niemal zawsze po stronie „słabszego”. Nic dziwnego, że stawało się murem za sylwetkami filigranowymi, jak Justine Henin, której udawało się zaleźć Serenie za skórę, zrobić jej kuku jednoręcznym backhendem, tym biczem od dziewczynki z zapalkami, czy nawet za Jennifer Capriati, od Henin potężniejszej, lecz niepozabawionej sprytu i ponadto okrutnie doświadczonej przez życie, po drive narkotykowy włącznie. No i, po stronie sprytu, za Agnieszką Radwańską. Ach, ten jeden set Agnieszki wyrwany Serenie w finale Wimbledonu! Ach, ten drugi niewyrwany!

Nie znam nikogo w moim tenisowym towarzystwie, kto zarywałby noce, by obejrzeć tenis Sereny. Gorzej, że publiczność (nawet amerykańska) ongiś wspierała ją kapryśnie, raz tak, raz nie. Częściej nie. Zdarzało się Serenie zachowywać na korcie nieprzystojnie, wydawała się arogancka, księżniczka na ziarnku grochu, której wszystko się należy. Nie do zniesie-

Jej sylwetka nie przestaje przyciągać wzroku:

to seksbomba, to antyczna rzeźba, to Tajemnica Czarnego Przylądka, to modelka w sukniach Gucciego i Ralphi Laurena, to obraz Botera.

nia. W pewnym momencie wręcz skarżyła się, że wzbudza niechęć. Nie myliła się chyba, lecz później coś pękło i nastąpiło pojednanie; publika dostrzegła w Serenie idolkę i zaczęła się trwająca do dziś Serenada. Czy wiązało się to z jej macierzyństwem, czytaj: „unormalnieniem” tytanki, czy z jej wypowiedziami na tematy społeczne, czy z coraz większym mozołem i potokami potu, jakich wymagały kolejne tryumfy?

Wolna amerykanka

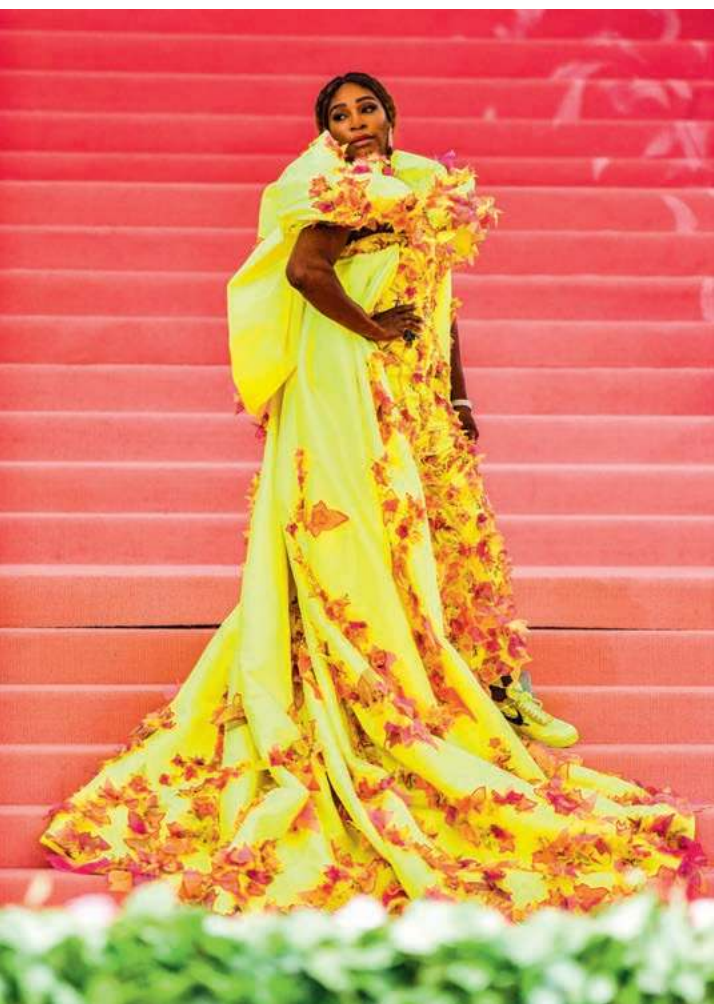
Przyznam, że moje nastawienie do Sereny zmieniło się pewnego wieczora, gdy zobaczyłem sprawozdanie z kolejnej gali, w której uczestniczyła. Pojawiła się w hiperwidowskiej kreacji, może to była niebywała żółta suknia, nie pamiętam dokładnie, coś jasnego i bijącego słonecznym blaskiem w oczy. Ale pamiętam twarz Sereny. Uśmiechającą się na wszystkie strony, oczywiście, lecz lekko zbitą z tropu, niepewną, nieśmiałą. Odczytać na niej można było rodzaj dziecięcego marzenia i zarazem dziecięcej niepewności: czy może tak być, czy dobrze wyglądam, czy mogę się podobać? Było w jej ekspresji coś niewinnego, uroczego, stojącego w kontraście do jej zachowań na korcie i nie do odparcia nawet dla twardego serca.

Dzisiaj lepiej rozumiem czy raczej: łatwiej konstruuje na własny użytek egzystencjalną sytuację Sereny. Definiując w skrócie: sytuację kogoś, kto nie chce zmieścić się w sobie. Serenę zawsze rozsadało, przepełniało, chciała wykroczyć daleko poza siebie. Tak to wyglądało na korcie, gdy waliła czasem bez umiaru i piłka leciała pięć metrów za linię, tak wyglądało w jej ciele, które nabierało masy, tak wreszcie wyglądało w jej wizerunku, z czasem coraz bardziej szalonym, aż po ostatnią kreację, właściwie sylwestrową, na otwierający tegoroczne US Open mecz z Danką Kovinić, który mógł być – tego się spodziewano – ostatnim w jej karierze.

Mówię to nie bez podziwu, jak o każdym przekraczaniu granic. Tak jak młody Andre Agassi wyrwał się swoim image'em poza konwenans i otwierał drogę do wolnej westymentarnej amerykanki, która korespondowała z jego nietypową grą i zwiastowała przemianę tenisa w widowisko, tak dojrzała Serena dorzuciła do spektaklu ognia. Agassi był tylko nonszalancki, Serena chciała być ikoniczna.

Rzeźbiła swój wygląd, przerabiała go, jakby szukała optymalnej miary, występowała raz jako królowa balu, innym razem jako masajski wojownik z wojennymi barwami na policzku, wciąż inaczej. Nie da się ukryć: wobec szczupłych blondynek po drugiej stronie siatki wydawała się – zwłaszcza w czarnych strojach – postrachem; wygrywała casting na dzikość i mecz nosił tytuł „Piękna i Bestia”. Zdarzały się publiczne docinki na temat jej wyglądu, rozgłos zdobył komiks przedstawiający karykaturalnie jej spotkanie z Naomi Ōsaką.

Jej sylwetka nie przestaje przyciągać wzroku i jest znakomitą materią dla fotografów, liczne zdjęcia w lifestyle'owych magazynach pokazują Serenę w jej fantastycznych awatach: to seksbomba, to Violetta Villas inaczej, to antyczna rzeźba, to Tajemnica Czarnego Przylądka, to numer jeden na wszystkich plażach świata, to modelka w sukniach Gucciego i Ralphi Laurena, to obraz Botera. Ale nie chodzi, czy



JAMES DEVANEY / GETTY IMAGES

Podczas gali Met Celebration Camp. Nowy Jork, 6 maja 2019 r.

nie chodzi tylko, o ciało kobiety podatne na fetyszyzację. Również, by tak rzec, o ciało jako takie, doprowadzony do nadwyrazistości dar materii, nazywanej Życiem. Jej twarz, zależnie od fryzury, odsyła do różnych malarskich przedstawień, fascynuje, czyli odpycha i przyciąga zarazem. Podczas meczu z Kovinić zbliżenia oblicz Sereny nie dawały spokoju. To była twarz lwicy i lwa zarazem; w jej rysach ujawniał się ponadpłciowy, fenomenalny klasycyzm formy pierwotnej i władczej, na swój sposób idealnej.

Niepogodzona

Serena zostanie już wieczną ikoną tenisa i ikoną nowej Ameryki, podobnie jak Obama. Ze względów sportowych, to jasne; w statystykach nie zostanie przebita przez długie lata, może przez dziesięciolecia. Ze względów genderowych; dała sportsmenkom tego świata, także tym przyszłym, wzór do naśladowania: być silną, samoswoją, niezależną, nieustępliwą, żądną wyczynów; w swoich wywiadach nie waha się tego słowa, *gender*, używać. Ze względów społeczno-politycznych; niegdyś, z powodu ataków rasistowskich, zrezygnowała na lata z udziału w turnieju w Indian Wells, dziś ucieleśnia Amerykę wspólnotową (tym bardziej że jej mąż jest białym Amerykaninem), wyzwoloną z rasowych przesądów, nieustraszoną i wciąż spragnioną przyszłości.

Na początku sierpnia Serena udzieliła długiej wypowiedzi magazynowi „Vogue”. Można było się dowiedzieć, że wielkoslemowe Australian Open w roku 2017 wygrała będąc w dru-

gim miesiącu ciąży, że kilka turniejów rozegrała w chwili, gdy jeszcze karmiła córeczkę Olivie piersią i w trakcie depresji poporodowej, i że starała się odrzucić tradycyjną alternatywę: sport wyczynowy albo macierzyństwo (czy rodzina), ale też stojące za tym słowo „pogodzić”, pogodzić jedno z drugim. Raczej lubi myśleć o swoim życiu jako procesie ciągłym, a nie podzielonym na etapy i skonfliktowane wybory. Odrzuca ją słowo *retirement*, wycofanie się z gry, woli mówić o *evolution*. Uderza w jej opowieści miłość wyznana tenisowi. Żadnego przemęczenia i znużenia „tourem”, na które skarżyło się tyle zawodniczek zrywających ze sportem, nieprzerwana radość z występów (a nawet treningów) przy zapelnionych trybunach i ciągła potrzeba zwycięstw, laurów i rekordów, ach, przebić jeszcze Margaret Court! Dążenie do perfekcji, jeszcze więcej i lepiej. Mówi, że jeżdżąc jako juniorka za siostrą, analizowała dogłębnie wszystkie jej błędy, nauczyła się mentalnie rozumieć tenis. Co do przyszłości: od kilku lat prowadzi z mężem firmę „Serena Williams”, która wchodzi w relację przede wszystkim, choć nie wyłącznie, ze start-upami założonymi przez osoby należące do mniejszości. Najchętniej kobietami: kiedyś wzburzyła ją wieść, że 95 proc. dochodów w firmach idzie w ręce mężczyźni.

Długie pożegnanie Sereny trwa od kilku tygodni. Wreszcie zacząłem jej trochę kibicować, oldboy (zaawansowany) chętnie wspiera początkującą oldgirl. Ale też jej zażartość, głód gry, kiedy, jak to się powiada, nic już nie musi, imponują bezgranicznie. Do tego jeszcze debel z siostrą, jakby było im mało. I gotowość klęski; mecze na turniejach przed US Open źle dla niej wyglądały. Powiada się: lepiej odejść w glorii chwały. Lecz niby dlaczego? Dlaczego nie zagrać do końca, nie pójść do końca własnej drogi, pokazać po szekspirowsku oblicze mistrza zdezonizowanego, królowej, która traci władzę? I czas, który jest zawsze okrutny.

Ryba w wodzie

Na mecz z Kovinić zleciał się „cały” Nowy Jork. To nie było spotkanie, lecz kronika zapowiedzianej śmierci, nie do końca uroczą. Miał się wydarzyć taki piękny pogrzeb. W nieco cyrkowej atmosferze. Trybuny postawiły na decybele, jęki i brawa rozlegały się w czasie rozgrywanej piłki, rzecz w tenisie nie do pomysłenia. Zabawne było przy okazji usłyszeć, że ludzie krzyczą różnie, ale jęczą podobnie, antropologiczny drobiazg. Serena w quasi-cekinach czuć się musiała jak ryba w wodzie; wody starczyło do końca meczu. W kolejnym spotkaniu z Anett Kontaveit, drugą wedle rankingu rakieta świata, trybuny zachowywały się mniej histerycznie, widać od razu było, że zabawa w go-odbye może jeszcze potrwać. Serena długimi chwilami grała świetnie. Wygrała przede wszystkim dzięki serwisowi, najgorsza kara spada, jak zawsze, z góry. Ale wszystko wyglądało lepiej i do komedii odchodzenia wkrada się epepeja przedłużenia.

Pomyślałem więc, że skończę tych parę uwag dzisiaj, w piątek 2 września, i nie będę czekał na dalszy rozwój wypadków, na kolejne wygrane lub ostatnią porażkę [przyszła w sobotę, w meczu z Australijką Alją Tomljanovic – red.]. W końcu to nie takie istotne; niech każda przyszłość stoi otworem, niech żadne możliwości nie gasną, gramy dalej, to najważniejsze.

Oczywiście chciałoby się wiadomego finału, Sereny z Igą. Nie wydaje się to prawdopodobne, do 10 września długa droga, wszystko na ostrzu noża. Ale dziś łapię się na myśli, że to może, kurczę, o Igę bardziej się obawiam. © MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz: O rzeczach nieśmiesznych



SZEŚĆ BILIONÓW I DWIEŚCIE MILIARDÓW – tę liczbę warto zapamiętać, choćby w ramach treningu – a chodzi nam o zapisanie w myślach tej sumy ze wszystkimi potrzebnymi zerami. Oczywiście bez korzystania ze ściągawek i podpowiedzi

Wielkiego Matematyka i jego kolegów matematyków pomniejszych. Choć nieorientowanych zapewne nie ma, to załóżmy, że gdzieś się uchowali – ta liczba to forsa, którą mają nam oddać Niemcy w ramach reparacji. 77 lat po zakończeniu II wojny światowej i w trakcie rozkręcania się III wojny światowej. Dodajmy, że najlepiej, by wpłacono nam te pieniądze w używanych banknotach, teraz zaraz, a najlepiej przed przyszłorocznymi wyborami. Tak. To by było bosko.

Ton zdań powyższych może wzbudzić wątpliwości i oburzenie. Jest mianowicie jakby lekceważący, może wywoływać uśmieszek, półuśmieszek albo choćby grzeszny ćwierćuśmieszek. Łatwo tu zauważyć, że temat, który zasadniczo nie nadaje się do żartów ani śmichów-chichów, może żartem się stać. To nic nowego, specjalizujemy się w tym od lat. Nasza koncepcja jest jednak taka – stąd lekkość – że władzy specjalizującej się w wypuszczaniu obywateli na siebie, tylko o kolejne wypuszczenie chodzi. To prowokacja, żeby ktoś niebacznie sobie żartował ze spraw poważnych. To jest kolejna karykatura rządzenia, kolejna próba zdefiniowania, opisanie i wydłubania tzw. antypolskich postaw, owych figur animalnych, swym śmiechem wykluczających się – jak mawia klasyk – ze wspólnoty aksjologicznej Polaków. Ktoś powie, że jeśli mamy rację, to jest to zabieg tradycyjnie obrzydliwy i nie będziemy się tej ocenie sprzeciwiać. Nie ulega chyba wątpliwości, że kwestia reparacji wojennych nie ma żadnego sensu, nie ma dziś innego celu niż wyborczy, wewnętrznie tutejszy, nie ma innego celu niż propagandowy i nie jest bynajmniej ruchem serio antyniemieckim, a serio wymierzonym we współobywateli przeciwnych tutejszej władzy. Howgh! – jakby powiedział Winnetou, postać, zdaje się, schodząca do bibliotecznego podziemia.

Oto, popatrzmy, w ten niezwykły, ale erudycyjny sposób poprzez sprawy wyłącznie wewnętrzne, polityczne, czyli jak zawsze w Polsce groteskowe dotarliśmy do spraw poważnych (choć też groteskowych) niekoniecznie tylko niemieckich, bo jednak należących do globalnej wspólnoty czytelników. Dowiadujemy się właśnie, że solidne niemieckie wydawnictwo wycofało się z wydania dwu książek o przygodach Winnetou z powodu zawartych w tych dziełach szkodliwych, kolonialnych i rasistowskich stereotypów. Znamy świetnie ten model oceniania kultury, w tym literatury, i jako żywo, mniemamy, że nic z niego dobrego ani nie wynika, ani nie wyniknie. Że żaden człowiek się od tych doktryn nie zrobi lepszy, wrażliwszy ani mądrzejszy, że historia świata nie zostanie w ten sposób zmieniona na lepszą bądź weselszą, bowiem jest ona generalnie smutna i z jej smutkiem lepiej się pogodzić, niż żyć złudzeniami.

Karol May, pisarz niemiecki – tego mogą niektórzy nie wiedzieć – do Ameryki pojechał długo po wymyśleniu, opisanu i wydaniu tego wszystkiego, za co dziś jest krytykowany, począwszy od imion swych bohaterów, poprzez ich uczynki, po krajobrazy. Wcześniej krócej lub dłużej przesiadywał w więzieniach za przeróżne przestępstwa i zaznaczmy tu dla porządku: były to czyny, które i dziś są karalne. Otóż, co chyba ciekawe, nikt nie wypomina temu pisarzowi, że kradł i oszukiwał, że był po prostu kryminalistą, a zatem nie jest może dobrym wzorem do naśladowania dla naszej niewinnej jak lilia młodzieży, a potępia się go za to, co sobie zmyślił, leżąc na więziennej pryczy bądź spacerując po Dreźnie, a następnie to spisał i wydał – hi hi – w 200 milionach egzemplarzy. Jego życiowa postawa nie ma dziś znaczenia. Popatrzmy, że nie ma nikogo, kto by wołał, żeby nie czytać książek, nie słuchać muzyki, nie oglądać filmów i nie czytać poezji autorstwa kogoś, kto w życiu kradł, kłamał, pił, grał znaczonymi kartami i składał wadliwe zeznania podatkowe. Są to zdaje się uczynki uważane przez dzisiejszych moralistów za błahę, a szkoda.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



NOWA OFERTA RZĄDU



Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki”
w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje,
autorskie ilustracje – **i Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela

Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00

od poniedziałku do piątku

pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:

prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej

informacji oraz wsparcia technicznego udziela

Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00

pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:

kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić

przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

 **Kraków**



8. CRACOVIA
PÓŁMARATON KRÓLEWSKI

16.10.2022

Poczuj emocje
Poczuj miasto



@CRACOVIAMARATON

www

CRACOVIAPOLMARATON.pl

